

**STRAJK ZNP WEDLE INSTRUKCJI DUETU
KRAJEK-KOZŁOWSKA?**

**REPORTAŻ Z PRUCHNIKA:
O CO CHODZI Z TYM PALENIEM KUKŁY JUDASZA**

**SPRAWA FILOZOFA
SCRUTONA – CENZURA
SZALEJE NA ZACHODZIE**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 18 (336) 2019
6–12 maja

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

**PROF. ŚPIEWAK OSTRO
ATAKUJE PROF. ŻARYNA**

**CENIONY HISTORYK
ODPOWIADA:**

**NIE
DAM SIĘ
ZASTRASZYĆ!**

**MOCNA ROZMOWA O TYM, KTO I DLACZEGO FAŁSZUJE
HISTORIĘ, JAK NAPRAWDĘ ZACHOWAŁA SIĘ POLSKA
W OBŁICZU HOŁOKAUSTU, CZY TO WSZYSTKO
ZMIERZA DO WYMUSZENIA OD NAS PIENIĘDZY?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Najlepsze filmy, seriale i sport na start **3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!**

**NOWOŚĆ! Oferta dostępna również
w TV kablowej w technologii IPTV!**

HBO | HD
HBO GO

GRA O TRON



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat” nie dotyczy sprzętu. W przypadku telewizji kablowej IPTV należy uwzględnić opłatę za transmisję danych zgodnie z taryfą operatora usługi Internet. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Gra o tron” © Home Box Office, Inc. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM i wyścigi Formula 1™ w ELEVEN SPORTS. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

Bananowa banalizacja

Niedawna tragifarsa z jedzeniem bananów pod Muzeum Narodowym ujawniła istnienie hałaśliwego sojuszu polityków opozycji ze środowiskami określającymi się jako artystyczne. Ci pierwsi po raz kolejny udowodnili, że nie ma takiego pośmiewiska, na które nie byliby w stanie się wystawić, byle uderzyć w znienawidzony rząd. Jakby nie dostrzegali, że zastyganie w heroicznej postawie z bananem w ustach nie przysparza im chwały bezkompromisowych bojowników, lecz raczej pozbawia elementarnej powagi i nieuchronnie naraża na drwiny. Jednym z powodów wyborczej porażki Bronisława Komorowskiego i Ewy Kopacz było to, że stali się „ludźmi z memów”, przedmiotami dowcipów i personifikacjami obciachu. Cztery lata później opozycja nie wyciągnęła wniosku z tamtych błędów i dalej brnie w autokompromitację. W żadnym kraju polityk publicznie udający małpę nie jest realnym kandydatem do rządzenia. Wyborcy nie przepadają bowiem za sprowadzaniem debaty publicznej do poziomu ogrodu zoologicznego.

Drugą stroną owego sojuszu są twórcy utożsamiani ze światem artystycznym. Trudno o ludzi bardziej niż oni oportunistycznych i do bólu przewidywalnych, a jednak zazwyczaj

przedstawiają się jako bezkompromisowi i niezwykle oryginalni. Choć reprezentują środowiska sprawujące dziś hegemonię kulturową, lubią się prezentować jako ofiary systemu. Wystarczy najmniejsza krytyka, obnażenie beztalencia czy grafomanii, a już przyoblekają się w szaty męczenników. Są jak ten nieszczęśnik z „Monizy Clavier” Mrożka, który demonstrując braki w uzębieniu, jęczy: „O tu, wybili, panie, za wolność wybili!”. Choć sami uznają się za demaskatorów, nie są w stanie znieść, gdy ktoś demaskuje ich stereotypowość, banalizm czy braki warsztatowe.

Cała akcja pod Muzeum Narodowym ujawniła jeszcze jeden aspekt, na który zwrócił uwagę Redbad Klynstra, mówiąc o presji wywieranej przez środowiska celebryckie, by wziąć udział w owej tragifarsie: „Jeśli ktoś nie zrobi czegoś z bananem, to wiadomo, że »jest pisiorem«. [...] Dla mnie jest w tym coś z terroru totalitarnego, terroru przypominającego najgorsze czasy systemów totalitarnych. To takie »sprawdzam«. Na zasadzie: musisz się stawić na pochodzie pierwszomajowym”.

No cóż, nie pierwszy raz widzimy, jak łatwo ludzie pozujący na skrajnych indywidualistów podporządkowują się zachowaniom stadnym.

Grzegorz Górny





39

Krajobraz po bitwie
Dorota Łosiewicz



42

Donald Odnowiciel
Stanisław Janecki



48

Z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem
rozmawia Marcin Fijolek

NA POZĄTEK

- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **DEFICYT GODNOŚCI**
Krzysztof Feusette
- 10 **POMNIK STANISŁAWA PYJASA**
Bronisław Wildstein
- 12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 **ZELEŃSKI – Z KABARETU DO DRAMATU**
Jan Pietrzak
- 15 **TOLERANCYJNI, KRYTYCZNI I WNIKLIWI**
Bronisław Wildstein
- 16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 **RACJA STANU**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 **Z PROF. JANEM ŻARYNEM**
rozmawia Michał Karnowski
- 30 **DEBATA PREMIERA MATEUSZA MORAWIECKIEGO**
z Josephem H.H. Weilerem
- 32 **MAMO, KIEDY BĘDZIEMY JUDASZA BIĆ?**
Maja Narbutt

KRAJ

- 36 **GODZIENNIE NOWA WOJNA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 39 **KRAJOBRAZ PO BITWIE**
Dorota Łosiewicz
- 42 **DONALD ODNOWICIEL**
Stanisław Janecki
- 46 **L JAK LIKWIDACJA**
Hanna Karp
- 48 **Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM**
rozmawia Marcin Fijolek

SIECI KULTURY

- 51 **WABIK MORDERCY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 54 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 55 **ŚWIAT SŁUCHA MUZYKI HENRYKA M. GÓRCECKIEGO**
Adam Ciesielski

56 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**

Wojciech Stanisławski

58 **POLECA I ODRADZA**

Łukasz Adamski

OPINIE

60 **O SPRYSIĘZIENIU PRZECIWKO POLSCE**

Jerzy Lubach

HISTORIA

64 **ZNP PRZECIW FASZYSTOM**

Konrad Kołodziejcki

68 **ANTYABORCZYJNY PROTEST**

Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

70 **SANACJA W KIJOWIE**

Jan Rokita

73 **ZAKAZ MYŚLENIA INACZEJ**

Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

76 **CENTRALNY PORT KOMUNIKACYJNY JEST OPŁACALNY**

rozmowa z Mikołajem Wildem

79 **PRZEKOP MIERZEI TO KONIECZNOŚĆ**

rozmowa z Markiem Gróbarczykiem

82 **INWESTORZY ZAGRANICZNI NA POLSKIM RYNKU PRACY**

Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

87 **MOJE SMAKI: OLGA BUŁAWA**

Jolanta Gajda-Zadworna

88 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **MACRON O EUROPIE**

Wojciech Reszczyński

91 **WYKSZTAŁCENI PONAD SWĄ INTELIGENCJĘ**

Lech Makowiecki

92 **WSAD DO KOTŁA**

Aleksander Nalaskowski

93 **BANIA PANA TRUMPA**

Wiktor Świetlik

94 **FELIETONY**

Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **UPIORNA PERSPEKTYWA**

Ryszard Makowski

97 **Z PODPOWIEDZI Z CZASÓW DAWNYCH...**

Leszek Długosz

98 **JAK BARDZO OTWARTY?**

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



Kraków

kbf★



RMF

Classic

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej
do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na www.rmflclassic.pl



Śluchaj nas on-line:
www.rmfon.pl



Śluchaj nas w telefonie.
Pobierz aplikację w App Store,
Google Play, Microsoft Store.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM
Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM

Kielce 99,0 FM
Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM

Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM
Warszawa 98,3 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM

Sygnalista nadaje

🔊 Są dane, które pokazują, że szkoła wychowuje nie tyle wyborców PiS, ile wyborców Wiosny i Konfederacji. Z badania Kantar Public wynika, że gdyby głosowały wyłącznie kobiety w wieku 18–30 lat, ugrupowanie Biedronia zdobyłoby 28 proc. głosów, Koalicja Europejska podobnie, a PiS 23 proc. Z kolei gdyby głosowali wyłącznie mężczyźni od 18. do 30. roku życia, Konfederacja uzyskałaby 31 proc., PiS 23 proc., a Wiosna 18 proc. Formacja stworzona przez Schetynę daleko w tyle, z 12-procentowym poparciem, takim samym jak Kukiz '15. Może to więc nie szkoła, ale rzeczywistość III RP przekonuje Polaków do propozycji Kaczyńskiego?

🔊 Czy Konfederacja może obejść PiS z prawej i w ten sposób oddać władzę w ręce III RP? Na pewno pomagają stałe napięcie w relacjach polsko-żydowskich. Z badania pracowni Social Changes dla wPolityce.pl wynika, że Polacy obawiają się żydowskich roszczeń majątkowych. I to bardzo. 79 proc. badanych mających zdanie w tej sprawie zgadza się ze stwierdzeniem, że „roszczenia żydowskie wobec mienia bezspadkowego stanowią zagrożenie dla interesu Polski”. Tylko 5 proc. stanowczo twierdzi, że to nie jest problem. A więc to fala, której nie należy lekceważyć.

🔊 Tymczasem Biedroń chce przyzwolenia na eutanazję: „Uważam, że prawo do godnej śmierci jest bardzo ważne i dzisiaj wielu Polaków i wiele Polek oczekuje, że to też zostanie jakoś cywilizacyjnie i po ludzku załatwione. [...] Badania pokazują, że Polacy chcą o tym rozmawiać i to poparcie dla godnej śmierci jest” – oświadczył lider Wiosny.

„Godna śmierć” – Goebbels by się takiego odwrócenia pojęć nie powstydził. Bo w praktyce na Zachodzie to po prostu legalne zabijanie starych ludzi, którzy przeszkadzają młodszemu pokoleniu w korzystaniu z życia.

🔊 Są też badania, których nie sposób wytopić. Prezes Fundacji Batoro Aleksander Smolar skomentował sprawę „sądu nad Judaszem” w Pruchniku takim oto stwierdzeniem: „Są poważne badania socjologiczne, które wskazują, że mniej więcej 25 proc. ludności Polski utrzymuje średniowieczny mit o krwi chrześcijańskiej na macę”. Niestety, nie wskazał źródła tej sensacyjnej informacji. Czyżby tzw. nowa szkoła badania Holocaustu wzięła się także do sondaży? To by wszystko tłumaczyło.

🔊 Sprawa obicia i spalenia kukły Judasza w Pruchniku zdominowała debatę na parę dni. Sporo emocji wywołał internetowy wpis szefa MSWiA. „Pytanie, jacy »szatani« byli w Pruchniku czynni, że po latach przerwy i wezwań miejscowego proboszcza ktoś reaktywował idiotyczną, pseudoreligijną hucpę? Koszta wizerunkowe dla Kościoła, Polski i Polaków olbrzymie” – przekonywał **Joachim Brudziński**. Przekonywał słusznie, ale PO też myślała, że słuszność unieważnia niesłuszne społeczne emocje. Dziś wiemy już, że to tak nie działa.

🔊 Brudzińskiemu odpowiedział Adrian Klarenbach, dziennikarz TVP: „Nie znam tradycji zachodniopomorskiej, ale Panie Brudziński odwał się Pan od podkarpackiej. Judasz był żydem, chyba że chcesz Pan zmieniać historię. Strażacy nie mają wątpliwości, a u Pana

🔊 **Sławomir Broniarz** coraz śmielej potwierdza, że ZNP nie chodziło wyłącznie o podwyżki, ale także o politykę. Już po zakończeniu strajku ostrzegł w Radiu Tok FM, że jeżeli „będziemy realizowali tę podstawę, która jest obecnie”, to szkoła wychowa kolejne „legiony wyborców PiS”. Dodał, że „nauczyciele zostali ograniczeni w autonomii”. Sądząc po kulturowym dorobku strajku, po tym, co zobaczyliśmy, dalsza centralizacja wydaje się jedynym ratunkiem.

takowe skąd?” – napisał nieco niejasno, jakby w chwili zmęczenia. Później co prawda przeprosił, ale wrażenie pozostało. „Co mu się stało” – pytali pisowcy w kularach. Tak konkretnie to nic, wszystko po staremu.

🔊 Po paru dniach afery okazało się, że gdyby Pruchnik leżał w Czechach, jego mieszkańcy mogliby zapewne w spokoju kontynuować swoje ludowe zwyczaje, tak jak robią to mieszkańcy takich wsi jak Stradouň, Chroustovice, Jenišovice, Viniary czy inne miejscowości w okolicach Pardubic. Zachował się tam do dziś, potwierdzony przez etnologów już w XIX w., obyczaj prowadzenia przez miejscowe dzieci postaci Judasza przebranej w strój przypominający chochoła ze spiczastym czubem. W 2010 r. zwyczaj został oficjalnie wpisany na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Nie można się dziwić: od Czechów nikt niczego nie chce, a od nas, owszem, chcą dużo.

🔊 „Sąd nad Judaszem” potępił także Włodzimierz Cimoszewicz. „To zdarzenie wbrew pozorom nie ma oczywiście żadnej wymowy religijnej. Kukła odpowiada stereotypowym karykaturom Żyda. To w sposób oczywisty było odrażające wydarzenie antysemickie” – przekonywał. Dodał, że „mamy poważny problem z antysemityzmem w Polsce, ale sama Polska nie jest antysemicka”. A więc niemal kopia sytuacji, z którą po wojnie musieli się zmagać towarzysze z PPR. Niestety, dziś nie da się zastosować tamtych metod, choć wielu postępców pewnie by chciało.

🔊 Intelktualiści przestrzegają z kolei, że palenie kukły Judasza może być swego rodzaju ćwiczeniem przed realnymi aktami przemocy. Dawid Warszawski w „GW”: „Ludobójstwo zaczyna się od obrządków. Reaktywacja tego w Pruchniku jest hańbą”. Jan Hartman: „Pamiętajmy: niejeden Pruchnik, niejeden Jedwabne. Ćwiczenia przedpogromowe...”. Oczywiście gdy aktorzy zbierają pieniądze na zabójstwo Kaczyńskiego, owa relacja między ćwiczeniami a czynami nagle, w cudowny sposób, po prostu znika. Pozostaje czysta sztuka.

🔊 Ledwo przycichła sprawa Judasza, a na agendę weszły banany. Chodzi o usunięcie z Muzeum Narodowego w Warszawie wulgarniej pracy przedstawiającej serię zdjęć kobiety jedzącej banany, ewidentnie w kontekście seksualnym. „Wyborcza” oskarżyła ministra Glińskiego o naciski w tej sprawie, minister zaprzeczył. W rzeczywistości usunięcie prac z muzeum nakazał dyrektor placówki prof. Jerzy Miziołek, tłumacząc, że dzieła te „rozpraszały młodzież”, a muzeum otrzymywało skargi od niezadowolonych gości.

W końcu także dyrektor pękł i dzieło przywrócił. Bo dobry smak to rzecz ważna, ale w zderzeniu z gniewem establishmentu nie ma dziś wielkich szans.

🔊 W reakcji na rzekomą „cenzurę” nasi celebryci – i ci ze świata polityki, i ci ze sfer artystycznych – zaczęli masowo publikować zdjęcia i filmiki przedstawiające jedzenie bananów. Rzecz w sumie symboliczna, bo czy można lepiej podsumować ostatnie trzy lata? Tyle mają do powiedzenia Polakom, tyle sobą reprezentują. Miny, grepsy, hucpa, stadność. Ale nie zniechęcajmy, bo tego typu akcje służą prawicy. Gdyby tak wytrwali do wyborów, PiS mogłoby przekroczyć 50 proc.

🔊 Jest szansa, bo wielu jest tak sfrustrowanych, że już nie myślą. **Krystyna Janda** tak opisuje swój stan psychiczny: „Odebrano mi radość życia. Spokój. Poczucie bezpieczeństwa. Na koniec poczucie wolności, sprawiedliwości i prawdy”. Ze słów aktorki wynika, że jest tak źle, że już gorzej być nie może, a jej role m.in. w „Człowieku z marmuru”, „Przesłuchaniu” i dorobek życiowy nie pozwalają jej w tej sytuacji milczeć. Milczeć nie trzeba, ale może, właśnie ze względu na dorobek, czasem warto? Bo po co to wszystko trwonić?

🔊 A stracić wszystko w sumie nietrudno. Np. państwo Kramkowie – Ludmiła Kozłowska i Bartosz – mieli prawie wszystko, ale zachciało im się zmieniać w Polsce rządy. No i wyszło sztyldo z worka. Teraz, gdy polskie zarzuty potwierdziły brytyjskie gazety, mogą jedynie wylewać żale w „Wyborczej”. „Od kilku dni politycy PiS i związani z nimi publicyści oskarżają naszą organizację o pranie pieniędzy oraz działalność agenturalną i antypaństwową w interesie Rosji i Niemiec” – żali się Kramek, zarzucając też polskiemu rządowi współpracę z dyplomacją i służbami Mołdawii i twierdząc, że teksty w zachodniej prasie są pisane przez agencje PR i firmy lobbingsowe. Może i prawda, ale jak ktoś całe życie gra w oligarchiczny teatr, to później mało kto mu wierzy.

🔊 Na koniec jeszcze o relacjach polsko-żydowskich. 10 czerwca reprezentacja w piłce nożnej gra mecz o punkty z Izraelem w Warszawie. Już dziś w środowiskach kibicowskich słychać zapowiedzi, że może być gorąco, że będzie „ciekawa” oprawa. Oby była naprawdę ciekawa, a nie po prostu głupia.

🔊 A Kamil Durczok zamknął swój portal. Po ciu, bez wielkiej fety. Cóż, media to twarda gra, kto nie pracuje, ten umiera. I także: gdy coś raz pęknie, to się już nie skleja. I nawet wściekłość antypisowska na dłuższą metę tego nie przykryje.



Więcej energii na to, co ważne

Grupa Energa realizuje rozwiązania dla odbiorców energii elektrycznej, przewidziane przez ustawodawcę.

Ceny prądu w taryfie G za 1 kWh w 2019 roku pozostają na poziomie cen z 2018 r.

STABILNE

CENY

PRĄDU



Energa

Sami się zawieście, ja nigdzie nie idę. Będę tutaj siedziała zamknięta, choćby te przekłete bachory musiały oknem do klasy wchodzić. Niech spadają na bambus. A najlepiej na te krzaki różane przy pomniku patrona, co go nam niedawno pod szkołą postawili. Jakiś Kurczak czy Korczak, nie miałam nawet, kiedy zarzeć. Jutro się przejdę, bo czuję, że od tych strajkowych ciasteczek to już ze dwa kilo przybrałam. Żeby było jasne: dla mnie nic się nie kończy, poza panem Zbrodniarzem. Strajkuję do upadłego – albo ja padnę, albo ta władza padnie. A jak trzeba będzie, to się do kosza w gimnastycznej łańcuchem przywiążę i skandal będzie, nie rozgrywki. Nikt nie wejdzie oprócz Owsiaka i Ostaszewskiej, reszta won, bo wybuchnę.

Bo ja się w czasie strajku żadnymi smarkaczami zajmować nie zamierzam. Nie po to synka na ten czas koleżance oddałam (idiotka, ani minuty nie strajkowała), żeby znowu sobie ręce kredą brudzić. Dżizas, jak ja nienawidzę tego ZNP!

Sławuś lamistralk, za trzy pensje w loczek czesany, czekaj ty, jak ci szpaler na zjeździe zrobimy. Po to kredyt brałam, żeby teraz została z ręką w dzienniku? I to dla kogo?! Dla tych wyjców, tej ciemnoty zasmarkanej, tych zakutych łbów bez krzty zrozumienia, jak ja mam ciężko? Jak ja muszę strasznie pracować, żeby się do Chorwacji wyrwać? Bo jakie ja mam wakacje? Ciągłe to samo: leżaczek, rowerek, pływanko, spacer... I tak przez bite dwa miesiące! Dżizas, jak ja nienawidzę potem wracać. Mówię rodzicowi, że po lekcjach to ja mogę pomóc, ale koleżance spódnice kupić, a nie jego durnemu synkowi w nadrabianiu zaległości. Dopiero, jak pałę dałam trzy razy, to się zorientowali, że bez korepetycji się nie obejdzie. Nie lubię takich sytuacji, ale jak się wciskało uczniom ciemnotę, że rząd nasze pieniądze na świnię i krowy przeznaczają, to już chyba nic ich w ustach kadry pedagogicznej nie zdziwi. Zresztą jest kadra i jest – nie bójmy się tego słowa – pedagogiczny motłoch. Jak ta kretynka, co na egzaminy poszła. Zdybałam ją w toalecie i mówię: „A koleżanka to strajkować w czasie matur na zamierza? Czy koleżanka zdaje sobie sprawę z tego, że przez takie postawy możemy władzy do wakacji nie obalić?”. Wiecie, co mi powiedziała? Że uczniów w takim okresie nie zostawi. Tłumaczę jej, że skoro tak strasznie ich kocha, powinna zrobić wszystko, żeby na kolejny rok z nami zostali. Nie dotarło. Tyle naszego, że szopkę niezłą odwaliliśmy, jak komisja do sali wchodziła. Jak Wieska zaczęła kwiczeć, dzieciaki od razu po całym piętrze się rozbiegły. Tak ma być – kiedy pani strajkuje, to się

Deficyt godności



KRZYSZTOF FEUSETTE

w domu siedzi albo z tatusem do pracy idzie, jak u Trzaskowskich. A co mnie obchodzi, że lekarz czy pielęgniarka tak nie mogą, trzeba było sobie inny zawód wybrać.

Wiecie, za co najbardziej nienawidzę Broniarka? Za to, że w momencie, kiedy wreszcie pokochałam swoją pracę – te szkolne korytarze, nareszcie ciche, bez wrzasku i biegania, te puste klasy – on mi to odebrał! Mogłam iść do biznesu, co mnie z tym nauczycielstwem porąbało? Jakbym sama do szkoły nie chodziła. A pewnie, że jechał człowiek na trójceczkach i podpisy podrabiał nie gorzej niż Scheuringowa-Wielgusowa – ale jednak ci nauczyciele byli chyba z głupszej gliny. Żeby za takie pieniądze z gówniarzami się użerać? To może od razu za darmo, jak za okupacji? Fajne komplety to się wtedy nazywało. Coś dzisiaj nie do pojęcia – przecież to jest totalny brak szacunku do zawodu, ucznia i samego siebie. Misja jest dobra, jak się jest misjonarzem.

A tu masz, człowieku, głaba na głą-

bie, mądrałę na mądrali, pierwszy nie kuma, drugiego ty nie kumas, oszaleć można. Co się trochę odpocznie w święta, ferie, wakacje i znowu święta, już trzeba wracać do baranów. Sorry, ale taka już jestem zestrajkowana tym wszystkim, że mi się kultura kończy.

Bo tego wytrzymać nie idzie. Pisze mi np. cymbał na tablicy „hańba” przez „ch”. „Co robisz, idioto?” – pytam się grzecznie, a on mi na to, że pani Kluzik-Rostkowska tak na Twitterze napisała. „Co cię Kluzik-Rostkowska obchodzi?” – głos podnoszę, ale na linijkę jeszcze nie patrzę. Chwyć po prostu za gardło i uduszę. Dzwonek za chwilę, lakier mi się na serdecznym palcu od klasówek pokruszył, a smarkacz mi będzie prowokacje urządzał? A on swoje, że była minister edukacji chyba lepiej wie, jak się pisze. Tak, wie. Tyle, co zje. Wieska mi mówiła, a ona wszystko pamięta, że jak strajk miał być za Platformy, to Kluzik tylko rączki złożyła, że pieniędzy nie ma, i kto to widział protestować przed wyborami. Trochę mnie wnerwia, że teraz nasz strajk poparła, bo na mojego nosa ona przede wszystkim pecha przynosi. Nawet Kaczyński nie mógł wygrać, jak była u niego szefową sztabu.

Dobra, muszę kończyć, czas działać. Napisałyśmy z wuefistą nowe słowa do starej piosenki, trochę żartobliwie, a trochę na poważnie, najważniejsze, że fajne: „Jak strajkować, to/tylko w maturę,/ w maturę,/ a jak przegrać, to,/tylko wspólnie z PO!”. Wiem – mocne, ale w końcu walczymy o godność. Bo dzisiaj chyba nawet ślepy by zauważył, że za dużo to my jej, niestety, nie mamy.



Fot. Beata Zawrzeski/REPORTER

Pomnik Stanisława Pyjasa

42 lata po zamordowaniu przez SB Stanisława Pyjasa przed domem studenckim „Żaczek”, gdzie mieszkał, odsłonięty został jego pomnik. Tych,

którzy pamiętają, kim byliśmy, kim był mój przyjaciel Staszek, uderzać może kontrast między tamtą rozwichrzoną, anarchizującą postacią a solennością i patetyzmem jej kamiennego utrwalenia.

Niektórzy pomyśleć mogą nawet o fałszu tak znieruchomiałej pamięci. Czy słusznie?

Wtedy, kiedy zginął Pyjas, nie zajmowaliśmy się polityką, chociaż w ko-

munistycznym systemie wszystko nią było. Przeciw temu protestował on i protestowała cała nasza, w sumie nie-liczna, grupa. Występowaliśmy na rzecz elementarnych wolności. Ale przecież nie tylko. Okazywało się, że wolności te nie są możliwe bez współpracy, bez odbudowy wspólnoty. W tamtym czasie rodziła się w Polsce opozycja, która za kilka lat eksploduje wielkim ruchem Solidarności. Byli w niej ludzie myślący politycznie, politycy wręcz, ale nie dotyczyło to naszego środowiska.

Byliśmy bardzo młodzi i niewiele wiedzieliśmy o świecie. Byliśmy wychowani w totalitarnym systemie, który starał się, jak mógł, blokować i utrudniać dostęp do wiedzy, serwując zamiast tego ideologiczny, oszukańczy schemat. Nasze postrzeganie, postrzeganie i myślenie wszystkich, którzy mieli pecha w nim dorastać oraz funkcjonować, było zdeformowane i kalekie. Żyliśmy w szarym i zuniformizowanym świecie kłamstwa. Dławiło nas ono w trakcie oficjalnych obowiązkowych ceremonii, buchało ze środków masowego przekazu, tłoczone było w szkole i na uczelni, krzyczano z wszystkich serwowanych nam publicznie obrazów: z plakatów, transparentów i obwieszczeń. Była to rzeczywistość stężonego konformizmu. Aby jakoś wegetować, należało zgadzać się na oficjalne fałsze, iść na niedopuszczalne w normalnym stanie rzeczy kompromisy, gwałcić przyzwoitość i zdrowy rozsądek.

Pozbawieni dostępu do normalnej polityki uznawaliśmy ją za domenę zła, zrażeni oficjalnym kolektywizmem za postawę właściwą uznawaliśmy indywidualizm. W tamtym systemie, aby nie ulec wszechobecnemu, wymuszonemu siłą konformizmowi, do pewnego stopnia trzeba było chronić się w jednostkowość, tak jak należało zamykać się w rodzinnym kręgu, aby odtworzyć elementarne relacje międzyludzkie i nie kłamać. W komunizmie od małości uczeni byliśmy, że świat rodziny i ten poza nią są nie tylko odmienne, lecz radykalnie przeciwstawne. Postawa ta szybko jednak ukazywała swoje ograniczenia. Aby przeciwstawić się systemowi, należało odbudować więzi społeczne. Śpiewaliśmy wtedy Bułata Okudźawę: „Weźmy się za ręce, aby nie zginąć osobno”.

Szczególnie mocno uzmysłowiliśmy to sobie po zamordowaniu naszego przyjaciela. To wtedy, po wielotysięcznych manifestacjach, które udało się nam zorganizować w Krakowie, założyliśmy Studencki Komitet Solidarności – wkrótce powstały takie same w innych miastach uniwersyteckich – ożywił się pojęcie, które taką karierę zrobiło trzy lata później. Zrozumieliśmy, że naprzeciw komunistycznego molocha, który atomizował społeczeństwo i pozostawiał samotną, a więc bezbronną jednostkę naprzeciw wszechwładnego, totalitarnego aparatu, należy odbudować elementarną, wspólnotową więź.

Zaczęliśmy rozumieć to już wcześniej, kiedy organizowaliśmy się, aby wymienić się niedozwolonymi książkami i dyskutować na ich temat, kiedy tworzyliśmy kółka samokształceniowe czy zbieraliśmy pieniądze dla buntujących się robotników i protestowaliśmy przeciw prześladowaniu ich przez komunistyczną władzę, a także współpracowaliśmy z Komitetem Obrony Robotników.

Była to wiedza natury praktycznej, która wymagała czasu, aby zostać uświadomiona i steoretyzowana. Wiele osób nie potrafiło tego zrobić do dziś, jeszcze inni z różnych względów zdążyli zapomnieć o tym, co tak oczywiste było w niezwykłym czasie Solidarności.

Pyjas zabity został, aby zastraszyć innych i zablokować odtwarzającą się wspólnotę. Jego mordercy i ich zleceniodawcy pomylili się jednak zasadniczo – zamiast strachu wyzwolili determinację. To ona pozwoliła nam budować opozycję, która wyrażała postawę ogółu Polaków i owocowała fenomenem Solidarności. Stanisław Pyjas, który oddał za to życie, zasłużył na upamiętnienie jak nikt inny.

Jego pomnik ma dodatkowe znaczenie: przywraca i utrwala pamięć. To, że odsłonięty zostaje 30 lat po upadku komunizmu, wiele mówi o naszych najnowszych dziejach. Ci, którzy tworzyli tamten system, strzegli go i zabezpieczali interesy obcego mocarstwa w Polsce, w nowej rzeczywistości nie utracili znaczenia. Do dziś odgrywają istotną rolę w naszym kraju, a robić to mogą dzięki tym spośród nas, którzy dogadali się z nimi w nowej rzeczywistości. Oni, ich spadkobiercy i sojusznicy zatruli

polską niepodległość, uniemożliwili dochodzenie sprawiedliwości, zablokowali rozwój demokracji i zakładali naszą najnowszą historię. To dlatego tak długo trzeba było walczyć o prawdę na temat zabójstwa Pyjasa, nie wszystko na ten temat do dziś zostało wyświetlone i najprawdopodobniej pozostanie zasłonięte. Tylko że to przestaje mieć znaczenie. Owszem, ci, którzy powinni odpowiedzieć za zbrodnię, wydają się, unikną ludzkiej sprawiedliwości. Ale miary pamięci zostają stopniowo przywrócone. Pomniki zdrajców, oprawców i sprzedawczyków zostaną usunięte, a w ich miejsce trafiają ludzie zasłużeni, bohaterowie naszej niepodległości.

Kiedy zginął Pyjas, mało kto z nas zdawał sobie sprawę, że to jej poświęcił życie, gdyż to o nią w sumie chodziło. Nadzieja na osiągnięcie suwerenności wydawała się tak odległa, że i jej znaczenie rozmywało się w naszej świadomości. Nie do końca uzmysławialiśmy sobie związek zbiorowego samostanowienia z naszą wolnością, tak jak nie pojmowaliśmy głębokiego wpływu wspólnoty narodowej na nasze indywidualne losy. A przecież swoim działaniem dawaliśmy temu najgłębszy wyraz. Śmierć Stanisława Pyjasa jest tego dowodem.

Był osobą niezwykle utalentowaną i twórczą. Został zabity 42 lata temu, u progu życia, miał ledwie 24 lata. Wszystko było jeszcze przed nim. Nie wiemy, jak ułożyłyby się jego losy, ale miał wszelkie możliwości, aby stać się znaczącą postacią naszego zbiorowego doświadczenia.

Przeżyliśmy to, co nie było mu dane. Porwał nas entuzjazm wspaniałego ruchu Solidarności, wstrząsnął stan wojenny, klęska komunizmu wskrzesiła nadzieje, które ustąpiły rozczarowaniu i zmaganiom w wolnym już kraju, dalece odbiegającym od naszych o nim marzeń. Wszystko to nie było mu dostępne. Nie przeżył również tego prywatnego wymiaru egzystencji, który przecina się z publicznym, ale nie jest z nim identyczny. Nie doznał tych dziesiątków lat dobrych i złych doświadczeń, które składają się na pełnię życia człowieka. A przecież został w naszej pamięci. Teraz dajemy temu materialny wyraz. 

Bronisław Wildstein

Rosyjska Duma przyjęła projekt ustawy o suwerennym internecie. Operatorzy internetowi będą odtąd zobowiązani m.in. do udzielania organom państwa informacji na temat sposobu wykorzystywania sieci, obsługiwanych adresów sieciowych, a także do współdziałania z organami ścigania. Celem jest zabezpieczenie funkcjonowania rosyjskiego segmentu internetu (tzw. Runetu) na wypadek odcięcia go od zagranicznych serwerów.

Moskwa sugeruje oczywiście, że największym zagrożeniem są Amerykanie. Jednak w rzeczywistości chodzi nie tyle o amerykańskich hakerów, ile o obawy Kremla przed niekontrolowanym przepływem informacji w sieci. I o przeświadczenie, że amerykańskie służby będą próbowały podburzyć Rosjan przeciwko władzy. Jeśli więc ktoś odetnie im dostęp do sieci, to raczej nie będą to Amerykanie, lecz Kreml.

Ustawa o Runecie to niepierwsza regulacja tego rodzaju w Rosji. Od blisko trzech lat obowiązują tam bowiem przepisy wprowadzone wraz z ustawą o przeciwdziałaniu terroryzmowi. Zgodnie z nimi operatorzy telefonii komórkowej oraz internetu zobowiązani są do gromadzenia przez określony czas danych o użytkownikach, w tym takich jak przesłane esemesy, billingi, używane aplikacje, dane personalne, opublikowane posty oraz do przekazywania ich – na żądanie służb – organom ścigania. Przy czym chodzi o dane wszystkich



Rosja

Groźny internet

użytkowników rosyjskiej sieci – każdego, kto ma zarejestrowany telefon komórkowy w Rosji lub korzysta z tamtejszego internetu. Koszty przechowywania takiej liczby danych mogły – według niektórych wyliczeń – sięgnąć nawet 30 mld dolarów. Ale państwo rosyjskie raczej nie dokłada do tego interesu, zrzucając się na niego, w postaci podwyższonych abonamentów, sami użytkownicy.

Internauci w Rosji powinni być więc ostrożni. Zwłaszcza że od niedawna obowiązuje tam nowe prawo o fejkach i obrazie władzy. Za rozpowszechnianie „niewiarygodnych” informacji w internecie grożą administracyjne kary finansowe, które – w przypadku recydywy – mogą wynieść nawet 1,5 mln rubli (ok. 85 tys. zł). A zbyt dosadny mem w mediach społecznościowych, który zostanie uznany za obrazę władzy lub symboli państwowych, będzie kosztował winowajcę do 200 tys. rubli (ok. 10 tys. zł) albo pół miesiąca odsiadki w areszcie.

Teraz w Rosji trwa zabawa w kotka i myszkę. Wielu użytkowników sprawdza, czy władze okażą się skuteczne w egzekwowaniu nowych przepisów. My jesteśmy na razie daleko od takich standardów. Ale warto mieć świadomość, w którym kierunku – niezależnie od motywów – może zmierzać kontrola internetu.

Konrad Kolodziejski

„Czarna lista Hollywood”. Znacze to określenie. Pewnie głównie z filmów robionych przez liberalnych reżyserów, piętnujących listę filmowców z fabryki snów oskarżanych w latach 40. XX w. o sympatyzowanie bądź przynależność do Komunistycznej Partii USA. Obok prawdziwych komunistów, którzy na początku zimnej wojny stanowili rzeczywiste zagrożenie, umieszczano tam artystów ze względu na wewnętrzne rozgrywki w show-biznesie. Czy dzisiaj jest podobnie?

Nie jest to prowokacyjne pytanie. W Hollywood zaczyna funkcjonować nowa czarna lista. Umieszczane są na niej nazwiska największych filmowców, którzy do niedawna uchodzili za hollywoodzkich bogów. Powód? Oskarżenia o molestowanie seksualne. Nawet sprzed dekad. Znana jest sprawa Kevina Spaceya, którego bez żadnego wyroku sądowego wyrzucono z obsady „House of Cards” i wycięto z gotowego filmu na kilka tygodni przed premierą, dokre-

cając szybko zdjęcia z innym aktorem. Wymazywanie ze zdjęć towarzyszy Stalina ma swoją tradycję. Z amerykańskiej Akademii Filmowej wyrzucono Romana Polańskiego, choć te same środowiska przyznały mu kilkanaście lat wcześniej Oscara, mimo powszechnej wiedzy o trwających ponad 40 lat problemach z prawem polskiego reżysera. Polański podał właśnie do sądu Akademię.

Najbardziej paskudna rzecz spotkała Woody’ego Allena. Gigant na rynku – firma Amazon – zablokowała premierę jego ostatniego filmu „Rainy Day in New York City”. Aktorki, które przyjęły rolę w tym filmie, dobrze wiedziały o ciągących się za Allenem oskarżeniach o rzekome molestowanie swojej adoptowanej córki Dylan Farrow (swego czasu

sąd odrzucił te zarzuty). Teraz zrzekły się honorarium za film i przyłączyły do potępiania reżysera. Allen mimo 83 lat na karku od pół wieku robi jeden film rocznie. Rok 2018 był więc jedynym bez jego nowego dzieła. Trafił on na półkę aresztowany przez Amazona. Allen nie może teraz liczyć na żadne kontrakty w Ameryce i prawdopodobnie przeniesie się z kamerą na stałe do Europy.

Gdzie są więc mające gęby pełne frazesów liberalne gwiazdy z Hollywood, gdy film ich niedawnego przyjaciela i guru, u którego każdy chciał grać choćby za minimalną stawkę, jest aresztowany na półkach hollywoodzkiego potentata? Gdzie te krzyki o wolności słowa, o polowaniu na czarownice i nagonce bez wyroku sądowego? Krzyki są, ale dotyczą... Donalda Trumpa.

Nie zdziwię się, jeśli powstanie kolejny film o czarnej liście z lat 40. z antrumpowskim przesłaniem. Ale na pewno nie zrobi go Woody Allen.

Lukasz Adamski



 **Ukraina**

Niebezpieczne pytania

Tuż po zakończeniu wyborów prezydenckich Służba Bezpieczeństwa Ukrainy w obwodzie lwowskim rozpoczęła dochodzenie w sprawie „rozpowszechniania w sieci internetowej prowokacyjnego »sondażu«, w którym mówi się o »perspektywach regionu« jako »oddzielnego niepodległego państwa« lub »przyłączeniu go do drugiego państwa«”. W oświadczeniu SBU czytamy, że wspomniany sondaż zawiera znamiona przestępstwa polegającego na „publicznym wzywaniu lub rozprzestrzenianiu materiałów z wezwaniem do naruszania terytorialnej integralności i nienaruszalności Ukrainy”. Służby apelują do mieszkańców, aby „nie ulegali prowokacji ani nie przyczyniali się do rozpowszechniania wspomnianego »sondażu«, który jest oczywistym elementem wrogiej propagandy”.

Decyzja SBU wywołała zdziwienie, ponieważ za wspomnianym sondażem nie stały środowiska prorosyjskie, lecz instytucje zaangażowane w walkę o wyrwanie się Ukrainy spod wpływów Moskwy. Badanie zostało zlecone przez redakcję tygodnika „Dзеркаło Tyżnia” Kijowskiemu Międzynarodowemu Instytutowi Socjologii. Problemem okazało się pytanie, jakie postanowiono zadać respondentom w obwodzie lwowskim. Brzmiało ono następująco: „Jak widzisz przyszłość Galicji? 1) W składzie unitarnej Ukrainy w ramach obowiązującej obecnie konstytucji. 2) W składzie unitarnej zdecentralizowanej Ukrainy, gdzie obwody i lokalne samorządy otrzymują szerokie kompetencje i dużą samodzielność budżetową. 3) Galicja powinna się stać subiektem federacji w ramach federacyjnej Ukrainy. 4) Galicja powinna stać oddzielnym niepodległym państwem, włączając obwody lwowski, iwano-frankowski i tarnopolski. 5) Galicja powinna się przyłączyć do Polski”.

Wspomniany sondaż zbiegł się z wyborami na Ukrainie, w których obwód lwowski jako jedyny głosował inaczej niż reszta Ukrainy, stawiając na Petra Poroszenkę, a nie na Wołodymyra Zełenskigo. W tym kontekście pytanie o wybór przez Galicję oddzielnej drogi wywołało w służbach dużą nerwowość i podejrzenie o rozbudzanie separatyzmu. *Signum temporis.*

Grzegorz Górny



 **Wielka Brytania**

Tchórzostwo torysów

W Wielkiej Brytanii trwa burza po wyrzuceniu Rogera Scrutona z rządowej komisji architektonicznej. Nic dziwnego, Roger Scruton to wybitny brytyjski filozof, a przy tym znawca architektury. Pod koniec zeszłego roku przyjął posadę zaofierowaną mu przez ministra mieszkalnictwa Jamesa Brokenshire'a.

Mimo że praca Scrutona miała charakter społeczny i całkowicie niepolityczny, jego angaż wywołał falę historycznych protestów lewicy. Problem bowiem w tym, że Scruton ma zdecydowanie konserwatywne poglądy. Domagano się więc od rządu natychmiastowego zwolnienia filozofa, zarzucając mu antysemityzm, homofobię, islamofobię i jeszcze pół setki innych fobii. Wysiłki lewicy zostały zwieńczone sukcesem po wywiadzie, którego Scruton nieopatrznie udzielił tygodnikowi „New Statesman”. Przeprowadzający rozmowę George Eaton zmanipulował wywiad tak, aby potwierdzić wszystkie najgorsze zarzuty stawiane filozofowi. Gdy po tej publikacji Scruton został wyrzucony z komisji, Eaton nie krył radości, umieszczając w internecie swoje zdjęcie z szampanem w ręku.

Scruton domagał się opublikowania dokładnego zapisu rozmowy z dziennikarzem, ale ani Eaton, ani redakcja „New Statesmana” się nie zgodzili. „Znalazłem się w gąszczu oskarżeń, nie mając żadnego dowodu na swoją niewinność” – napisał filozof na łamach „The Mail”. „Tymczasem zarzuty były z radością powtarzane przez tych wszystkich, którzy od początku sprzeciwiali się mojej nominacji. Posłanka Partii Pracy nazwała mnie w parlamencie »białym suprematystą« i połączyła moje nazwisko z masowym mordercą z Christchurch w Nowej Zelandii, domagając się pozbawienia mnie tytułu szlacheckiego. Nawet torysi prześcigali się w mediach społecznościowych w odcinaniu się ode mnie”.

Gdy w końcu – pod presją – redakcja „New Statesmana” opublikowała precyzyjny zapis wywiadu, wyszło na jaw, że Eaton dopuścił się manipulacji, wrywając z kontekstu i przeinaczając wypowiedzi filozofa. Niestety, niewiele to zmieniło. Scruton nie został przywrócony do pracy ani przeproszony przez ministra, który wyrzucił go z posady. Co więcej, na lewicy pojawił się inny zarzut. Że – być może – Eaton faktycznie pozmięniał wypowiedzi Scrutona, ale nie byłoby tego, gdyby filozof swoje poglądy zatrzymał tylko dla siebie.

Scruton jest najbardziej rozgoryczony postawą torysów: „Jeśli nikt nie będzie bronił konserwatywnych wartości, to one znikną z polityki. I co będzie, gdy ludzie zauważą, że nie mają swojego głosu w parlamencie? Nadszedł czas, aby torysi się wreszcie obudzili”.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock (x3)

Wybór na prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego to nie jest banalne wydarzenie. Grał w serialu rolę komediowego prezydenta i w konsekwencji został prezydentem poważnym. Rzadki przypadek, żeby od roli w serialu przeskoczyć do roli w polityce. Z kabaretu do dramatu. Ciekawe, kto mu teraz będzie pisał scenariusze i dialogi?

Pamiętamy prezydenta Ronalda Reagana, który w polityce pojawił się po „stażu” w Hollywood, jednak po drodze pełnił wiele ważnych funkcji, był aktywnym związkowcem, gubernatorem Kalifornii. Jego prezydentura nie była wprost kontynuacją filmowej kreacji. Republikańscy wyborcy dobrze znali jego poglądy na sprawy państwa, świata, ideologii...

Nie były to poglądy przypadkowe, lecz konsekwentnie antylewicowe, wręcz antykomunistyczne, choć komunistów USA w większej skali nie było. Ale w świecie się panoszyli. Puszczane przez Reagana w świat określenie „imperium zła”, dotyczące ówczesnego Związku Sowieckiego, zbiegło się w czasie z buntem polskiej Solidarności i pontyfikatem św. Jana Pawła II. Imperium zła zostało w dużym stopniu osłabione.

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Zełenski – z kabaretu do dramatu



**Jan
Pietrzak**

Takie jest wieloletnie tło radykalnej wymiany prezydenta poprzedniej generacji na kogoś młodszego, z innym zapleczem. Akurat emocja społeczna trafiła na popularnego od 20 lat wesołka z kabaretu Kwartal 95.

Trudno mi w tym miejscu nie przywołać własnego epizodu wyborczego z 1995 r. Sytuacja w Polsce ówczesnej w dużym stopniu przypominała to, co widzimy na Ukrainie – rządy oligarchów. Miałem ten feler, że żaden oligarcha władający mediami mnie nie popierał. Byłem bezwzględnie przemilczany ze swymi poglądami: „Żeby Polska była Polską”. Mój czas jeszcze nie nadszedł, ale spokojnie,

jestem dopiero po osiemdziesiątce.

Panie Zełenski – szczerze życzenia udanych występów w nowej roli!

Piękne okoliczności przyrody

**Z aktorką Aleksandrą
Szwed rozmawia Jolanta
Gajda-Zadworna**

**Serialowa Patrycja Blechacz dla drzew
zrobi wiele?**

Aleksandra Szwed: To typ wojowniczeki. I jako ekologiczna aktywistka, i dziennikarka, gdy chodzi o naturę, jeńców nie bierze, ale dzisiaj potrzeba takich ludzi, bo zapominamy, że bez lasu nas nie będzie i że to dobro jest nie tylko dla nas. Chciałabym, żeby mój syn też mógł się nim cieszyć. I uczył się je szanować od małego.

**Czy „Leśniczówka” to serial dopasowany
do pani?**

Od dzieciństwa uważałam się za tzw. leśnego ludzika. „Lato leśnych ludzi” było jedną z moich ulubionych książek. Wakacje to dla mnie Mazury. Przez jakiś czas byłam ambasadorem państwowych lasów war-

szawskich, więc w takich okolicznościach przyrody i z taką obsadą mogłabym stale pracować.

**20 lat temu premierę miała „Rodzina
zastępcza”.**

Zaczynałam przygodę z tym serialem jako siedmiolatka. Najbliżsi byli przekonani, że to będzie na chwilę, że szybko mi się znudzi, a w cudownie rodzinnej atmosferze zanurzyłam się na ponad dekadę.

Niewiarygodne, ale w tym roku obchodzę 23-lecie „pracy zawodowej”. Najpierw był program „Ziarno”, potem „5, 10, 15”, później jeszcze „Droзда Show” i dopiero wtedy „Rodzina zastępcza”. Niezwykle wzruszające jest to, że za każdym razem, kiedy wrzucę do sieci jakieś zdjęcie sprzed dwóch dekad czy też spotkam się z moim ekranowym rodzeństwem, ludzie reagują niesamowicie ciepło. Bardzo cieszy, że zostawiliśmy tak fantastyczne wspomnienia i dobre emocje związane z tym serialem.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tolerancyjni, krytyczni i wnikliwi

Nie zawsze jesteśmy zadowoleni, kiedy okazuje się, że mieliśmy rację. Powtarzając od prawie 30 lat, że nasz świat stanął na głowie, a pojęcia zaczęły znaczyć swoją odwrotność, nie czuję satysfakcji, gdy otrzymuję kolejne dowody na potwierdzenie mojej tezy. Przypuszczalnie Ryszard Legutko nie ucieszył się, kiedy władze uczelni amerykańskiej Middlebury College odwołały jego wykład w dniu, w którym miał się on odbyć, chociaż wydarzenie to potwierdza tezy jego książki „Triumf człowieka pospolitego”. Została ona wydana właśnie w USA pod tytułem „The Demon in Democracy: Totalitarian Temptations in Free Societies” – „Demon w demokracji: totalitarne pokusy wolnych społeczeństw”. Wykład nią sprowokowany został zaatakowany i w efekcie odwołany pod hasłem tolerancji, a przyczyną były niewłaściwe poglądy autora.

Awanturę w Middlebury College rozpoczął prof. Kevin Moss, który jest wprawdzie specjalistą od literatury rosyjskiej, ale od ponad 20 lat zajmuje się nią pod kątem gender, gejów i lesbijek. Mossa zaszokowały wypowiedzi Legutki na temat homoseksualizmu. „Moi koledzy w Polsce uświadomili mi, co on mówi i jakie są jego poglądy. Okazało się, że demonem w demokracji jest tolerancja”. W jej imię gender-profesor wezwał do protestu przeciw wykładowi Legutki. Wstrząsnęła nim wypowiedź filozofa, który oświadczył: „Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek może być dumny z bycia homoseksualistą. Bądź dumny z tego, co robisz, a nie z bycia homoseksualistą”.

Po uniwersytecie krążyć zaczął otwarty i licznie podpisywany list przeciw wystąpieniu Legutki, który „otwarcie i hardo prezentuje homofobiczne, rasistowskie, ksenofobiczne i mizoginiczne poglądy”. Akceptacja takiego mówcy „to wykluczenie dużej części społeczności Middlebury, tych zaangażowanych, krytycznych i wnikliwie myślących, których energia powinna zostać zużytkowana lepiej niż zwalczanie degradacyjnej i dehumanizującej retoryki”.

Dowiedzieliśmy się więc, że homofobia to kwestionowanie dumy z seksualnych preferencji, wątpliwości co do wielokulturowego społeczeństwa oznaczają rasizm, ksenofobia to dbałość o interes swojego narodu, a sprzeciw wobec aborcji to mizoginia.

A oto fragment listu absolwenta Middlebury College (Pola) opublikowanego w tamtejszym piśmie studenckim:



„Jestem całym sercem za zapraszaniem wykładowców, którzy prezentują odmienne niż uczelniana większość poglądy. Ale nie powinni być oni bigotami i hipokrytami”.

Hm... Do tego, że katolik, jeśli przyznaje się do religii, według „krytycznych i tolerancyjnych” jest bigotem, zaczynam się przyzwyczajać, ale hipokryta? Przecież Legutko oskarżany był o to, że sądy swoje wygłasza otwarcie i hardo. Skoro jednak krytycyzm myślenia oznacza popieranie większości, może hipokryzją jest przeciwstawienie się jej?

Zastanawiam się tylko, co jest poglądem innym od większości, który wolno na amerykańskich (nie tylko) uczelniach akceptować, co nie jest jeszcze dehumanizującą retoryką.

Polityk PO Andrzej Halicki tak skomentował sprawę: „Odwołano w USA wykład europosła Legutki (PiS) z powodu szerzenia rasizmu i ksenofobii. Zdumiony. Myślał, że leci na zlot Ku Klux Klanu?”. Uznanie, że poglądy specjalisty od Platona kwalifikują do KKK, świadczy nawet nie tyle o myśleniu Halickiego – podejrzenie go o nie wydaje się dość ryzykowne – ile o metodach politycznych PO, które stają się coraz bardziej „krytyczne i tolerancyjne”.

Na uniwersytetach zachodnich studenci coraz ostrzej stosują dyktaturę poprawności politycznej. W Niemczech zaatakowana została grupa historyków, których wykłady nie mieściły się w jej dogmatach. To studenci dziś nauczają profesorów, jak i co wolno wykladać.

Tydzień przed awanturą w Middlebury College za konserwatywne poglądy ze stanowiska przewodniczącego rządowej komisji ds. budownictwa odwołany został wybitny filozof angielski Roger Scruton. Pretekstem był wywiad z nim, który spreparował wicenaczelną „The New Statesman” George Eaton. Scruton, mówiąc o Chińskiej Partii Komunistycznej, powiedział: „Oni robią roboty z własnych ludzi. Każdy Chińczyk jest jakby kopia następnego”. Eaton zostawił tylko: „Każdy Chińczyk jest kopia drugiego”. I tak potraktował całość wypowiedzi Scrutona. Po jego odwołaniu opublikował na Twitterze zdjęcie, na którym pije szampana z butelki, ciesząc się z dymisji „prawicowego rasisty i homofoba”.

Głośny brytyjski historyk Niall Ferguson napisał w „The Times”: „Nowa armia czerwona chce uciszyć debatę. Musimy powstać i oprzeć się temu [...]. Albo będziemy trzymać się razem, albo powieszą nas oddzielnie”.

Czy jest jeszcze nadzieja?

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Profanacja



Wyborcza” dla swoich czytelników jest święta niczym Ewangelia. Przecież jakoś należy tłumaczyć sprzeczność tym z nich, którzy wierzą i praktykują, że trzeba bezwzględnie głosować na partie popierające aborcję, gender i działalność LGBT. W związku z tym na Czerskiej wzorem gnostyków (w dużym skrócie wiedza ponad wiarę jako narzędzie samozbawienia) powstała wiodąca w Polsce grupa świeckich interpretatorów Pisma Świętego. Wspierają ich redaktorzy ewangelistów z TVN, np. Katarzyna Kolenda-Zaleska. Co rusz instruują oni Kościół katolicki, jak należy właściwie rozumieć słowa Chrystusa, równoległe unikając jak ognia niedzielnej mszy świętej. Ostatnio w Płocku sprofanowano obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, domalowując jej aureolę w kolorach tęczy. Zdaniem redaktora z Czerskiej Dominiki Wielowiejskiej czyn ten nie był żadną profanacją. „Tęczowa flaga nie jest niczym złym” – stwierdziła mocą autorytetu ex cathedra. Ciekawie uzasadniła swoją tezę: „Cała nauka Kościoła, cała nauka Jezusa Chrystusa się sprowadza do miłości wobec wszystkich”. Wiadomo. Nie ma jak jasny i nieskomplikowany przekaz. Tylko ten Szymon Mag „Wyborczej” zapomniała dodać, że wspomniany Jezus Chrystus brzydził się grzechem popełnianym przez tych, których kocha. A sodomia i wszystkie inne sprawy ją afirmujące, jak głosi Pismo, rzeczoną grzechem jest i nikt tego nie zmienia, z Wielowiejską i Biedroniem włącznie. Kolejna żenada połączona z ignorancją, chyba jeszcze większa niż występy nauczyciela-krowy podczas strajku Broniarza.

Również z mocy urzędu wypowiedział się szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker.

Ten do tej pory niekwestionowany autorytet totalnej opozycji, którego słowa działacze Koalicji Europejskiej traktowali niczym prawdę objawioną, na pytanie: „Czy gdyby w Polsce wybory wygrało PiS, naszemu krajowi groziłby tzw. polexit?”, odpowiedział krótko: „Nie!”. Uzasadnienie: „Polska ma za sobą tragiczną historię. To ona razem z Węgrami rozpoczęła proces przemian demokratycznych w Europie Środkowej. [...] Polskę zawsze uważałem za przykład dla Europy Środkowej. Dlaczego mówię o historii? Bo ona powoduje, że polski naród, zwykli ludzie wiedzą, iż naturalnym miejscem jest dla nich serce Europy!”. Na takie dictum odezwał się Leszek Miller z zapytaniem: „Czy pan Juncker był po jednym koniaku czy po większej ilości?”. Ja wiem, że w środowisku SLD za kołnierz się nie wylewa. Akurat w tym temacie wścibski nie jestem i do kieliszka innym staram się raczej nie zaglądać. Ale proste chwytły spod znaku „przyganiał kociół garnkowi” to już nieładnie.

Aco nowego u przybyszów z Południa za Odrą? Otóż okazuje się, że zamieszkujący razem z imigrantami „kolorowe” dzielnice Berlina, Kreuzberg i Neukölln ludzie o lewicowo-zielonych poglądach, choć chętnie się z nimi obnoszą, to jeśli chodzi o wysyłanie swoich dzieci do tych samych szkół, zachowują daleko idącą rezerwę. Przez przedstawicieli „frakcji café latte” (bezglutenowe, „otwarte”, lewackie hipsterstwo) szkoły z przewagą kolorowych są omijane szerokim łukiem. Rzeczniczka okręgu Friedrichshain-Kreuzberg Sara Lühmann wyjaśnia metody stosowane przez lewicowo-zielonych rodziców, by uniknąć zbytnej fraternizacji z potomstwem imigrantów: „Jeśli chodzi o wybór szkoły podstawowej, to dla

rodziców tylko jeden czynnik odgrywa główną rolę – odsetek uczniów ze środowisk migracyjnych. Jeśli jest zbyt duży, oznacza to dla tej otwartej jakoby grupy sygnał do przeniesienia swojego potomstwa. Aby nie wysyłać ich do takiej jak szkoła podstawowa Jens Nydahl w Kreuzbergu, gdzie wśród 370 uczniów tylko jeden posługuje się niemieckim jako językiem ojczystym, »advokaci różnorodności« meldują swoje dzieci u dziadków, wujków lub opiekunek. Padają nawet argumenty takie jak: »w innej dzielnicy powietrze jest po prostu lepsze«. Jak wiadomo, przedstawiciele środowisk bezglutenowych bardzo dbają o ekologię, a szczególnie o czystość atmosfery. Nie można posyłać dzieci tam, gdzie ich zdaniem niezbyt ładnie pachnie.

Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Wyklętych oraz członkowie rodzin żołnierzy niezłomnych wspierani przez Redutę Dobrego Imienia złożyli przeciwko Joannie Senyszyn pozew o naruszenie dóbr osobistych. Powództwo dotyczy nieprawdziwych, krzywdzących opinii na temat żołnierzy wyklętych zamieszczanych przez byłą posłankę w mediach społecznościowych. Zdaniem obrotowej towarzyszy Senyszyn (od 1975 r. w PZPR, a od 1980 r. równoległe w NSZZ „Solidarność”): „Wyklęci to nie żołnierze, ale bandy wyrzutków społecznych, nierobów i frustratów czekających na III wojnę światową”. Senyszyn nalogowo myślała się żołnierze wyklęci z aktywności partii, z której się wywodzi, i może wreszcie się doigra.

Andrzej Rafał Potocki

Terminal LNG w Świnoujściu im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego zostanie rozbudowany. Na realizację inwestycji udało się pozyskać granty europejskie, które pokryją 60 proc. kosztów. Obecnie za pośrednictwem gazoportu do Polski transportowane jest rocznie 5 mld m³ gazu. Po rozbudowie ilość surowca wzrośnie do 7,5 mld m³, aby docelowo osiągnąć poziom 10 mld m³, co stanowić będzie 2/3 naszego rocznego zapotrzebowania na gaz.

W czasie uroczystości podpisania umowy na rozbudowę terminalu premier Mateusz Morawiecki podkreślił, że w polityce energetycznej przyświecają nam trzy cele: bezpieczeństwo, suwerenność i efektywność. Spełnienie ich jest możliwe dzięki rozwijającemu się gazoportowi, a także planowanemu na 2022 r. uruchomieniu gazociągu Baltic Pipe do transportu błękitnego paliwa z Norwegii przez Danię do Polski. Warto przypomnieć, że przygotowania do budowy wspomnianego gazociągu rozpoczęły się 20 lat temu za rządów AWS. W 2001 r. za czasów premiera Leszka Millera umowa z Norwegami została zerwana. Ponowne starania o umożliwienie stałych dostaw norweskiego gazu czynił w latach 2006–2007 rząd Jarosława Kaczyńskiego. Obecny rząd aktywnie działa w sprawie budowy Baltic Pipe. W kwietniu br. Gaz-System podpisał z unijną Agencją Wykonawczą ds. Innowacji i Sieci umowę na dofinansowanie budowy wskazanego rurociągu, na mocy której Unia przeznaczy na tę inwestycję 215 mln euro, co stanowi około 1/3 polskiego udziału w budowie.

Odpowiednie zaopatrzenie kraju w energię to warunek suwerenności i ugruntowania niepodległości Polski według prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Prezydent dążył do dywersyfikacji źródeł i kierunków dostaw surowców, takich jak ropa naftowa czy gaz ziemny. Był to jeden z głównych celów jego prezydentury. Jak słuszne było to przekonanie, świadczą dane z 2008 r., które warto w tym miejscu przytoczyć, by lepiej zobrazować wyjątkowość polityki energetycznej Polski na tle krajów europejskich. 11 lat temu źródła dostaw gazu do Francji kształtowały się następująco: Norwegia 29 proc., LNG 26 proc., Rosja 24 proc., pozostałe kierunki 21 proc. W Wielkiej Brytanii 76 proc. gazu pochodziło z Norwegii, LNG miał 3 proc. udziału w rynku, a pozostali dostawcy 21 proc. We Włoszech ponad połowa dostaw gazu pochodziła z tzw. pozostałych kierunków, 32 proc. z Rosji, 9 proc. z Norwegii, a LNG stanowiło 3 proc. W Niemczech rosyjski gaz stanowił 40 proc. dostaw, norweski 29 proc., a z pozostałych kierunków 31 proc. W tym samym okresie w Polsce aż 92 proc. dostaw gazu pochodziło z Rosji, 5 proc. z Niemiec, a z Norwegii zaledwie 3 proc.

Przedstawiona przez prezydenta Kaczyńskiego inicjatywa budowy gazoportu została podjęta przez rząd PiS jako strategiczna dla interesów naszego kraju. Ustalono warunki inwestycji, jej lokalizację w Świnoujściu, a także podjęto działania zmierzające do zawarcia kontraktów na dostawy, które miały

Racja stanu



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

się rozpocząć od czerwca 2011 r. Za rządów PO budowa gazoportu zdawała się jednak tracić na znaczeniu. W 2010 r. wicepremier Waldemar Pawlak podpisał z Gazpromem umowę, na mocy której umowa z Gazpromem została przedłużona do 2022 r. Ceny wynegocjowane przez członków gabinetu Donalda Tuska były znacznie wyższe niż obowiązujące w państwach Europy Zachodniej. Ekipa PO zobowiązała Polskę do obligatoryjnego odbioru określonej ilości surowca, która wobec planów uruchomienia gazoportu w Świnoujściu przekraczała nasze możliwości absorpcyjne.

W 2016 r. rząd PiS doprowadził do otwarcia gazoportu. Aktualnie ma on najwyższy poziom wykorzystania spośród 22 lądowych terminali regazyfikacyjnych w Europie, a dzięki rozbudowie w najbliższych latach jeszcze wzrośnie. Słuszność koncepcji dywersyfikacji dostaw gazu znajdować będzie odzwierciedlenie w niższych rachunkach dla gospodarstw domowych i przemysłu. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że obecnie tylko nieco ponad połowa obszaru Polski ma dostęp do gazu z sieci. Działania rządu PiS mają sprawić, by w ciągu najbliższych lat 90 proc. terytorium naszego kraju korzystało z błękitnego paliwa. 



WALDEMAROWI DĄBROWSKIEMU

dyrektorowi Teatru Wielkiego – Opery Narodowej

*wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia i otuchy
z powodu śmierci*

ŻONY

*składają
Agnieszka Kaczmarška,
szef Kancelarii Sejmu,
wraz z zastępcami*

Dziadek czy babcia?

Przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk podzielił się na Instagramie filmem, na którym jego wnuk uparcie nazywa go „babcią”. Tusk cierpliwie tłumaczy, że on jest dziadkiem, a babcia, to ta, co robi film. No i się okazało, że wcale nie taki postępowy ten nasz były premier. Bo przecież jakby był nowoczesny, to w dobie gender-rewolucji zgodziłby się na bycie babcią.



154,4
mln zł

– tyle wyniosły zaległości czynszowe osób i firm na koniec marca. Takie dane podał BIG InfoMonitor.

18,6
mln zł

– o tyle wzrosły w ciągu roku zaległości czynszowe osób i firm.

0,5
mln zł

– tę kwotę przekroczył dług z tytułu opóźnień w opłatach za czynsz mieszkanki z Dolnego Śląska. To rekordzistka w skali kraju.



Być facetem, być facetem

Z badań naukowców wynika, że męska broda ma więcej zarasków niż najbrudniejsza okolica psiej sierści. „Naukowcy chcieli ustalić, czy korzystanie z tej samej aparatury do wykonywania rezonansu magnetycznego przez ludzi i zwierzęta nie stwarza zagrożenia patogenami groźnymi dla człowieka. Badania, których wyniki opublikowano na łamach pisma »European Radiology«, wykazały jednak, że więcej chorobotwórczych mikroorganizmów znaleziono w męskiej brodzie niż w sierści czworonoga” – informuje rp.pl. No i jak tu nie kochać psów?

Bankructwo idei

Ups. Właśnie zbankrutowała feministyczna restauracja, w której mężczyźni płacili więcej niż kobiety. W lokalu The Handsome Her rachunki były o 18 proc. wyższe dla panów niż dla pań. Przy ustalaniu osobliwego cennika założycielki lokalu powoływały się na „gender wage gap”. O sprawie informuje portal Mambiznes.pl. Jakby tego było mało, kobiety w rzeczonym lokalu miały priorytetowo miejsca siedzące! Właścicielki nie zauważyły, że równość nie polega na dyskryminacji. Raczej po tej szowinistycznej knajpie nikt płakać nie będzie. A zwłaszcza mężczyźni. I ci z brodami, i bez.

Za dużo?

Fachowcy oszacowali, że koszt odbudowy katedry Notre Dame wyniesie ok. 600 mln euro. I tu zaczęły się schody. Wcale nie dlatego, że zebranie tej kwoty w zlaicyzowanej Francji jest niemożliwe. Wręcz przeciwnie. Okazało się, że zadeklarowana kwota wpłat znacznie przekroczyła tę sumę. „Tylko w ciągu 10 dni od pożaru zwykli ludzie oraz milionerzy zadeklarowali przekazanie co najmniej 750 mln euro na odbudowę katedry Notre Dame” – informuje Onet.pl. I teraz organizatorzy zbiórki mają pewien kłopot. Pierwszy raz słyszę, że ktoś się martwi, iż ma za dużo. Przecież za te pieniądze można odremontować parę innych kościołów. Dziwnym trafem te płoną ostatnio we Francji niczym pochodnie. 



” Posłowie Zjednoczonej Prawicy mogą najwyżej liczyć na przejściowe sojusze na rzecz wspólnego burzenia i awantur. No i zawsze mogą liczyć na życzliwość Władimira Putina” – stwierdziła była premier Ewa Kopacz. A mnie się wydawało, że na większą życzliwość niż Donald Tusk to nikt nie może liczyć.

Pod nazwiskiem

Władze Austrii chcą zlikwidować anonimowość w internecie. Projekt ustawy, który pojawił się w austriackim parlamencie, zakłada konieczność podania prawdziwych danych osobowych przed przystąpieniem do dyskusji w internecie. Zdaniem austriackich władz celem nowych przepisów ma być ograniczenie hejtu. O sprawie pisze Antyweb.pl. Nowe prawo ma zacząć obowiązywać od 2020 r. i dotyczyć dużych graczy internetowych. Mechanizmy weryfikacyjne miałyby się pojawić na tych platformach, na których zarejestrowanych jest 100 tys. (i więcej użytkowników)/które mają 500 tys. (lub więcej) euro przychodów w ciągu roku/otrzymują 50 tys. (lub więcej) euro dotacji od rządu. Wygląda na to, że na mniejszych platformach anonimowy hejt będzie można siać do woli. Pewnie o ograniczeniu hejtu w sieci warto myśleć, ale propozycje Austriaków mocno trąca Chinami. 

Fot. Andrzej Wiktor, Instagram.com, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Złapmy pedofilów na banana

Jaki owoc jest najbardziej ideologiczny? Można dyskutować o jabłku, które – wywołując oburzenie feministek – pokazuje cywilizacyjne słabości płci pięknej. Wiadomo, to na jabłko Ewa dała się nabrać Szatanowi i skusiła nim potem Adama. Choć niektórzy badacze starożytności utrzymują, że biblijny owoc był w rzeczywistości cytryną, co nieco zmniejsza wiarygodność całej tej opowieści.

Ostatnio do miana ideologicznej kości niezgody (czy owoc może być kością?) urasta banan. Sympatyczny żółty bumerang zawsze był kontrowersyjny, bo znane są właściwości jego skórki. Z jednej strony przyczepna, z drugiej śliska – łatwo się na niej przejechać i efektywnie upaść na glebę, co było wykorzystywane w dziesiątkach gagów.

Dziś najgorsze jest to, że banan niektórym przypomina (excusez le mot) penisa. Jest praktyczny jako rekwizyt pornograficzny (używany w tego rodzaju prezentacjach symbolicznie i kalkiem dosłownie), ale też „edukacyjny”. Biorę to słowo w cudzysłów, bo ostatnio coraz mniej w Polsce prawdziwej edukacji, a coraz więcej ideologii udającej nauczanie.

Czwierć wieku temu Wojciech Cejrowski okrutnie wyśmiał panią nauczycielkę, która – dostrzegając powyżej wspomniane podobieństwo (i będąc równie okrutną) – kazała uczniom nakładać prezerwatywy na banana.

W międzyczasie owocem tym zajęła się kochana Unia Europejska, ustalając, że za banana można uznać tylko taki egzemplarz, którego minimalna długość to 14 cm, a minimalny stopień zakrzywienia wynosi 27 mm. Tu oczywiście nie chodziło o ideologię, ale o wyeliminowanie konkurencji.

Banan w kulturze masowej pojawił się jeszcze w futbolu, jako argument bez wątpienia rasistowski. Kibice źle oceniający czarnoskórych piłkarzy mają w zwyczaju rzucać na boiska właśnie banany (lub ich skórki), dając do zrozumienia, że Murzyni są jak małpy. Ciekawe, że kolor skóry ich nie irytuje, kiedy czarny jest w formie i strzela dla nich bramki.

Teraz banan wrócił jako motyw obrazu usuniętego z Muzeum Narodowego. Naga modelka na zdjęciach traktowała żółty owoc jak niektóre swawolne panie traktują penisa. Czyli – czule.

Nie mnie oceniać, czy to jeszcze sztuka, czy pornografia. Zamiast usuwać obraz artystki z wystawy, wprowadziłbym ograniczenie wiekowe dla widzów. Powiedzmy: dozwolone od lat 15.

W końcu udaloby się wylapać pedofilów. Będą wśród tych, którzy zażądają zniesienia tych ograniczeń. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Jesteśmy na celowniku

Spalenie kukły Judasza w Pruchniku, notabene stary zwyczaj, już prawie w Polsce wygasł, został na świecie pokazany jako przejaw polskiego antysemityzmu. Nawet nasz episkopat odniósł się krytycznie do sprawy. Tymczasem – jak wskazywano często w internecie – nikt się nie oburza, że na świecie są praktykowane żydowskie obyczaje (też przecież bardzo stare), w trakcie których również wieszają wrogów. Judasz to przede wszystkim – jak oczywiście wiemy – zdrajca, a zwyczaj pastwienia się nad kukłą nie odnosi się do jego pochodzenia, tylko ma być odzwierciedleniem stosunku do zjawiska zdrady. Tego typu ludowych obyczajów, palenia kukiel, przebierania się za diabły i maskary, jest w wielu kulturach sporo. Nigdy nikomu nie przychodziło na myśl, by wiązać je z antysemityzmem. Jeszcze trochę, a okaże się, że wprowadzony zostanie zakaz sprzedaży figurek drewnianych (przynoszących szczęście) przedstawiających Żydów – można je było zawsze kupić czy na warszawskim Barbakanie, czy w Krakowie.



**Tomasz
Łysiak**

To z jednej strony. Ale z drugiej – musimy brać pod uwagę to, że nie tylko zmieniają się świat oraz jego obyczaje, lecz również, co najważniejsze, środki przekazu funkcjonują obecnie inaczej niż niegdyś. Lokalne wydarzenia, o których kiedyś nikt by nawet w gazecie się nie rozpisiał, teraz – za sprawą nie tylko mediów zawodowych, lecz także społecznościowych (tych chyba nawet przede wszystkim) – nabierają w mgnieniu oka wymiaru sprawy interesującej świat. I wtedy już bardzo trudno tłumaczyć prawdziwe intencje czy wyjaśniać, że np. kukła Judasza symbolizuje Judasza, a nie co innego (a to można łatwo wypaczyć za pomocą interpretacji, nawet podpisu pod zdjęciem).

I – co najważniejsze – jest oczywiste, że znajdujemy się obecnie „na celowniku” światowej opinii publicznej, każde słowo „może być wykorzystane przeciwko nam”. A to oznacza, że musimy bardzo uważać na to wszystko, co nawet wbrew intencjom (a tak zakładam w dobrej wierze w wypadku Pruchnika) może zostać ukazane w mediach w złym świetle. Kiedy stąpa się po polu minowym, trzeba uważnie stawiać każdy krok. 

No i wyszło sztyldło z worka – z naszymi mediami jest tak źle, jak jeszcze nie było. W Światowym Indeksie Wolności Prasy z 2016 r., czyli tuż po utracie władzy przez spółkę PO-PSL, Polska spadła z 18. na 47. miejsce, w kolejnym raporcie zajęliśmy 58., a w najnowszym 59. pozycję. „Gdy polityczna debata odbywa się w stylu wojennym, a dziennikarze traktowani są jak kozły ofiarne, to demokracja jest w niebezpieczeństwie” – ostrzegł w Deutsche Welle sekretarz generalny Reporterów bez Granic Christophe Deloire z Niemiec, gdzie – jak wiadomo – media są tak wolne, że wolniejsze już być nie mogą. Wreszcie słowa prawdy ze strony organizacji, od której tak rzetelnej oceny bym się nie spodziewał!

Gwoli ścisłości, ta rzetelna ocena stanu rzeczy jej się wymysknęła, ale jest i mówi sama za siebie: wolne media są w Polsce w stanie szczytkowym. Po pierwsze dlatego, że prawie nie ma u nas polskich mediów. Należą do zagranicy, głównie do niemieckich koncernów. Taka np. Verlagsgruppe Passau, u nas pod zwodniczą nazwą Polska Press, skupia wszystkie dzienniki regionalne z wyjątkiem konającego „Kurier Szczeciński”, ze średnią sprzedażą kilku tysięcy egzemplarzy. Niemiecki koncern wydaje tam de facto „Głos Szczeciński”. Jak zatem może być mowa o wolnych polskich mediach, skoro polskie nie są...?

Język Stalina



**Piotr
Cywiński**

Niby jest Telewizja Polska, ale – to po drugie – i ta nie jest wolna, bo, co wytknęli z obrzydzeniem zagraniczni Reporterzy bez Granic, przekształcono ją w narodową tubę propagandy rządowej. Ludzie są tak zbulwersowani tą jej mową nienawiści, że odbyły się nawet demonstracje pod siedzibą TVP Info i oddziałami terenowymi. Oj, przydałby się w TVP taki Tomasz Lis, który dowiódł już nie raz, że potrafi zrobić Ordnung; gdy objął tygodnik „Wprost”, wywalił z dnia na dzień cały zespół, to samo powtórzył w „Newsweeku” i ma u nadzorców z zagranicy poważanie. A że TVP jeszcze do nich nie należy, Towarzystwo Dziennikarskie Seweryna Blumsztajna napisało alarmistyczny list do szefa Parlamentu Europejskiego Antonia Tajaniego, przepojony obawami o przebieg eurowyborów w naszym kraju, które są „zagrożone”, z wezwaniem do „reakcji na kolejny przejaw łamania praworządności w Polsce”.

Źle się dzieje nie tylko u nas. Dostało się też Donaldowi Trumpowi; Amis spadli w rankingu wolności na 45. miejsce. Niemiecka dziennikarka Katja Gloger z zarządu Reporterów bez Granic zbesztala prezydenta, że podaje w wątpliwość uczciwość mediów i judzi przeciw nim językiem Stalina.

Strach pomyśleć, co świat począłby bez tych niemieckich strażników niepodległości... 



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANEK, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLIŃSKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ

POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA,
ALEKSANDRA RYBŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŁUK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW
WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN Oraz WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI Oraz RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
Klienta „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOZNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNIA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR (4), PRZEMYSŁAW GETKA/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/
EAST NEWS, BEATA OLEJARKA/SUPEREXPRESS/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK (X3)

Nie ma zgody na akceptację kłamstwa

Nie możemy dać się zgnoić kłamstwami na temat naszej historii tylko dlatego, że w międzyczasie wokół nas powstały kłamliwe mity, sfalszowane narracje, szczególnie dotyczące kluczowych momentów jak II wojna światowa

Michał Karnowski rozmawia z profesorem *Janem Żarynem*, historykiem, senatorem, redaktorem naczelnym „wSieci Historii”

Pozwoli pan profesor, że od razu przejdę do sprawy, która doprowadziła do tej rozmowy. Profesor Paweł Śpiewak, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, był laskaw ostatnio tak o panu powiedzieć: „Jan Żaryn reprezentuje skrajnie nacjonalistyczne środowiska w Polsce, nie sądzę, by jego głos był jakkolwiek reprezentatywny, choć jest mocny i jak zwykle nieprzekonywujący. Bardzo agresywny ton, ale nic z niego nie wynika”. Pana reakcja?

Jan Żaryn: Trudno się polemizuje z obelgami.

To obelgi?

W poważnej debacie publicznej słowa tak stygmatyzujące można uznać za obelżywe, za inwektywy. Ale skłamałbym, mówiąc, że jestem jakoś zdziwiony. Od kiedy zacząłem się publicznie udzielać, czyli od połowy lat 90., stykam się z atakami agresji z powodu wyrażanych przeze mnie poglądów. Tak było, tak jest i tak będzie. To, że prof. Śpiewak zdecydował

się włączyć w ten nurt, nie przynosi z mojego punktu widzenia jakiejś zmiany jakościowej.

Kilka dni wcześniej Paweł Śpiewak nazwał redaktora Pawła Lisickiego „jednym z największych antysemitów w Polsce”. Co to jest? Próba wykluczenia? Zablokowania debaty o relacjach polsko-żydowskich?

Pan Śpiewak pewnie wie, że pomawianie o antysemityzm po II wojnie światowej w rozumieniu współczesnego świata oznacza przypisanie komuś zdolności do zamordowania kogoś z powodu innej rasy, narodowości czy wyznania. Taką to ma moc i tak trzeba tę niemądrą i przede wszystkim nieprawdziwą wypowiedź odczytywać. Ale chociaż dotyczy to dwóch osób, to uważam, że jest tu wspólny klucz, przyczyna ataku.

Co nim jest?

Stosunek do obozu narodowego, jego roli przed wojną, w czasie wojny, na emigracji i po wojnie, choćby w walce

Fot. Andrzej Wiktor



Pan Śpiewak pewnie wie,
że pomawianie
o antysemityzm
po II wojnie światowej
oznacza przypisanie
komuś zdolności
do zamordowania kogoś
z powodu innej rasy,
narodowości czy wyznania

żołnierzy wyklętych. Tu chodzi o to, by np. moje poglądy na tę sprawę, wynikające z wiedzy, z dogłębnych studiów nad tematem, nie były już publicznie wyrażane. I żeby mnie oraz inne osoby to podnoszące zepchnąć do roli obywateli drugiej kategorii. Ta nietolerancja nie zaczęła się dzisiaj. Kiedy w styczniu 2006 r. z rąk prof. Janusza Kurtyki otrzymałem nominację na dyrektora Biura Edukacji Publicznej IPN, to natychmiast pojawiły się pomówienia, iż ja, ze swoimi poglądami nawiązującymi do dorobku obozu narodowego i jako praktykujący katolik, nie mam prawa być dyrektorem jakiegokolwiek instytucji w niepodległym państwie polskim.

Jakie argumenty podnoszono?

Trudno to nazwać argumentami. Twierdzono, że jako osoba o poglądach narodowokatolickich z definicji niejako będę osobą nietolerancyjną, wykluczającą myślących inaczej niż ja. Co więcej, narodowy katolik to w tym myśleniu niemal z automatu antysemita, a zatem osoba zdolna do zbrodni. To pomówienia szalenie daleko idące, wyrażane w taki sprytny – lepiej powiedzieć: cwany – sposób, by osoba pomawiana nie mogła nawet iść do sądu. Jako katolik widzę tu diaboliczne próby zniszczenia człowieka, a nie poszukiwanie komunikacji z osobą o innym poglądzie.

Dostrzegło to grono polskich intelektualistów, stwierdzając w liście otwartym po ataku na Pawła Lisickiego: „Prof. Śpiewak podejmuje próbę wykluczenia oponenta z debaty publicznej za pomocą również ciężkich, co pozbawionych podstaw zarzutów. Zważywszy na zasługi i dorobek Pana Profesora, apelujemy o zaprzestanie dewastacji polskiego życia publicznego wypowiedziami podobnymi powyższym”. Odniesie ten apel, jakiś skutek?

Zawsze trzeba wierzyć, że nastąpi opamiętanie i zejście z tak nietolerancyjnej drogi.

Może trzeba spojrzeć na te ataki w inny sposób, jako dowód, że operacja przerabiania Polaków z ofiar II wojny światowej na rzekomych

sprawców i organizatorów zbrodni dokonanych przez niemiecką machinę państwową się nie udaje? W każdym razie na gruncie polskim, bo na świecie nasze możliwości przeciwdziałania są jak na razie znikome. Jakiś rodzaj uznania, także dla pana profesora?

Odlóżmy na bok uznanie i mnie osobiście, bo tu idzie o sprawy fundamentalne. Ja na pewno nie dam się uciszyć, zastraszyć. Bez wątpienia jesteśmy dziś na takim etapie, na którym jako naród wiemy już, jak wielkim naszym obowiązkiem jest dbanie o pamięć o polskiej historii. W taki sposób, by zostały mocno wyartykułowane, podniesione te wątki, z których mamy prawo być dumni i z których mamy prawo brać przykład, jak z pokładów węglowych najpiękniejsze diamenty. Po to, byśmy stawali się bogatsi także my, współcześni.

Czy spoglądając wstecz na ostatnie kilka dekad, możemy powiedzieć, że jesteśmy na dobrej drodze?

Zdecydowanie. Zasoby Polaków świadomych tego dorobku historyczno-kulturowego rosną. I tu też widzę przyczyny prób dyskredytacji tych, którzy się do tego przyczyniają. To jest wielka sprawa i wielka troska znacznej części polskiej inteligencji, byśmy nie gubili swego patriotyzmu. Nie chciałbym, by tylko prawicowej inteligencji, bardzo bym tego nie chciał, ale bez wątpienia to myśmy nadali ton. I dzisiaj większa część Polaków zgadza się z nami, że nadal mamy być narodem historycznym, mamy prawo czerpać z dziejów naszych to, co najpiękniejsze. I że nie możemy dać się zgnoić kłamstwami na temat naszej historii tylko dlatego, że w międzyczasie wokół nas powstały kłamliwe mity, sfalszowane narracje, szczególnie dotyczące kluczowych momentów jak II wojna światowa.

Tu sporu chyba za wielkiego nie ma?

Jak to nie ma? To nie było wcale takie proste. Jeszcze w latach 90. znaczna część elit polskich nie tylko nie miała projektu, by nas podnosić, lecz miała projekt, by nas dołować. Mieliśmy po prostu się poddać tym kłamstwom.

W tym sensie oczywiście zgoda – od pisarstwa Jerzego Kosińskiego po książkę „Dalej jest noc...” uparcie budowany jest mit Polaków ochoczych pomocników Hitlera w zagładzie Żydów.

Tak, to jest jedna linia. Próbuje się nam narzucić zasadę, że teza o polskim współsprawstwie jest jedyną dozwoloną, a każdy, kto się z niej wyłamuje, kto ją odrzuca, musi poznać smak kary. Do tego np., co mnie spotyka od wielu lat, pomówienia i paszkwile.

A może to po prostu normalny, choć ostry, dyskurs publiczny, historyczny?

To optymistyczne spojrzenie, bo zakłada, że obie strony są zainteresowane dotarciem do prawdy. Po drugiej stronie tej debaty tego niestety nie dostrzegam. Jest linia narracyjna i wszystko jest jej podporządkowane. Dla mnie jako chrześcijanina takie podejście jest nie do zaakceptowania. Chrześcijaństwo podkreśla i przyjmuje, że prawda jest jedna. Cały nasz wysiłek intelektualny musi więc zmierzać do tego, żeby się do niej zbliżyć. Budowanie narracji, która ma być wygodna, łatwa do przekazania i jeszcze komuś do czegoś potrzebna, czyli ma wartość jedynie użytkową, jest działaniem niegodnym ani chrześcijanina, ani historyka.

Właśnie, do czego ta fałszywa opowieść o Polsce współorganizującej Holokaust jest potrzebna?

Sprawa jest złożona. Przede wszystkim musimy pamiętać, że tragedia Holokaustu wywołała w narodzie żydowskim olbrzymią traumę, a pamięć o tym, co zrobili im Niemcy, wpływa na kolejne pokolenia, ogniskuje uwagę i pewnie jeszcze długo tak będzie. W tej pamięci możemy mówić o pewnych dominantach. I tak, zwłaszcza w latach tużpowojennych, niezwykle silnym elementem tej pamięci był żal, że także Żydzi zgotowali ten los Żydom. Ta pamięć została potem zupełnie wyparta i rozmyta, ale w pierwszych latach bardzo silnie towarzyszyła narodowi żydowskiemu, który nie mógł się pogodzić z tym, jak wielu Żydów zdradziło Żydów w czasie Holokaustu.

Od Calej Perechodnika, policjanta żydowskiego z getta w Otwocku, który odprowadził do transportu własną rodzinę, po siatki żydowskich agentów gestapo wyszukujących Żydów po aryjskiej stronie, bo takie wypadki też się zdarzały.

Tak jest. I niektórzy, jak właśnie Calej Perechodnik, potrafił się z tym zmierzyć. Ale to był i będzie dla Żydów jeden z najbardziej bolesnych wątków w próbie opowiadania o tych tragicznych czasach. Na to nakłada się drugi ważny element, czyli to, że Holokaust odbył się na okupowanych ziemiach polskich. Niewątpliwie bardzo często Żydzi mieli autentyczny lęk w momencie podejmowania decyzji o ucieczce czy to z getta, czy z wagonów do Treblinki, czy z jakiegokolwiek innego ostatecznego miejsca przed spotkaniem z nieznaną stroną aryjską. Ten lęk niewątpliwie wynikał z tego, że istniała rzesza Polaków, którzy ten lęk wytwarzali: szmalcowników, obrzydliwych ludzi, którzy byli zainteresowani wręcz tym pierwszym spotkaniem Żyda w haniebnym celu. To jest bardzo ważny element pamięci żydowskiej, również bardzo mocno przeżywany.

I nasza, polska, wina? Odpowiedzialność?

Szmalcownicy zostali wytworzeni przez państwo niemieckie, byli wytworem ekonomicznych, prawnych i społecznych warunków świadomie narzuconych przez Niemców w okresie okupacji. Szmalcownicy jako produkt okupanta zostali w związku z tym wykluczeni przez Polskie Państwo Podziemne z narodowej wspólnoty.

O tym w swoich tekstach pisał ostatnio na łamach „Sieci” dr Piotr Gontarczyk, wskazując, jak precyzyjnie i diabelsko została niemiecka maszynieria okupacyjna skonstruowana, jak była nakierowana na świadome wciąganie do współpracy przy polowaniu na Żydów ludności miejscowej. Za wszelką pomoc udzielaną ukrywającym się Żydom stosowano odpowiedzialność zbiorową, rozstrzelania rodzin, palenie całych wsi.

rową, rozstrzelania rodzin, palenie całych wsi.

Czytam teraz bardzo ciekawą pracę doktorską o powojennych rozprawach sądowych w byłym dystrykcie krakowskim na podstawie dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego”. Zawarty jest tam cały katalog plotek i zarzutów dotyczący tego, że ktoś miał wydać Żyda Niemcom bądź dopuścić się na nim zbrodni.

Zasoby Polaków świadomych dorobku historyczno-kulturowego rosną. I tu też widzę przyczyny próby dyskredytacji tych osób, które się do tego przyczyniają

Niektórzy autorzy tzw. nowej polskiej szkoły badania Holokaustu cytują wszystkie zeznania tam się pojawiające bezkrytycznie, traktując je jako zapis faktów.

Trzeba być ostrożnym i sprawdzać je każdorazowo. Wiele z nich się nie potwierdza, część jest czystym pomówieniem, przejawem szukania osobistej zemsty za jakieś dawne spory. A często, o czym też pisał dr Gontarczyk, sprawy te dotyczą funkcyjnych, wójtów, sołtysów, urzędników wprowadzonych przez maszynę państwa okupacyjnego w straszną sytuację. Albo będą stroną przekazującą informację o tym, że należy Żydów zgłaszać żandarmerii niemieckiej, albo, jeśli tego nie zrobią, nie powiedzą, nie będą przekazywać niemieckiemu prawu, to cała wieś zostanie poddana brutalnej odpowiedzialności zbiorowej. W żydowskiej pamięci ci ludzie byli często tymi, którzy w Holokauście uczestniczyli.

Na tym buduje się teza, że Polska brała udział w Holokauście.

Nie jest to prawda. Strona polska nie była w czasie wojny stroną bezimienną. Miała swoje imię: rząd RP na uchodźstwie oraz jego reprezentacje w kraju zawarte w pojęciu Polskie Państwo Podziemne. Jeżeli ktoś chce opowiadać o Polakach w czasie II wojny światowej i nie uwzględnić tego, kto nas wówczas legalnie, w świetle prawa międzynarodowego i w świetle rzeczywistych działań reprezentował, zaczyna kłamać.

A ten rząd i to państwo zrobiły w sprawie ratowania Żydów, co należało?

Zrobiły więcej niż ktokolwiek inny. Nie ma żadnej innej struktury państwowej, która co najmniej od jesieni 1942 r. tak aktywnie włączyła się w pomoc prześladowanym i mordowanym Żydom, która tyle zrobiła, by alarmować świat o tej straszliwej tragedii, która włączyła do celów prowadzenia wojny ratowanie Żydów. To jest kanoniczna prawda historyczna dotycząca II wojny światowej i wyzwanie dla współczesnych naszych relacji z Izraelem jako reprezentantem społeczności żydowskiej. Nasze państwo – rząd RP na uchodźstwie i Polskie Państwo Podziemne – uznało, że ratowanie Żydów jest jednym z celów wojny, co zostało wprowadzone do budżetu państwa, dyplomacji, polityki informacyjnej wobec świata, w podziemiu zaś do działań sądownictwa przeciwko szmalcownikom, do zadań Armii Krajowej itd. Do tego utworzono specjalną organizację, jaką była Rada Pomocy Żydom „Żegota”, podległa Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj i jej delegatur okręgowych, z których budżetu m.in. była utrzymywana.

Dlaczego Żegota powstała dopiero jesienią 1942 r.? Dlaczego ta akcja nie zaczęła się wcześniej?

Po pierwsze, Holokaust uświadomiony zaczyna się właśnie wtedy. Jasne, prześladowania ruszają tuż po wejściu Niemców na Kresy w lipcu 1941 r. (do grudnia 1941 r. Niemcy

wymordowali ok. 500 tys. Żydów). Ale dopiero wiosną 1942 r. rusza machina zbrodni w GG, a latem i wczesną jesienią 1942 r. staje się dla wszystkich jasne, jak zbrodnicze plany mają Niemcy i jak konsekwentnie je realizują. W dokumentach z tamtego okresu widać, że bardzo długo ani strona żydowska, ani polska nie rozumieją, co się dzieje, jaką formę przybiera niemieckie „ostateczne rozwiązanie” kwestii żydowskiej.

Jednak już w czerwcu 1941 r. za Wehrmachtem podbijającym Związek Radziecki podążają Einsatzgruppen, które dokonują masowych egzekucji ludności żydowskiej, organizują pogromy.

Dziś wiemy, że był to pierwszy etap Holokaustu. Ale nie wiedzą tego jeszcze ani Polacy w Warszawie, ani Żydzi w getcie warszawskim, ani struktury państwa podziemnego, ani rząd na uchodźstwie. W archiwach Rady Pomocy Żydom i Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj znajduje się bardzo ważny i ciekawy dokument z jesieni 1942 r. To deklaracja sformowania reprezentacji żydowskich getta warszawskiego, pod którą podpisują się, osobno, bo nie mogli się porozumieć, Komitet Narodowy Żydowski i socjalistyczny Bund. Tam stwierdzają też, że uznają Polskie Państwo Podziemne jako jedyną strukturę, która de facto jest w stanie ich interesy, interesy narodu żydowskiego mordowanego przez Niemców, reprezentować. To z kolei pozwala uruchomić Żegotę, która jest wspólną organizacją obu stron. To niezwykle ważne: gdy dziejący się Holokaust zostaje uświadomiony, strona żydowska zdaje sobie sprawę, że strona polska jest jedyną, która może im pomóc. I polska odpowiedź jest szybka oraz jednoznaczna: „tak”. To wszystko dzieje się w zaledwie trzy miesiące: protest Zofii Kossak-Szczuckiej, powstanie Żegoty, wyjazd Jana Karskiego w celu poinformowania opinii publicznej na Zachodzie o dziejącej się żydowskiej tragedii.

Dlaczego Jan Karski przedstawiany jest dzisiaj często jako trochę

samotny kowboj, a nie wysłannik państwa polskiego?

Nie był samotnym kowbojem, nie był jedynym emisariuszem państwa podziemnego. „Emisariuszami” były też wszystkie depesze, raporty wysyłane drogą radiową do rządu RP na uchodźstwie, a potem rozsyłane do innych rządów. Wyjątkowość Jana Karskiego jest jednak faktem, bo jego wyjazd zbiegł się właśnie z tym momentem uświadamienia sobie Holokaustu i wpisania obrony Żydów w cele prowadzenia przez Polskę wojny z Niemcami. Przygotowania do tej misji rozpoczynają się jeszcze przed wielką akcją likwidacyjną w getcie warszawskim, która zaczyna się 22 lipca 1942 r.

Na czym polegają te przygotowania?

Na spotkaniach w konspiracyjnych warunkach z osobami reprezentującymi całą plejadę środowisk politycznych, od socjalistów, po narodowych demokratów, od których Jan Karski zbiera informacje w celu przekazania ich odpowiednikom w Londynie. Spotyka się z ważnymi oficerami AK, zbiera informacje o walce przeciw okupantowi i o skali represji stosowanych przez Niemców wobec Polaków, o obozach koncentracyjnych, o przymusowych robotach itd. Gromadzi dane o prześladowaniach ludności polskiej, łapaniach, mordach. Notuje w głowie wszelkie dane społeczne, gospodarcze dotyczące pauperyzacji społeczeństwa. Koszty jego podróży (37 tys. zł.) opłacili „cztery stronnictwa [podziemne] z funduszków przeznaczonych im na ten cel przez Delegaturę Rządu” – czytamy w notatce Karskiego z 30 listopada 1942 r. sporządzonej na potrzeby rządu RP. Dzięki temu, że bli-

sko współpracuje z Kossak-Szczucką, autorką protestu z sierpnia 1942 r., oraz Frontem Odrodzenia Polski, ma świadomość, iż dochodzi nowy ważny wątek, który musi przekazać: podjęta przez Niemców akcja wymordowania całego narodu żydowskiego. Przebrany w mundur ukraińskiego żołnierza na służbie niemieckiej wchodzi do obozu i do getta, zbiera wszelkie dane także na ten temat. Do Londynu dociera w początkach listopada 1942 r. Akurat w Londynie nie ma gen. Władysława Sikorskiego, jest ówczesny wicepremier Stanisław Mikołajczyk. Przekazuje informacje, wprowadza w krwioobieg rządu londyńskiego wiele danych, w tym te dotyczące sytuacji Żydów.

Jaka jest reakcja?

Pełne zrozumienie, z jaką skalą zagrożenia mamy do czynienia. Edward Raczynski, faktyczny szef polskiego MSZ i ambasador przy rządzie brytyjskim, natychmiast podejmuje decyzję, że część dotycząca tragedii narodu żydowskiego zostaje wyłączona do osobnego raportu (noty dyplomatycznej), przetłumaczona na język angielski i przesłana do wszystkich możliwych koalicjantów. Nie jako raport Karskiego, ale oficjalna nota rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Data wysłania tego dokumentu to 10 grudnia 1942 r. Jak można było wcześniej? Szybciej? To właśnie ten raport jest prawdziwą odpowiedzią na pytanie, co Polacy zrobili w obliczu Holokaustu.

Twórcy nowej polskiej szkoły badania Holokaustu wskazują tutaj inne instytucje, które uważają za „polskie”: granatową policję, straż pożarną biorące udział w różnych



Fot. Andrzej Wiktor

akcjach nakazanych przez Niemców. Można je uznać za polskie?

W tym sensie, że służyli w nich Polacy. Musimy znać historię ich utworzenia. Okupant niemiecki, tworząc Generalne Gubernatorstwo w 1939 r., musiał podjąć decyzję, czy jest w stanie opanować całe terytorium za pośrednictwem wyłącznie własnych jednostek okupacyjnych, jak gestapo, SS, żandarmeria, i administracji cywilnej niemieckiej, czy też pozostawić jakąś część byłych struktur polskich, podporządkowując je oczywiście niemieckiemu zwierzchnictwu, włączając w system niemieckiego prawa okupacyjnego. Zdecydowano się na ten drugi wariant. Zlikwidowano wszystkie elementy polskiego życia politycznego, pozostawiono policję granatową, straż pożarną, pewne elementy samorządu terytorialnego w postaci urzędów miast, gmin czy wsi.

W Warszawie na jej czele stał Julian Kulski.

Za zgodą Polskiego Państwa Podziemnego i dziś zasłużenie ma ulicę w stolicy. Ta decyzja Niemców paradoksalnie ułatwiła pracę konspiracyjną, zapewniała możliwość dostępu do ważnych zasobów, np. danych wydziału ewidencji, a wielu z tych ludzi było jednocześnie w konspiracji. Podobnie w policji granatowej. Dla Niemców była to formacja mająca służyć ich zmieniającym się planom, dla strony polskiej był to ważny element konspiracyjny. Kiedy np. ładowali cichociemni, byli zabierani na kwarantannę do mieszkań konspiracyjnych przez tzw. ciotki, by nauczyli się żyć w rzeczywistości okupacyjnej, choćby chodzić nie w sposób oficerski, ale przywieziony przez nich sprzęt był transportowany do miejsc przeznaczenia czy magazynowania właśnie np. przez policję granatową, bo ona mogła coś większego przewieźć bez niemieckiej kontroli. Niektórzy z policjantów byli jednocześnie żołnierzami AK, choć były to raczej wyjątki niż reguła.

Istota zarzutu dotyczy rzekomego udziału tych formacji w Holokau-

ście: choćby poprzez trzymanie straży wokół likwidowanych przez Niemców i policję żydowską gett. Czy w jakikolwiek sposób Polska i Polacy za to odpowiadają?

Nie. Polska za to w ogóle nie odpowiada, bo nie Polska reżyserowała życie pod okupacją niemiecką, zarówno na ziemiach włączonych do Rzeszy, jak i na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Co więcej, nie było ani jednej formacji na służbie niemieckiej, w której Polacy służyliby ochotniczo. Przypomnę, że służba w policji granatowej była przymusowa, za odejście groziła śmierć. To także Niemcy i tylko oni wyreżyserowali potworną demoralizację współgrającą z pauperyzacją, której skutki odczuwamy do dzisiaj. Przyzwolenie na łapówkarstwo, zachęcanie do podłych czynów, nagradzanie za czynienie zła, np. wydawanie Żydów. To jest też odpowiedzialność niemiecka.

Jeszcze w latach 90. znaczna część polskich elit nie tylko nie miała projektu, by nas podnosić, lecz miała projekt, by nas dołować. Mielśmy po prostu poddać się kłamstwu historycznym

I to jest ważne tło oceny ludzkich postaw tamtego czasu. Im głębiej wchodzi się w potworność codzienności okupacyjnej, poznaje diabelską mechanizmów stworzonych przez niemiecką okupację, tym mocniej wybrzmiewa rola Sprawiedliwych.

Ja używam określenia Polacy ratujący Żydów, a nie Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Ten drugi termin, pojęcie, zjawisko zostało wytworzone przez historiografię izraelską i konkretną instytucję, jaką jest Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Mają do tego oczywiście prawo, ale musimy

pamiętać, że ono wiąże się z szerszym kontekstem rozumienia Holokaustu. W tym ujęciu ta niemiecka zbrodnia widziana jest jako efekt przyzwolenia chrześcijańskiej Europy, która miała też przygotować w sensie duchowym III Rzeszę jako narzędzie do ostatecznego „wypłukania” Żydów z chrześcijańskiej Europy. Sprawiedliwi są więc tymi, którzy sprzeciwili się również własnym narodom, zadziałali wbrew logice systemu.

Sprawiedliwi wśród niesprawiedliwych świadków?

Bądź współsprawców. W przypadku Polaków nie jest to perspektywa prawdziwa. Polacy nie byli współsprawcami. Polacy ratujący Żydów nie musieli się przeciwstawiać państwu polskiemu ani własnemu narodowi uznającemu autorytet i głos ludzi Kościoła katolickiego, bo one robiły wszystko, co w ich mocy, by tej zbrodni przeciwdziałać, by alarmować świat i udzielać pomocy. Mimo grożącej kary śmierci i doświadczenia egzekucji przez Niemców nałożonego prawa. To sytuacja zasadniczo inna niż wielu narodów europejskich. Dlatego, stojąc w prawdzie, powinniśmy używać określenia Polacy ratujący Żydów, bo oni wypełniali misję Polski Walczącej, a nie byli jej przeciwni.

Ilu ich mogło być?

Dokładnej liczby nikt nie jest w stanie podać. Za prof. Tomaszem Strzemboszem szacuję, że mogło być ich i milion, może więcej, może mniej. Nie potrafimy tego policzyć precyzyjnie, bo formy pomocy były różnorodne. Pojęcie pomocy trzeba widzieć w kontekście tamtego czasu. Historiografia współczesna skupia się na tych formach, które są długotrwałe, konkretne, wypełnione zdarzeniami, ale w warunkach okupacyjnych wyglądało to inaczej. Także świadectwa żydowskie o tym mówią. Pomocą mogło być przekazanie informacji, pokazanie drogi, przyjęcie na chwilę pod dach, też z ogromnym ryzykiem. Nawet podanie kromki chleba, które również kosztowało życie, o czym świadczą niemieckie wyroki. Zjawisko

pomocy z lat II wojny światowej nie ma nic wspólnego z tym, jak to rozumiemy dzisiaj, bo czas był straszliwy i okoliczności były inne.

Prof. Śpiewak tu też ma krytyczne zdanie i chyba także polemiczne wobec właśnie pana profesora: „Nie mogę znieść retoryki ratowania Żydów przez Polaków. To retoryka, która staje się elementem propagandy. Owszem, mówi się o tym, jest to fakt historyczny. Działała w Polsce Żegota. Było dużo sióstr zakonnych, które ratowały Żydów. Natomiast używanie tego doświadczenia po to, by udowodnić całemu światu i sobie samym, że Polacy są narodem wyjątkowym, bo ratowali Żydów, zapominając o szmalcownikach, jest mówieniem nieprawdy. Ja chcę, by propagandę zastąpił prawdziwy obraz rzeczywistości”.

Ma prawo do tej opinii. Możemy dyskutować. Nie ma we mnie odruchu, jak to pan profesor czyni wobec mnie, by na inny pogląd reagować epitetami.

Niestety ostatnie dwa lata pokazały, że o dialog ze stroną żydowską bardzo trudno. Poczucie siły politycznej, wynikającej w części z sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, oraz medialnej zdaje się zwyciężać nad żmudnym szukaniem kompromisu, a przede wszystkim prawdy. To walec.

Tak, to walec. Nawet z nieistotnej obrzędowości w jakimś dalekim Pruchniku umie on zrobić historię, która obiega cały świat. Ale nie jest to jedyny byt po stronie żydowskiej. Są inne środowiska, inne głosy. Nie jest to sytuacja nowa. Gdy w 1918 r. Polska walczyła o niepodległość, granice, wolność, także duża część elit żydowskich, zwłaszcza syjonistycznych, robiła wszystko, co mogła, by Niemcy straciły jak najmniej terytorium, próbowano też budować poparcie dla idei tak szerokiej autonomii żydowskiej w Polsce, która oznaczałaby rodzaj eksterytorialności. Była to polityka obiektywnie antypolska. Ale ci, którzy sądzili, że reprezentują wszystkich

Żydów, wcale nie mieli do tego prawa. Było wielu Żydów w regionach, wielu włączyło się do budowy państwa polskiego. Podobnie było w zderzeniu z bolszewizmem: ci Żydzi, którzy ochoczo się do tego nurtu przyłączyli, w oczach polskich reprezentowali Żydów, ale w oczach większości żydowskiej nie mieli do tego żadnego prawa. Musimy być więc w tych generalizacjach bardzo ostrożni. Musimy pamiętać, że także dzisiaj naród żydowski jest dużo bardziej różnorodny, niż próbują nam wmówić środowiska antypolskie, które rzekomo ich reprezentują.

Prawda o polskim zachowaniu w czasie II wojny światowej, w tym wobec Żydów, burzy narrację, którą próbuje się narzucić światu. Nie pasujemy, więc usiłuje się wymusić na nas akceptację kłamstwa. Gdybyśmy to zrobili, oplulibyśmy groby naszych przodków

No dobrze, ale czy zna pan takich ludzi? Takie środowiska?

Znam. Moja rodzina, rodzina Żarynow, w czasie wojny ratująca Żydów, odbierała po wojnie (dziś już państwo Engelbergowie nie żyją) liczne akty wdzięczności w prywatnych kontaktach między rodzinami. Nie były nam do tego potrzebne PRL, żadne rządy, żaden Yad Vashem. I wiem, że taka pamięć jest w wielu rodzinach.

Ponowię pytanie o przyczyny tego ataku na Polskę na tle historycznym. Przeczytałem ostatnio książkę „Słowacja księdza prezydenta” o Narodowym Państwie Słowackim – tam był własny aparat Holokaustu, urzędnicy państwowi jeździli do

Niemców po naukę, jak najlepiej pozbyć się Żydów. Wiemy, co działo się pod okupacją rumuńską na terenach przejętych od ZSRR, na Litwie, Ukrainie, Węgrzech. Dlaczego Polska, której państwowość nigdy się niczym takim nie zhańbiła, odwrotnie – ratowała Żydów, jest stawiana pod pręgierzem, a inni nie?

Właśnie dlatego. Prawda o polskim losie i polskim zachowaniu w czasie II wojny światowej, w tym wobec Żydów, burzy tę narrację, którą próbuje się narzucić całemu światu. Nie pasujemy, więc zamiast to uznać i przyjąć, próbuje się wymusić na nas akceptację kłamstwa, przyjęcie winy, której przyjąć nie możemy. Gdybyśmy to zrobili, oplulibyśmy groby naszych przodków, zdradzilibyśmy nasze babki, dziadów i Polskę, zhańbili byśmy ich pamięć oraz samych siebie. Podkreślam: dopóki nie zostaniemy do tej dyskusji dopuszczeni przez Żydów opisujących Zagładę bez nas, na równych prawach, dopóty stosunki polsko-żydowskie się nie poprawią. Akceptacja kłamstwa oznaczałaby, że przestaliśmy być Polakami.

Albo będziemy Polakami złamanymi.

Nie złamią nas, bo nikomu w historii nie udało się Polaków złamać. My nie chcemy niczego więcej niż to, by świat przyjął, jak było naprawdę, a nie wierzył i kazał nam wierzyć w jakieś wypreparowane „narracje”.

Może faktycznie, jak obawia się wielu Polaków, chodzi o pieniądze? O wymuszenie odszkodowań – bezprawnych – za mienie bezspadkowe?

To bez wątpienia ważny element. I tu mamy duży problem. Jako jedyne państwo postkomunistyczne nie przeprowadziliśmy ustawy reparytacyjnej, o czym w mojej kampanii wyborczej w 2015 r. mówiłem dużo. Dzięki senatorowi Piotrowi Łukaszwowi Andrzejewskiemu, który jest doskonałym prawnikiem, i innym osobom są podstawy prawne, by taką ustawę przeprowadzić. Stosowne pro-

jekty były opracowywane m.in. w moim biurze senatorskim.

Projekt przygotował także zespół wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego, ale spadł z prac rządu.

Mam nadzieję, że to nie jest wynikiem przyjęcia takiego poglądu, jaki do mnie docierał, że cały naród polski został pokrzywdzony straszliwie w czasie wojny i nie ma powodu, by akurat jedną kategorię ludzi posiadających niegdyś majątek jakoś naprawieniem krzywd wyróżniać.

To nie jest pogląd nieprzekonujący. Ludzie tracili życie, zdrowie, wszystko.

Zgoda, ale jednak prawo własności jest jednym z fundamentalnych praw i te krzywdy możemy naprawić wobec spadkobierców wszystkich obywateli II RP, bez względu na narodowość i wyznanie.

Przypomnę, że roszczenia żydowskie dotyczą mienia bezspadkowego.

Tak, ale gdybyśmy mieli precyzyjną ustawę reprivatyzacyjną, nasza pozycja w tej dyskusji byłaby znacznie lepsza. A tak stykamy się z zarzutem, że w żaden sposób tej kwestii nie chcemy uregulować, że w ogóle prawa nie szanujemy. To bolesne tym bardziej, że mieliśmy już ustawę reprivatyzacyjną, zawetowaną jednak przez ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Dziś widać, jak złą decyzję podjął, jak bardzo to zaszkodziło Polsce. Choć może nie powinienem się dziwić, Aleksander Kwaśniewski reprezentował tę stronę sceny politycznej, która żywiła się ukradzionym majątkiem. Uważam, że dziś warto wrócić do tamtego projektu.

Czy w ogóle możliwa jest zdaniem pana profesora rozmowa o odszkodowaniach za mienie bezspadkowe? To całkowicie sprzeczne z wszelkim prawem.

Dlatego strona żydowska nie odwołuje się do prawa, ale do tezy, że należy się zdecydować na rozwiązanie



Fot. Andrzej Wiktoria

wyjątkowe, gdyż naród żydowski został potraktowany wyjątkowo okrutnie. Ginęły całe rodziny, wszyscy, którzy mogliby dziedziczyć. Dlatego mienie członków tak zamordowanego narodu żydowskiego powinno wrócić w ręce jego reprezentantów. To jest ta opowieść. Co ważne, reprezentowana również przez sojusznika w Waszyngtonie.

Możemy się z tym zgodzić?

Dla nas to stanowisko nie do przyjęcia. Ono oznacza karanie Polaków za zbrodnie, których dokonali na naszych ziemiach najeźdźcy. Nie wiem, być może Niemcy są dobrym adresatem takich postulatów, ale na pewno nie Polacy, którzy zresztą sami zostali potraktowani także wyjątkowo – mordowani i grabieni, przepędzeni z całych Kresów, gdzie wszystko, co mieli, przepadło bezpowrotnie. To byłoby też wyodrębnienie z reguł prawa jednej kategorii ludzi. Według jakiego klucza: rasowego, narodowego czy wyznaniowego? Dla nas to moment, w którym musimy się odwołać do słów prymasa Stefana Wyszyńskiego: „Non possumus”. Rząd Polski i parlament powinny to możliwie mocno wyartykułować.

Jarosław Kaczyński jasno to ostatnio zadeklarował.

I to jest właściwy kierunek, ale można sobie wyobrazić także jakiś akt o znaczeniu państwowym jednoznacznie ten temat zamykający. Trzeba być oczywiście roztropnym, trzeba szukać dobrego momentu.

Problem w tym, że jednocześnie walczymy o silną obecność militarną Amerykanów w Polsce, co nas geopolitycznie wręcz przesuwaa w strefę większego bezpieczeństwa.

To prawda, ale tego typu szantaż byłby czymś moralnie obrzydliwym. Na takim szantażu nie da się zbudować partnerstwa. Co więcej, również Amerykanie mają tu swoje interesy. Nie ma w Europie innego państwa, które mogłoby odegrać rolę tak dużą z amerykańskiego punktu widzenia. To też warto przypominać partnerom.

Na koniec wróć do ataku prof. Śpiewaka na pana. Czy oczekuje pan przeprosin? Siadłby pan jeszcze do rozmowy z nim?

Przed wszystkim wszyscy ci, którzy w debacie publicznej sięgają po takie epitety, także siebie stawiają w coraz trudniejszej sytuacji. Tracą zdolność dialogu, coraz trudniej im zawrócić i w efekcie idą coraz dalej, sięgają po coraz mocniejsze inwektywy, tylko medialne pałki. To jest na dłuższą metę nieskuteczne.

Powtórzę: siadłby pan jeszcze do debaty z prof. Śpiewakiem?

Jestem gotowy do każdej debaty, również trudnej i nieprzyjemnej, a mam za sobą takie spotkania ze stroną żydowską, czy to o pogromie kieleckim, czy o Polakach ratujących Żydów. I wiem z doświadczenia, że zwykle zaczynają się one od próby pokazania mi, że jestem nikiem. A potem są wrzaski i inwektywy. To smutne, bo po stronie polskiej nie ma takiej zapalczywości, takiego pragnienia zadeptania polemisty. Ale mimo wszystko próbuję, rozmawiam i jeśli trzeba, będę próbował. Choć to trudne, mogę się spotkać także z prof. Śpiewakiem.



Żaden z ocalałych Żydów nie mógłby ocaleć bez pomocy Polaka

Zachęcam wszystkich tu zebranych, byście zerknęli do podpisanej przeze mnie i przez premiera Netanjahu wspólnej deklaracji. To swego rodzaju wspólna wersja tego, co zdarzyło się w czasie II wojny światowej i tuż po niej. Nigdy nie zdołalibyśmy stworzyć i podpisać takiej deklaracji, gdyby nie ustawa o IPN – mówił premier Mateusz Morawiecki podczas debaty w USA

Podczas niedawnej wizyty w USA szef rządu Mateusz Morawiecki uczestniczył w debacie zorganizowanej w ramach cyklu „Transatlantycki dialog” na Uniwersytecie Nowojorskim (NYU). Moderatorem dyskusji był prof. NYU Joseph H.H. Weiler, specjalista w dziedzinie prawa konstytucyjnego i międzynarodowego, znany także z obrony krzyża w europejskich trybunałach. Większa część rozmowy poświęcona była sprawom globalnym, relacjom europejsko-amerykańskim oraz polskiej reformie sądownictwa. Najwięcej emocji wzbudził jednak wątek dotyczący relacji polsko-żydowskich. Oto zapis tej dyskusji.

Joseph H.H. Weiler: Ponieważ jesteśmy w Nowym Jorku, nie możemy się nie odnieść do relacji polsko-żydowskich. Chcę zacząć od następującego oświadczenia: moim zdaniem to oburzające, kiedy ludzie mówią o „polskich obozach śmierci” lub „polskich obozach koncentracyjnych”. To oburzające, gdy ludzie oskarżają państwo polskie lub polski naród o współsprawstwo w Holokauście. W rzeczywistości Polska była jedynym państwem, obok Wielkiej Brytanii, które nigdy oficjalnie nie ska-

pitulowało wobec Hitlera w czasie II wojny światowej. Polacy walczyli zapamiętane, choćby obok brytyjskich pilotów w czasie bitwy o Anglię. Te zarzuty są rzeczywiście oburzające, odrażające. Ale prawo, które przyjęliście [ustawa o IPN – przyp. red.], z jego kryminalnymi sankcjami... Patrząc wstecz, czy uważa pan, że to było mądre? Powiem coś jeszcze i chcę, by to zostało usłyszane. Holokaust był straszliwą sprawą. Pochlonał 6 mln Żydów, z których 3 mln to Żydzi polscy. Każdy na świecie

o tym wie. Świat zapomniał jednak, że 3 mln Polaków chrześcijan zostało zamordowanych przez Niemców. Świat o tym nie mówi.

Ale moje pytanie do premiera brzmi tak: czy to było mądre, to wprowadzanie sankcji karnych wobec ludzi, którzy stawiają Polsce takie zarzuty? Widział pan reakcje... Gdy patrzy pan wstecz, nie żałuje pan?

Mateusz Morawiecki: Nie. I zaraz wyjaśnię dlaczego. Po pierwsze, historia Żydów jest częścią historii Polski, zaczęła się 700 lat temu, w XIII w. Wszystko zmieniło się 1 września 1939 r., gdy Niemcy najechały Polskę. W czasie II wojny światowej zdarzyły się rzeczy niewyobrażalne, zdarzył się Holokaust, brutalne mordy na ludziach. Szacuje się, że ok. 300 tys. Żydów ocalało z Holokaustu na ziemiach, które przed wojną stanowiły

część Polski, a znalazły się pod niemiecką okupacją. Żaden z ocalałych Żydów nie mógłby ocaleć bez pomocy Polaka. Czy pan o tym wie?

Oczywiście. Największa liczba Sprawiedliwych...

...największa liczba spośród Sprawiedliwych to 7 tys. polskich nazwisk. A przecież żaden z 300 tys. Żydów nie mógł ocaleć w warunkach brutalnej okupacji bez pomocy co najmniej jednego Polaka. Wojna trwała sześć lat, więc tę liczbę trzeba pomnożyć. Gdy słyszę o 7 tys. Sprawiedliwych, to z całym szacunkiem dla innych narodów, dla Duńczyków, dla Francuzów, uważam tę liczbą za rażąco niską. Niemcy wprowadzili w Polsce prawo, które skazywało wszystkie rodziny, które wspomogły Żydów kawalkiem chleba lub udzieliły schronienia, na śmierć. Pacyfikowano, całkowicie niszczone całe wsie. A mimo to ludzie mówią o tych 7 tys. Sprawiedliwych. Te 7 tys. nie mówi prawdy o II wojnie światowej. Żyd, który spotkał Niemca w czasie wojny, stawał się martwym Żydem, był natychmiast zabijany. Dlatego nie słyszę żydowskich opowieści o Niemcach dobrych albo złych. Znam tylko historie Żydów dotyczące Polaków. Także szmalcowników, tych, którzy zdradzili, złych ludzi. Słyszycie je, ponieważ Żyd, który spotkał Polaka, miał szansę na przeżycie. Jeśli spotkał Niemca, takiej szansy nie miał, był zawsze mordowany.

W czasach komunizmu Niemcy mądrze i sprytnie zaczęli zmieniać historię tej straszliwej zbrodni, którą zaplanowali i którą przeprowadzili. Zaczęli nazywać obozy, które zlokalizowali w okupowanej Polsce, „polskimi obozami śmierci”. To się zaczęło w latach 50., 60., 70. W tym czasie Polska, jak to ujmują niektórzy historycy, znajdowała się w zamarazce. Nie mieliśmy demokratycznego rządu, który mógłby bronić naszego dobrego imienia. Tamte władze tym się nie zajmowały, bo byliśmy częścią sowieckiego imperium. To dlatego Niemcy i Austriacy w równym stopniu są odpowiedzialni za to, co się stało, rok po roku zaczęli zrzucać z siebie stygmat związany z Holocaustem.

Czy wie pan, co Niemcy zrobili w dwóch obozach koncentracyjnych, Dachau i Buchenwaldzie, w ciągu kilku ostatnich lat, poczynając od kryzysu migracyjnego? Otóż zamienili te obozy śmierci na obozy dla uchodźców. Sprowadzili tam ludzi z Afganistanu, Iraku i tam ich osadzili. Nie wiem, czy w tych samych barakach, czy innych, ale na pewno w tych samych miejscach: w Dachau i Buchenwaldzie, tam gdzie zginęło 150 tys. ludzi, brutalnie zamordowanych przez nazistów, przez Niemców. Zrobili to po to, by zmienić percepcję tych miejsc.

Mogą próbować to zrobić, ale każdy zna prawdę w tej sprawie.

Nie jestem taki pewien. Nie jestem pewien.

Sądzę, że każdy na świecie zna prawdę o niemieckim ludobójstwie. Historię, którą nam pan opowiada, powinno się opowiadać. Moim jednak zdaniem prawo, które miało walczyć z kłamstwem, okazało się przeciwnie skuteczne. I zostało zmienione.

Ale zostało zmienione równolegle z podpisaniem przeze mnie i przez premiera Netanjahu wspólnej deklaracji, w czerwcu ubiegłego roku. Zachęcam wszystkich tu zebranych, by zerknęli do tego dokumentu, ponieważ został on podpisany przez premierów Polski i Izraela jako swego rodzaju wspólna wersja tego, co zdarzyło się w czasie II wojny światowej i tuż po niej. I powiem panu: nigdy nie zdolaliśmy stworzyć ani podpisać takiej deklaracji, gdyby nie ustawa o IPN. Rozumiem, że ta ustawa wywołała wiele niepokoju na całym świecie. I życzyłbym sobie, by procesy, które ona uruchomiła, były możliwe bez jej przyjęcia. To takie moje teoretyczne życzenie. Ale prawda jest taka, że nie mogliśmy się przebić do świata z tą podstawową prawdą [że nie było „polskich obozów śmierci” – przyp. red.]. Doszło do tego, że w tej sprawie walczyliśmy także z Niemcami, których prasa – „Die Welt”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” – pisała w swoich artykułach o „polskich obozach”. Pisano też o „polskim SS”, „polskim gestapo”.

Nigdy nie było „polskiego SS”, nigdy nie było „polskiego gestapo”.

Oczywiście, że nie, oczywiście.

Pan to wie.

Większość ludzi to wie.

Publiczność: Nie, nie, nie.

Na koniec Weiler zapytał o antysemityzm w dzisiejszej Polsce.

Mamy raport brukselskiego think-tanku, z którego wynika, że Polska jest jednym z niewielu krajów, w których zanotowano znaczący spadek tego typu incydentów. Każdy przypadek...

Jaki zakres mają antyżydowskie postawy we współczesnej Polsce?

We Francji czy w Niemczech, dokończę, liczba tego typu incydentów rośnie.

Ale czy pana zdaniem to wciąż jest problem?

Nie. Nie widzę takiego problemu jak antysemityzm w Polsce. To jest margines, taki jak w każdym innym społeczeństwie. Nie widzę [tego typu zjawiska na dużą skalę – przyp. red.] w Polsce. Dużo zainwestowaliśmy także w polsko-izraelską, polsko-żydowską przyjaźń, zadbaliśmy o synagogi, o żydowskie cmentarze, o żydowskie życie kulturalne. Żydzi mieszkający w Polsce to doceniają. Te relacje są coraz lepsze, są bardzo dobre.

Polacy reagują bardzo nerwowo, gdy niektóre z kwestii dotyczących także lat powojennych są podnoszone w kontekście relacji polsko-żydowskich. Wydaje mi się, że sumując wszystko, lepiej mówić o tym otwarcie.

Zgadzam się. Myśl, by rozmawiać, pojawiła się jednak dopiero kilka lat temu. W czasie lat 90. długo zajęłoby opowiadanie, dlaczego sytuacja była w tej sferze podobna do tej z czasów komunizmu. To także była zamrażka, nie zajmowaliśmy się tymi kwestiami odpowiednio, na pewno nie w taki sposób, który by nas wszystkich oczyścił. To powinno zostać zrobione zaraz po odzyskaniu wolności.

Notował Jacek Karnowski

Mamo, kiedy będziemy Judasza bić?

Wystarczyło spalić kukłę Judasza w małym podkarpackim miasteczku, by informacja o tym zdarzeniu obiegła świat. Lokalna tradycja nieoczekiwanie odżyła.

Władze Pruchnika mówią, że to była prowokacja, i zapewniają, iż już się nie powtórzy



MAJA NARBUTT

Zabcu, Judasz wrócił! Tak mąż do mnie zawołał. Bardzo ucieszeni byliśmy, że znów w Pruchniku kukła Judasza wieszana jest. Stałam przy rynku, biłam jak inni brawo, gdy ją ciągnęli – opowiada pani Ela, właścicielka małego sklepu.

Było skromniej niż kilkanaście lat temu. Wtedy policja zamykała okoliczne uliczki, pilnując ruchu, przyjeżdżali mieszkańcy pobliskich miejscowości, a miejscowi notabie przychodzili razem ze swoimi dziećmi. Wszystko odbywało się z pompą i uroczystości, poprzedzone oficjalnymi przygotowaniami. Gmina dawała pieniądze, nieżyjący już teraz krakowicz Zygmunt Osada zlecał spółdzielni Jedność szycie, a kiedy szwalnia przestała istnieć, szyl trzymetrową kukłę sam.

W tym rytuale każdy miał swoją rolę i miejsce: sędzią Judasza, odczytującym wyrok i wymierzającym ciosy kijem, był zawsze ten sam biedny i lekko upośledzony mieszkaniec miasteczka, który raz w roku przeżywał swoje wywyższenie.

– Ten inwalida tak pięknie bił. A dzieciaczki tak się cieszyły. Moja córka to ciągle pytała: „Mamusi, kiedy pójdziemy Judasza bić?”. A dzieci wcale nie szły z taką nienawiścią, jak teraz napisano. One z chęcią szły, wynoszono im ze sklepów cukierki, dawano kijaszki, żeby Żyda biły. To znaczy Judasza, tylko tak mi się inaczej powiedziało – relacjonuje pani Ela.

We wspomnieniach mieszkańców Pruchnika cyklicznie powtarzające się

wydarzenie było czymś, na co czekano. Wiadomo było, że o 9.00 rano w Wielki Piątek jest Droga Krzyżowa, ludzie idą daleko, pod górę, a o 15.00 zaczyna się „sąd nad Judaszem”.

– No co my złego robili? Przecież Judasz naszego Pana Zbawiciela za 30 srebrników wydał, a potem sam się powiesił. Przez 100 lat w Pruchniku było bicie Judasza – mówi spotkany na rynku pan Władek.

100 lat, 200, nawet 600. Mieszkańcy miasteczka z niezachwianą pewnością podają różniące się o stulecia daty. Twierdzą, że właśnie wtedy po raz pierwszy powieszono na drzewie kukłę Judasza, by potem ciągnąć ją uliczkami, a w końcu, po wymierzeniu 30 uderzeń kijem, podpalić i utopić w rzece.





Fot. East News/Photo by Hubert Lawkiewicz/AFP

Nie chodzi o kronikarską dokładność, ale o własne wyobrażenia o tym, co znaczy „dawno”. Bo wszyscy w Pruchniku uważają, że w miasteczku zawsze bito Judasza, i dla wielu jest to argument, iż tak ma być nadal, żadne zmiany nie są potrzebne.

Ale to nie do końca prawda. Wydało się przecież, że tradycja zanikła. Od 2009 r. w miasteczku nie organizowano już bicia Judasza, jakby poskutkowały pouczenia proboszcza, że Kościółowi te obrzędy się nie podobają, są zbyt brutalne i nietrudno się w nich dopatrzeć antysemityzmu. A i miejscowa władza dawała do zrozumienia, że tego zwyczaju już w Pruchniku nie chce.

Żadnych wątpliwości, że może wybuchnąć skandal, nie mogli więc mieć

czterej mężczyźni, którzy pod osłoną nocy zawiesili kukłę na latarni. Jak opowiadała mi policjantka z Jarosławia, byli zamaskowani, widać to na nagraniach monitoringu, który przejrano.

PRZYSZŁO OTUMANIENIE

– Taki zaścianek w kącie Polski. Bidny, nic tu specjalnie nie ma. Chociaż krajobrazy u nas piękne. I nagle jesteśmy na ustach wszystkich. Takie zamieszanie, jakby znów wybuchł wulkan w Islandii i pył rozleciał się na cały świat. Do naszej gminy przychodzą e-maile nawet z Nowej Zelandii – mówi sekretarz gminy Robert Grądział.

Również w czasie naszej rozmowy odbiera telefony. Są bardzo różne. Nie-

którzy dzwonią z pretensjami: podniesionym głosem mówią, że są wstrząśnięci tym, co się wyrabia w Pruchniku. Inni wręcz przeciwnie: chcą wyrazić swoje poparcie, przekazać mieszkańcom, żeby się trzymali i nie ulegali żadnym naciskom. Zapowiadają wręcz, że w przyszłym roku zorganizują bicie Judasza u siebie i jak Polska długa i szeroka będzie się palić kukły, aż cały świat zobaczy.

– Dzwonią do nas osoby prywatne. Czasem pan Kowalski żąda, żeby natychmiast zdać mu sprawozdanie, co teraz robimy, by krzewić w Pruchniku tolerancję. Uważa, że ma do tego prawo w ramach dostępu do informacji publicznej – opowiada sekretarz.

Gdyby można było cofnąć czas, zrobiłby wszystko, by w miasteczku nie

było w tym roku bicia Judasza. To, co się stało, przerosło wszystkich.

Nie da się ukryć, że rano w Wielki Piątek urzędnicy samorządowi zobaczyli, że na jednym ze słupów wisi wielka kukła Judasza. Trudno było ją przegapić, skoro zawieszono ją na Jana Pawła II, głównej ulicy, niedaleko urzędu miasta.

– Najgorsze, że ten Judasz był rzeczywiście tak ucharakteryzowany, że wyglądał na ortodoksyjnego Żyda. Miał pejsy, duży nos. Ktoś zadał sobie dużo trudu, by tak to zrobić. Gdyby Judasz wyglądał jak na świętych obrazkach, byłoby inaczej – przyznaje Robert Grądział.

Oczywiście właśnie w tym tkwi istota problemu, który wielu stara się zignorować lub mu zaprzeczyć. Zapewne władze miasteczka miały cichą nadzieję, że nikt poza Pruchnikiem nie zauważy, iż odżyła tradycja bicia Judasza. Kukła zostanie utopiona w rzece Molce i wszyscy o sprawie zapomną.

– Otumanienie na mnie jakieś przyszło. Na nas wszystkich, bo gdyby ktoś choć słowo powiedział, że trzeba to powstrzymać, byłoby inaczej. A tak mogę się tylko kajać – przyznaje Robert Grądział.

Jak mówi, wszyscy zapomnieli dawno, co jedli na śniadanie wielkanocne, a tamten Wielki Piątek nadal będzie trwać w pamięci. Także dlatego, że ciągle nowe wydarzenia nie pozwalają o tym zapomnieć, choć teraz mają już lokalną skalę.

Najpierw chęć otoczenia opieką mieszkańców Pruchnika zgłosili narodowcy. Ustawili się pod Urzędem Marszałkowskim w Rzeszowie i zadeklarowali, że będą wspierać tych, którzy kultywują tradycję. Zapewnią im pomoc prawną, jeśli będą nękani przez prokuraturę. Potem Konfederacja KORWiN Braun Liroy Narodowcy zapowiedziała organizowanie w Pruchniku spotkań wyborczych.

– Nikomu nie można zabronić kampanii wyborczej, choć u nas do tej pory tylko wpół ślepa staruszka mogłaby postawić krzyżyk przy narodowcach. Ale jeśli chodzi o pomoc, to już zupełnie inna sprawa. Jeżeli będą nam pomagać, to pograżą nas tak całkowicie, że już się nie podniesiemy – mówi sekretarz gminy.

ANONIMOWY TELEFON

Redakcja „Ekspresu Jarosławskiego” wygląda niepozornie. Aż trudno uwierzyć, że w małym pokoju w budynku za cerkwią powstał materiał, który błyskawicznie przebił się do światowych mediów.

– Wszystko zaczęło się od anonimowego telefonu. Jakiś mężczyzna powiedział, że w Pruchniku odradza się stara tradycja i o 15.00 w Wielki Piątek będzie „sąd nad Judaszem”. Nawet nie bardzo chciałem jechać, byłem tam przecież niedawno w Niedzielę Palmową – opowiada Hubert Lewkowicz.

Ale pojechał. I – jak mówi – to, co zobaczył, tak go przeraziło, że nie miał już ochoty rozmawiać z mieszkańcami.

– Agresja, rodzice, którzy podjudzali dzieci do bicia. Zaszokowało mnie, że dorośli zachęcają dzieci do uderzeń kijkami, a nawet kopania. Właśnie to uważam za najgorsze – mówi Lewkowicz.

Wrócił do redakcji, napisał tekst i szybko wrzucił na portal. Zamieścił też w internecie nagrania z „sądu nad Judaszem”.

Burza, która się rozpętała, zaskoczyła go tak samo, jak wszystkich, którzy mieli do czynienia z tą historią. – Nie myślałem, że będzie to miało zasięg większy niż powiat jarosławski. No, może zauważył to ktoś jeszcze, ale w najśmielszych wyobrażeniach nie sądziłem, że informacja wydostanie się poza Polskę – mówi.

Kiedy pytam go, jaka była sekwencja wydarzeń, kto pierwszy dotarł do nagrania oraz tekstu i skontaktował się z nim, przypomina sobie, że był to portal Gazeta.pl. A potem informacja poszybowała już w medialną stratosferę, przekroczyła nie tylko granice Polski, lecz i Europy.

Bez wątpienia nikt nie zainteresowałby się tym, że dzieci w Pruchniku biją kijkami kukłę, gdyby nie uznano tego za jeszcze jeden przejaw „średniowiecznego” polskiego antysemityzmu. Przesłanie było czytelne: mieszkańcy polskiego miasteczka kultywują swoje barbarzyńskie, antysemickie tradycje. Nietrudno było o takie skojarzenia, nasywały się w sposób oczywisty, wystarczyło zauważyć, że kukła przypomina ortodoksyjnego Żyda, i uznać, że jest to symboliczny pogrom.

– Nie uważam, że ci ludzie są antysemitami. Mnie zbulwersowała właśnie ta agresja, to, że wciągnięto w nią dzieci, kazano im uderzać kijkami, co musi odcisnąć ślad na ich psychice – podkreśla Hubert Lewkowicz.

Jest wstrząśnięty, gdy mówię, że w Warszawie podczas imprez urodzinowych dla dzieci kultywuje się zaczerpnięty z tradycji latynoskiej zwyczaj tzw. piniaty – dzieci rozwalają pałkami plastikowego osiołka czy ptaka, by dostać cukierki. A rodzice z klasy średniej nie uważają, by było w tym coś niewłaściwego. Nie trafiają też do niego argumenty, że gdyby nie stylizacja kukły, „sąd nad Judaszem” w Pruchniku można by uznać po prostu za jedną z zakorzenionych w folklorze tradycji, które przetrwały.

– Wielkanoc powinna się kojarzyć z czymś pogodnym, koszyczkami wielkanocnymi, a nie wymierzaniem kary komuś, kogo uznajemy za zdrajcę. Dzieci mogą potem łatwo uznać, że zdrajcą jest ten, kto wydał ich tajemnice, i zechcą go ukarać – mówi.

Przez część miejscowej społeczności on sam już został uznany za zdrajcę. Jego zdjęcie wrzucono na stronę Facebooka zrzeszającą mieszkańców Jarosławia i nazwano Judaszem miejscowego światka dziennikarskiego, który zrobi wiele dla kariery i sławy.

BEZ TWARZY I PRZEŚMIEWCZO

Na pożółkłych fotografiach w kolorze sepii młodzi mężczyźni dumnie pozują koło leżącej na ziemi kukły. W przedwojennym Pruchniku właściwie obowiązkiem tutejszych kawalerów było wzięcie udziału w biciu Judasza. – Zapewne ta tradycja pochodzi z XIX w., może z końca XVIII. Spotykało się ją nie tylko w Pruchniku, lecz i w innych miejscowościach Podkarpacia, a także Małopolski – mówi mi dr Arkadiusz Więch, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jednak „sąd nad Judaszem” ma w Pruchniku swoją specyfikę. W okolicznych wsiach w Wielki Piątek też wiszą na drzewach kukły. Ale wyglądają inaczej. Albo neutralnie – właściwie nie mają twarzy i są tak bezosobowe, jak tylko można sobie wyobrazić. Albo też ucharakteryzowane są prześmiewczo,

ubrane we fragmenty damskiej garderoby. Bo pierwotną intencją „sądu nad Judaszem” było jak największe upokorzenie zdrajcy, właśnie dlatego sędzią wykonującym karę był zawsze człowiek ułomny i znajdujący się na dole drabiny społecznej.

Tylko w Pruchniku Judasz wygląda jak ortodoksyjny Żyd. Tak było prawdopodobnie od początku, choć jak twierdzą etnografowie, nie można uważać tego za oczywisty wyraz antysemityzmu. Jednak warto dodać, że w drugiej połowie lat 30. pojawiły się niepokojące sygnały – na kukle malowano czasem gwiżdżę Dawida, a zamiast „Judasz” pisaną „Jude”.

– Kiedy rozmawiam z mieszkańcami wielu miejscowości, można przegadać trzy godziny i ani razu nie padnie wzmianka, że mieszkali tam Żydzi. Tak, jakby chciano to całkowicie wymazać. Inaczej w Pruchniku, tu bardzo szybko ludzie wspominali, że żyli tu Żydzi, pokazywali, gdzie była synagoga – opowiada dr Więch.

przygarnięcia osieroconych żydowskich dzieci. Kiedy wywożono Żydów z Pruchnika, przychodzili się żegnać ze swoimi polskimi sąsiadami. Większość im współczuła, choć zdarzali się i tacy, którzy nie kryli satysfakcji, że nie muszą już spłacać im długów.

W OBLĘŻONEJ TWIERDZY

– Nic nie powiem na ten temat. Proszę nie pytać, czy „sąd nad Judaszem” mi się podoba, czy nie. Nie, nie powiem, co sądzą na ten temat inni mieszkańcy. A czy są podzieleni? Tego też nie powiem – mówi młoda dziewczyna, siedząca za biurkiem w Centrum Kultury Sportu i Turystyki w Pruchniku.

Z wprawą wytrawnego dyplomaty odmawia jakiegokolwiek komentarza. To wydaje się najlepszą strategią. Cokolwiek bowiem się powie, jest się na straconej pozycji. Jak oznajmić przybyszowi z zewnątrz, że bicie Judasza to tradycja, którą powinno się zachować? Niemal z automatu zostanie się wtedy

wodów, które wydają im się mgliste. Nie rozumieją, że po doświadczeniu Holokaustu z inną już wrażliwością patrzy się na zwyczaje, które kiedyś mogły się wydawać dość niewinne. A po zamieszaniu, jakie wywołała kontrowersyjna ustawa o IPN, Polska znalazła się na cenzurowanym i nie może pozwolić sobie na nic, co zaszkodzi jej wizerunkowi.

„To polityka” – słyszę często w Pruchniku, a „polityka” oznacza rzeczy skomplikowane, które dzieją się gdzieś ponad ich głowami. Uważają, że ich ocerniono. Bronią się. Ze świeżo zdobytą erudycją opowiadają, że przecież Żydzi też palą kukłę. Niektórzy wiedzą nawet, że dzieje się to w święto Purim i jest to kukła Hamana, inni zadawali się stwierdzeniem, że w swoje święto Żydzi też tak robią jak oni.

Krąży również informacja, podawana z ust do ust, że w wielu miejscowościach Czech i Słowacji nie tylko urządzany jest „sąd nad Judaszem”, lecz jest to tradycja, którą wręcz się tam szczyca.

To wszystko sprawia, że w Pruchniku dominuje poczucie niezasłużonej krzywdy. – Do tej pory Pruchnik kojarzył się z Markiem Papalą. Teraz będzie się kojarzył inaczej – mówi z przygnębieniem dwudziestokilkuletni chłopak.

Marek Papala, komendant główny policji, zamordowany w 1998 r., prędzej czy później pojawia się w rozmowie z każdym mieszkańcem Pruchnika. Bo mieszkańcy są absolutnie przekonani, że w całej Polsce wszyscy wiedzą, że właśnie w ich miasteczku urodził się Papala. Dali światu tak wybitnego człowieka i wrócił do nich z Warszawy już martwy, by spocząć na miejscowym cmentarzu. Jest w tym ponura symbolika, zwłaszcza że świat nie spełnił nawet swej obietnicy, by wyjaśnić tę śmierć.

Może ten wół świadomy bunt przeciwko światu sprawia, że w Pruchniku nawet konserwatywni – jak to na Podkarpaciu – mieszkańcy nie są skłonni ugiąć się przed autorytetami. Wiadomość, że Episkopat potępił „sąd nad Judaszem”, nie wywarła tu dużego wrażenia.

– Ja powiem tak: mój syn był cztery i pół roku w seminarium duchownym. To wiem, że Episkopat powinien się zająć swoimi grzechami, bo jest ich wiele. U nas dzieci krzywdzone nie były – mówi 65-letnia mieszkanka Pruchnika.

W Pruchniku dominuje poczucie niezasłużonej krzywdy. Mieszkańcy miasteczka czują się jak w oblężonej twierdzy. Zaatakowano ich z powodów, które wydają im się mgliste. Uważają, że ich ocerniono. „To polityka” – powtarzają często

Mam podobne doświadczenia. Mieszkańcy Pruchnika spontanicznie opowiadali mi, że przy rynku kiedyś tylko jeden dom był „chrześcijański”, a w innych mieszkali Żydzi. Mówili, że właśnie żydowscy rzemieślnicy i kupcy zbudowali najpiękniejsze domy i dobrze im się wiodło.

W monografii Pruchnika, której jednym ze współautorów jest dr Więch, zawarto wspomnienia mieszkańców z czasu wojny. Uważali, że Żydzi i Polacy dzielą wspólny los, krążyło powiedzenie, że dla Niemców Żydzi będą na śniadanie, a Polacy na obiad. Zdarzały się przypadki ukrywania Żydów,

uznanym za przedstawiciela Ciemnogrodu, czego boją się zwłaszcza osoby należące do pruchnickich elit. Z kolei stanowcze potępienie miejscowego zwyczaju wydaje się też niezbyt właściwym wyborem, zwłaszcza jeśli w głębi ducha myśli się inaczej.

– Ludzie w Pruchniku zamknęli się w sobie. Niechętnie rozmawiają z obcymi o tym, co się wydarzyło – przyznaje dr Arkadiusz Wiech, który po raz kolejny przejechał tu kilka dni po wybuchu skandalu.

Można odnieść wrażenie, że mieszkańcy miasteczka czują się jak w oblężonej twierdzy. Zaatakowano ich z po-

Codziennie nowa wojna

Od jesieni 2015 r. i zwycięskich dla PiS wyborów odbywa się w Polsce masowa produkcja pretekstów do tego, by zaatakować rząd. Każdy powód jest dobry. I każdy będzie dobry, bo mówimy o procesie, który trwa i ma trwać



Już mało kto pamięta wydarzenia, z których powodu od początku kadencji PiS opozycja i jej zwolennicy demonstrowali na ulicach. A przecież absorbowaly uwagę opinii publicznej bez reszty. Pretekstów było wiele, większych i całkiem drobnych. „Przejęcie” telewizji publicznej czy „zamazanie” na Trybunał Konstytucyjny, ale też np. fake news o nieprzyjęciu sierot z Aleppo czy „brutalne morderstwo” na wiewiórce. Zmanipulowana fotografia miała sugerować, że prawo pozwalające na wycinkę drzew na terenach prywatnych (tzw. lex Szyszko) będzie prowadzić do masowej eksterminacji zwierząt. I tak właściwie co dnia. Jeden pretekst upada, za chwilę pojawia się kolejny. Za każdym razem ma nam się wydawać, że w kraju dzieje się naprawdę źle, a władza jest arogancka, nie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

śłucha ludzi i nie panuje nad nastrojami społecznymi.

DLACZEGO NIE DZIAŁA?

Gdybyśmy na początku kwietnia usłyszeli od kogoś, że przez kilka tygodni zdecydowana większość polskich szkół będzie zamknięta, zagrożone będą egzaminy gimnazjalne i ósmoklasistów, a nawet matury, i mimo to poparcie dla

rządu ani trochę nie spadnie – można by mu było kazać się popukać w czoło. Masowy strajk kilkuset tysięcy nauczycieli, największy w historii III RP, w środku kampanii wyborczej miał być dla partii rządzącej czarnym scenariuszem.

Dlaczego to się opozycji nie udało? Dlaczego tak wielki protest – przyznajmy, że w słusznej sprawie, bo nauczyciele zarabiają zbyt mało – nie osłabił obozu rządzącego mimo ogromnego wsparcia mediów i opozycji? Czy kluczowe znaczenie miało to, że związkowcy przesadzili z utwardzaniem swojego stanowiska i opinia publiczna zobaczyła, iż nie chcą porozumienia? Czy przeważała autokompromitacja części nauczycieli, którzy swoimi artystycznymi występami sprawili, że protest stał się groteskowy? A może przesadziły pozostawienie uczniów

samych sobie w czasie egzaminów gimnazjalnych i ósmoklasistów oraz zapowiedź sparaliżowania matur? Zapewne każdy z tych elementów miał znaczenie i doprowadził do tego, że rząd może się poczuć zwycięzcą – przerwano bowiem protest mimo niespełnienia postulatów Sławomira Broniarza.

Ale na strajk trzeba spojrzeć z szerszej perspektywy politycznej – całej kadencji. Był on wielką nadzieją opozycji i kolejnym elementem scenariusza ćwiczonego od 2015 r. – pokazania wielkiego niezadowolenia społecznego z tej władzy i niemal masowej rebelii. „Gazeta Wyborcza” pisała o „narodowym buncie szkolnym”. Nie pierwszy zresztą raz.

CHRONICZNY NIEPOKÓJ

Takich „narodowych buntów” było już wiele. Sposobów na rozhuśtanie nastrojów i walkę z rządem na ulicy szukano przy każdej okazji. Przypomnijmy te najgłośniejsze: „obronę” Trybunału Konstytucyjnego i kilkaset dni miasteczka protestacyjnego przed siedzibą KPRM; manifestacje przeciw reformie sądów; protest opiekunów niepełnosprawnych w Sejmie; „obronę” Puszczy Białowieskiej, liczne demonstracje przed siedzibą PiS; manifestacje przed TVP; „czarne marsze” aborcjonistek; protest lekarzy rezydentów; marsze po samospaleniu Piotra S. na pl. Defilad; wreszcie kabaretowy „pucz” Sejmowy na przełomie 2016 i 2017 r.

Niemal każde z tych wydarzeń miało te same punkty wspólne – organizacyjną aktywność opozycji ulicznej z KOD lub ruchów bliźniaczych, pełne zaangażowanie polityków opozycji parlamentarnej i pozaparlamentarnej, uruchomienie tych samych celebrytów, propagandę tych samych mediów, od lat walczących z konserwatywnym obozem. Każdy pretekst był dobry, by próbować wywołać wrażenie rozgoryczenia narodu obozem, który „przez przypadek” znalazł się u władzy. Choć przecież dostał ją w wyniku demokratycznych wyborów.

Z dzisiejszej perspektywy jeszcze lepiej widać pedantyczną realizację manifestu Bartosza Kramka z fun-

dacji Otwarty Dialog, którego celem było „wylączenie rządu”, „zatrzymanie państwa”. Przecież w swoich 16 punktach na drodze do polskiego Majdanu postulował on rozmowy opozycji ze związkowcami, a zwłaszcza ZNP (były), strajk generalny nauczycieli (był), protesty sędziów (były), „presję społeczną w postaci protestów i manifestacji”, która „musi być ciągła i wysoka” (jest), demonstracje nie tylko przed Sejmem i Pałacem Prezydenckim, lecz również przed siedzibą PiS i domem Jarosława Kaczyńskiego (były), wsparcie artystów i ludzi nauki, by stworzyć „ofertę kulturalną i edukacyjną” (było i jest), wywołanie społecznego ostracyzmu wobec polityków PiS – z wykorzystaniem ulotek czy billboardów (jest), wykorzystanie samorządów (jest), pomoc prawną samorządów prawniczych (jest), współpracę z zagranicą (oj, jak bardzo jest), wojnę w internecie ze szczególnym naciskiem na „dyskredytowanie funkcjonariuszy PiS” (jest).

Zaskakujące, jak wiele z postulatów tego człowieka zostało wdrożonych. I wciąż nie przynoszą one oczekiwanych efektów...

BEZ REFLEKSJI

W grudniu 2016 r. trwała w najlepsze okupacja sali plenarnej w Sejmie, a przed gmachem gromadzili się uczestnicy tzw. puczu. Opozycja liczyła, że to będzie ten moment, gdy emocje przeważą szale i wściekłość ulicy zmiecie PiS. Prof. Zdzisław Krasnodębski, eurodeputowany reprezentujący partię Jarosława Kaczyńskiego, tak wtedy oceniał protesty: „Ludziom, którzy dziś wychodzą na ulice, przez lata wtłaczano do głów, że PiS nigdy nie dojdzie do władzy, że wręcz nie ma takiego prawa, że jest poza marginesem. Jakże przynosi to efekty w Europie? Ostatnio pewien austriacki polityk pytał mnie, jak to się stało, że wybory wygrała u nas tak marginalna partia jak PiS. On w ogóle nie zauważał, że taka siła polityczna istnieje. W Europie nie wiadomo, że w Polsce odbywały się wielotysięczne demonstracje, że w Łodzi doszło do mordu politycznego. Taki był efekt rządzenia przez konflikt, przez wykluczenie, przez monopolizację własnej pozycji ideowej”.

Ten monopol został przełamany, to nie mogło nie spowodować odzewu. Nie dziwią więc ówczesne pohukiwania Lecha Wałęsy: „Niszczą nasz dorobek. Już mieliśmy dobrą opinię na świecie, a tu nagle wracamy do tych starych opinii o nas. Komuniści szkody robili powoli, a ci szybko. Dlatego mówiłem, że PiS robi większą szkodę niż komuniści”. Przypomnijmy, minął właśnie pierwszy rok rządów Zjednoczonej Prawicy, obozu, który od początku negował kierunek polskiej transformacji. Pierwszy raz uzyskał samodzielny wpływ na życie publiczne. „I pierwszy rok, bardzo trudny przecież, przyniósł pewne wymierne sukcesy. Myślę, że to jest traktowane przez tę przeważającą część naszej elity, kształtującej się po 1989 r., jako zagrożenie dla swoich przywilejów. Dlatego oni będą próbowali robić wszystko, by zmienić ten stan rzeczy” – mówił nam wtedy były premier Jan Olszewski.

Chęć zaskłodzenia władzy i gorliwość, z jaką chcą się do tego przyłożyć protestujący, czasem zastępuje trzeźwość w osądzie sytuacji. Wspomniana okupacja Sejmu szybko zamieniła się w cyrk. Relacje „reportera” Sławomira Nitrasa sprawiały, że coraz więcej osób interesowało się już nie przyczynami protestu, ale raczej stanem emocjonalnym posła. Gdy Joanna Mucha raczyła nas filmami z własnych występów wokalnych (trudno mówić o śpiewie), wydawało się, że określenie „błazenada” będzie zbyt delikatne.

Niedawny protest nauczycieli pokazał, że powiedzenie o uczeniu się na błędach ma się świetnie tylko w teorii. W praktyce okazało się, że nawet najbardziej słuszna sprawa może zostać strywalizowana i ośmieszona. Widok pedagoga przebranego za krowę lub świnię i muczącego lub chrumkającego nie dodaje mu powagi ani nie budzi sympatii, a tym bardziej nie buduje zrozumienia dla postulatów – powtórzmy, jak najbardziej słusznych – podniesienia pensji. Pamięć ludzka zaś jest bardzo wybiórcza i bezlitosna. Poślowie, o których wspomnieliśmy, już wiedzą, że mimo wielu innych, często chwalebnych aktywności zostaną zapamiętani jako sejmowi klauni. Nauczyciele właśnie wracają do klas...

Jak słusznie zauważył Tomasz Rożek w „Rzeczpospolitej”, nauczyciele przegrali ten strajk z powodu oczywistego, wręcz ostantacyjnego upolitycznienia. Sławomir Broniarz, stały uczestnik wieców opozycji, karnie wpisał się w scenariusz nakreślony przez Kramka i prowadził spór dla samego sporu. Ze sprzecznych komunikatów ZNP można była zapamiętać jedynie przekaz, że belfrom nie zależy na zmianach systemowych, tylko na kasie, a żądania są maksymalnie wygórowane, by rząd nie miał nawet cienia szansy ich spełnić. Konflikt miał więc trwać – w pierwotnym założeniu – do jesiennych wyborów.

WYŚCIG EKSTREMISTÓW

Pod płaszczykiem walki o demokrację i rzekomo zabijaną wszelką wolność mamy notoryczne próby anarchizowania kraju. Czasem ubierane są w brzmienie niewinne hasło „obywatelskiego nieposłuszeństwa”, a czasem stanowią jawne wezwania do łamania prawa. Ta kadencja zaczęła się od apelu publicysty Pawła Wrońskiego do żołnierzy, by nie wykonywali rozkazów ministra obrony narodowej. Kramek poszedł dalej. W punkcie czwartym swojego manifestu proponował: „Warto rozważyć otwartą i zakrojoną szeroko akcję czasowego powstrzymania się od płacenia podatków i innych należności na rzecz skarbu państwa pod hasłem np. Nie płacę na PiS”. Tu przeszarżował, Polska nie jest państwem z dykty i taka akcja natychmiast zakończyłaby się wyciągnięciem sankcji przez służby.

Szybko zaczął się wyścig, kto będzie bardziej hardy i radykalny, kto bardziej postawi się rządowi. W maju 2016 r. w Sejmie odbyło się spotkanie wszystkich klubów, na którym Grzegorz Schetyna był skłonny się zgodzić na pewien kompromis w kwestii Trybunału Konstytucyjnego. Natychmiast został jednak zaatakowany przez Ewę Kopacz za zbyt miękki stosunek wobec „reżimu”. To był ostatni taki „wyskok” szefa PO.

Sam w końcu nazwał się opozycją totalną, wykluczając nie tylko porozumienie, lecz nawet jakiekolwiek rozmowy.

Mile widziane są za to kolejne próby rozchybotania sytuacji. Pewną pułapką jest dobra koniunktura gospodarcza, którą chętnie chwali się rząd. To powoduje, że kolejne grupy społeczne żądają pieniędzy. Skoro jest dobrze, to i nam się należy. Opozycja oczywiście te żądania wspiera z całą dostępną siłą, ale zbieżność interesów jest tutaj tylko pozorna. Protestujący są traktowani jednorazowo. Przypomnijmy sobie, jaka histeria towarzyszyła np. okupacji Sejmu przez osoby niepełnosprawne i ich opiekunów. Po czasie wiemy, że Jakub Hartwich, syn liderki protestu, poszedł wprost do polityki, został rad-

Broniarz, stały uczestnik wieców opozycji, karnie wpisał się w scenariusz nakreślony w „manifestie o wyłączeniu rządu PiS” przez Kramka i prowadził spór dla samego sporu

nym Torunia pod szyldem Koalicji Obywatelskiej. Kwestia żądanych wówczas podwyżek jakoś przycichła.

Podobnie było z ekologami broniącymi Puszczy Białowieskiej czy uczestnikami promujących aborcję „czarnych marszów”. Mija trochę czasu, temat się rozmywa, na agendzie informacyjnej mamy już coś innego, tamte sprawy odkładamy na półkę z szyldem: „protesty sezonowe”.

W KAŻDEJ SPRAWIE

Właściwie we wszystkich protestach dosyć głośna jest grupa tych samych osób. Być może nie mają tej świadomości, ale atakując w każdej sprawie, mocno dewaluują siłę swojego głosu. Nadzieją opozycji na początku kaden-

cji był Komitet Obrony Demokracji, który w „Gazecie Wyborczej” opisywano jako nową Solidarność. Lider ruchu Mateusz Kijowski okazał się notorycznym dłużnikiem alimentacyjnym, ponadto dziury we własnym budżecie latał za pomocą faktur za pracę, której nie wykonał. Jęk zawiedzionych społeczników rozniósł się po całej Polsce, ale życie opozycjonisty nie znosi próżni, więc miejsce KOD zajęli jeszcze głośniejsi i jeszcze bardziej radykalni wobec władzy Obywatele RP. Gdy wydawało się, że trudno będzie znaleźć kolejny punkt oporu wobec PiS, staliśmy się świadkami „antymiesięcznic” smoleńskich. To wyjątkowo podłe spektakle, włącznie z blokowaniem przemarszu, który upamiętniał ofiary 10/04.

Trudno nie odnieść wrażenia, że w niemal czteroletni opór wobec władzy Zjednoczonej Prawicy sporo inwestują media. „Wyborcza” i TVN opór wobec PiS nie tylko relacjonują, lecz wręcz go moderują. O kolejnych aktach nieposłuszeństwa pisze się i mówi z nadzieją. Protestujący to bohaterowie, poznajemy ich losy i życiowe perypetie w zderzeniu z „reżimem”. I słyszymy zapowiedzi, że nadchodząca jesień będzie dla PiS przełomowa. Jacek Nizinkiewicz w „Rzeczpospolitej”: „Oszukani przez władzę czują się lekarze rezydenci. Swoje postulaty mają pielęgniarki. Rolnicy z AgroUnii nie boją się blokować ulic. A są jeszcze opiekunowie osób niepełnosprawnych, których władza upokorzyła w Sejmie. Są inne grupy społeczne, które podniosą głowę we wrześniu”.

Dwa i pół roku temu, gdy rozmawialiśmy o protestach z Janem Olszewskim, były premier był umiarkowanym optymistą. „Proces przywracania Polakom przekonania, że państwo jest naprawdę ich państwem, w tych warunkach, po doświadczeniach pookrągłostołowych, jest sprawą pokolenia. Ale ten proces właśnie się zaczął i myślę, że będzie biegł we właściwym kierunku” – mówił były premier pytany o narodową zgodę.

Po czasie widzimy, że ta droga jest coraz bardziej wyboista. Prawdziwa burza chyba dopiero przed nami.

Krajobraz po bitwie



Fot. Andrzej Wiktor

Prezesowi ZNP udało się wykopać wiele głębokich rowów. Politycy odejdą, może i Sławomir Broniarz odejdzie, ale nauczyciele, rodzice i dzieci będą latami zasypywać to, co zdewastowano

Obraz polskiej szkoły po strajku nauczycieli to pobojuwisko. Prezesowi ZNP udało się poróżnić nauczycieli z nauczycielami. Najpierw tych strajkujących z tymi, którzy do strajku się nie przyłączyli. Później tych rozczarowanych zakończeniem protestu z tymi, którzy odetchnęli z ulgą, że koszmar dobiegł końca. Udało mu się poróżnić także rodziców z nauczycielami. Część strajk wspierała, część miała

**DOROTA ŁOSIEWICZ**

poważny problem, żeby zapewnić dzieciom codzienną opiekę przez ponad dwa tygodnie. Udało się poróżnić rodziców z rodzicami. Tych, którzy belfrom kibicowali, z tymi, którzy formę strajku, a czasem nawet postulaty oceniali krytycznie. I wreszcie Sławomir Broniarz skonfrontował nauczycieli z ich podopiecznymi – uczniami. Wielu miało prawo mieć żal za zachowanie pedagogów podczas egzaminów czy realną groźbę, że nie

dojdzie do matur. Teraz wszyscy muszą znów z sobą pracować. Dla dobra dzieci.

W ostatnim numerze oddałam głos nauczycielom. Tym, którzy strajkowali, i tym, którzy do strajku się nie przyłączyli. Dziś kolej na rodziców, którzy oceniają skutki protestu nauczycieli.

POZOSTAŁ NIESMAK

Anna Nowak, mama dwojga dzieci

Strajk okazał się przede wszystkim kompromitacją środowiska nauczycielskiego. Dla mnie jako rodzica jest to zatrważające, bo po zawieszeniu strajku ci ludzie wrócą do szkół i będą pracować z dziećmi. Żenujące pokazy wokalne i przebie ranki urządzone przez ludzi, którzy przypisują sobie walory racjonalności i krytycyzmu, ośmieszyły misję nauczycieli, zinfantylizowały ich, a ciągle nawiązywanie do wątku dotacji na świnie i krowy ukazało, ile w nich złej woli i agresywnej retoryki.

Jako rodzic dzieci w wieku szkolnym czuję się przez nauczycieli zdradzona, doszło do zerwania przymierza rodzicielsko-nauczycielskiego zorganizowanego wokół dobra dziecka oraz misji szkoły i wychowania. I o ile o postulatach dotyczących wynagrodzeń można dyskutować i zyskały one zrozumienie wielu rodziców, o tyle metody prowadzenia strajku w mojej opinii były nie do przyjęcia. To, co raziło mnie najbardziej, to szykany wobec nauczycieli, którzy nie podjęli protestu. Strajk zawieszono, pozostały nieufność i niesmak. Jakaś granica została przekroczona i nic już nie będzie takie samo. Przestałam wierzyć nauczycielom, nie wiem już, jacy są wobec dzieci, skoro potrafią być tak bezwzględni wobec swoich współpracowników. Nie wiem, jak ci, którzy szykanowali współpracowników, spojrzą im w oczy po pierwszym poniedziałkowym dzwonku w szkole, jak przekonają uczniów, że są dla nich, że dobro dziecka jest faktycznie ważne. Osobiście zastanawiam się nad przeniesieniem dziecka do szkoły społecznej, wiem o jeszcze jednym rodzicu w klasie, który również rozważa taką możliwość.

Sławomir Broniarz – wbrew temu, co deklarował – nie mówił swoim głosem. Sufflowali mu politycy PO-KO i samorządowcy związani z opozycją. ZNP od samego początku dążył do zwarcia, nie było mowy o dialogu, kompromisie. Ustąpił dopiero wtedy, gdy rząd skutecznie odbił wziętych zakładników. Totalne zwarcie skończyło się totalną kompromitacją.

KRYK NAUCZYCIELI

Magdalena Liberadzka, mama dwojga dzieci

Przez lata własnej edukacji miałam przyjemność spotkać wielu wybitnych nauczycieli. Prawdziwą klasę VIP wśród pedagogów, którzy wykonywali swój zawód z pasją, oddaniem, zaangażowaniem i profesjonalizmem.

Takie samo szczęście ma moja córka. Niestety syn takiego szczęścia już nie ma. W bardzo bolesny sposób dotknęła go obecna, nie wiem już która, „deforma” systemu edukacji. Bałagan, dwuzmianowość, zmieniający się jak w kalejdoskopie

wychowawcy, nauczyciele bez zaangażowania i chęci lub brak nauczycieli i wieczne zastępstwa... długo by wliczać. Poza tym syn należy do tej grupy dzieci, które muszą wszystko ciężko wypracować, a do nauki potrzebują ciszy i skupienia. Obecna szkoła nie jest w stanie mu tego zapewnić. Dlatego od samego początku popierałam prowadzony przez nauczycieli strajk. I z jednej strony żałuję, że się skończył, a raczej został zawieszony, aby „zapewnić uczniom warunki do spokojnego ukończenia roku” [cyt. Sławomir Broniarz].

Nic jednak nie będzie od tej chwili spokojne. Krzyk nauczycieli pokazał nam, jak nieodpowiedzialna była reforma edukacji ze wszystkimi jej negatywnymi skutkami i ignorowanie tej grupy zawodowej, pomijanie jej i niespełnianie złożonych obietnic. Krzyk nauczycieli uwypuklił brak bezpieczeństwa, stabilności i godności zawodu nauczyciela. I wreszcie krzyk ten odbił się echem w świecie i dostał ogromne poparcie. Bo to przecież nie jest winą nauczycieli, że podstawa programowa jest taka obszerna, sztywna i stworzona na szybko, bez głowy, że klasy są przepełnione, że nie ma czasu przekazać wiedzy, ponieważ trzeba pędzić z programem, że Librus cały na czerwono, aż się słabo robi (klasówki i kartkówki), że zlikwidowano gimnazja, że do liceów nie dostaną się wszyscy, bo rocznik podwójny. I że już trzeci rok z rzędu nie ma nauczyciela do języka angielskiego, bo młody człowiek po studiach woli pójść do korporacji.

A jednak pomimo wszystko – kosztem własnego życia osobistego, kosztem własnych dzieci i własnych rodzin – pozostali jeszcze tacy nauczyciele, i jest ich całkiem sporo, którzy starają się, jak mogą, uczyć i wychowują nasze dzieci. Podziwiam i szanuję tych nauczycieli, którym pomimo krytyki i niesprawiedliwego oceniania przez społeczeństwo jeszcze się chce. Bo każdy mógłby przecież odejść, zmienić zawód, tylko co wtedy? Kto będzie uczył moje dzieci? I to na dodatek za takie marne pieniądze. Każdy człowiek ma prawo do godnego życia, a takie mogą zagwarantować odpowiednie zarobki. Nauczyciele walczą o lepszą przyszłość moich, twoich, naszych dzieci. Walczą o mądre społeczeństwo, które zna swoją historię, szanuje dorosłych i jest świadome swojej roli. Popierałam ten strajk, popieram nauczycieli w ich postulatach, popieram lepszą edukację.

KONIECZNA GŁĘBOKA PRZEBUDOWA

Alina Sikorska, mama sześciorga dzieci

Znam różnych nauczycieli. Bardzo dobrych i tych bardzo złych. Niektórzy to zwykłe szuje, które nie zasługują nawet na miano nauczyciela. Dobrym należy się podwyżka, ale tym, dla których uczeń jest kulą u nogi, nie należą się żadne pieniądze. Mam nadzieję, że wkrótce zostanie wypracowany jakiś system wynagradzania, który weźmie pod uwagę jakość pracy nauczycieli.

Od początku strajku jedni mówili, że walczą tylko o poprawę warunków pracy, bo takie są zadania związków zawodowych, a inni, chcący ocieplić nieco klimat strajku, pięknie pisali i opowiadali o tym, jak to walczą o nową szkołę w trosce o uczniów. Niestety cały strajk był tak zorganizowany, żeby sprawnie podzielić ludzi. Już samo zignorowanie nas, rodziców – nie wspomnę o tym, jak zostały potraktowane dzieci

– było oddzieleniem się od nas grubą krechą. Pana Broniarza poznałam przy okazji strajku. Nie wiem, czym pociągnął za sobą reszcie nauczycieli poza widmem większych pieniędzy.

Niestety strajk pokazał, że przed wieloma nauczycielami trzeba nam chronić dzieci. Smutne. Choć mam ogromną nadzieję, że stanie się to wszystko przyczynkiem do gruntownej przebudowy systemu szkolnictwa. Ta machina jest zapyziała i potrzebuje nie cyfryzacji, nie kosmetycznych zmian nazewnictwa, ale głębokiego przeorania. Powszechne szkolnictwo jest zdane na porażki i niepowodzenia, bo jest sztucznym tworem, jakąś przechowalnią dzieci z dala od ich naturalnego środowiska, jakim jest dom i podwórko. Dlatego najlepszym rozwiązaniem byłby bon edukacyjny, który każdy rodzic mógłby realizować wedle potrzeb swojego dziecka. Edukacja domowa, która jest aktualnie najdoskonalszą formą kształcenia dzieci i młodzieży, mogłaby się znakomicie rozwinąć. Rodzice mogliby wedle potrzeb przeznaczać bon na naukę języków obcych, na zajęcia sportowe i artystyczne, na nauczyciela matematyki czy chemii. W takim systemie nie byłoby miejsca dla słabych nauczycieli, gardzących swoimi uczniami i ich rodzicami. Myślę, że nadarzyła się świetna okazja do fundamentalnej przebudowy systemu oświaty.

Strajk pokazał, że przed wieloma nauczycielami trzeba nam chronić dzieci. Ale też, że potrzebujemy nie reformy, lecz gruntownej przebudowy systemu szkolnictwa

ZŁAMANE TABU

Barbara Konarska, mama pięciorga dzieci

Strajk zawieszony. Ale dla mnie nie jest po sprawie. Protest odsłonił to, czego nikt nie miał odwagi dotykać. To było swoje tabu. Ale może właśnie, podsumowując te kilkanaście dni obnażania się sytuacji w szkołach, trzeba nazwać po imieniu to, co niszczy polską edukację, jej słabe miejsca. Nazwać. Wziąć pod lupę. Wyleczyć.

Przygoda ucznia z edukacją państwową to – licząc od zerówki po koniec studiów – 12–20 lat. W zależności od tego, czy kończymy edukację na szkole branżowej czy pięcioletnim technikum i czy wybrane studia to licencjat czy medycyna albo jakaś patchworkowa sytuacja w edukacji niestandardowej. Np. w przypadku uczniów w edukacji specjalnej przerywanej urlopami zdrowotnymi. Przez kilkanaście kwietniowych dni niektórzy nauczyciele dokładnie takimi konsekwencjami straszili wszystkich uczniów. Że zablokują zdobycie zawodów niepełnosprawnym, szybką samodzielność kandydatom do branżówek, zrealizowanie planów zawodowo-edukacyjnych studentom. Zagrozili powtarzaniem klas uczniom, którzy obowiązki szkolne realizowali sumiennie. Szczególnie podle potraktowali tegorocznych absolwentów wszystkich szkół. I to jest to tabu, ta odpowiedź na pytanie: kto uczy nasze dzieci?

Nauczyciel jest zawodem szczególnym. Trudnym. I w Polsce słabo płatym. Od zawsze. I pora to zmienić. Płaca powinna być godna, dopasowana do stażu, wyników, zaangażowania. Na szczęście wszyscy jesteście owocami edukacji

w Polsce, więc rozpisywać się za wiele o tym, jaka ona jest, nie trzeba. Każdy z nas przećwiczył na własnej skórze, na skórze naszych dzieci nauczycieli wspaniałych i osoby zupełnie przypadkowe, wręcz szkodzące edukacji młodego człowieka. Nauczyciel może зараzić miłością do przedmiotu lub do niego zrazić. Jak się okazało, może też skutecznie bez skrupułów zniszczyć plany edukacyjne i zawodowe młodego człowieka.

Strajkujący nauczyciele zażądali od budżetu państwa czegoś niemożliwego i zapowiedzieli, że jeśli ich oczekiwania nie zostaną spełnione bez zwłoki, nasze dzieci stracą rok nauki. Tak postawione ultimatum pokazuje, że środowiska nauczycieli w walce „natychmiast i o wszystko” nic nie zatrzyma, nawet najwyższa cena, jaką może zapłacić uczeń. Broń została odbezpieczona, załadowana, czemu miałyby nie wystrzelić

za kolejne dwa, trzy lata czy pięć lat? Ile razy mogą nauczyciele nie promować ucznia w ciągu kilkunastoletniej nauki? I co to oznacza? Matura w wieku 21 lat? Strajk pokazał, że ta grupa zawodowa, ta szczególnie grupa zawodowa, której obowiązkiem jest kształtować mocne, moralne, etyczne postawy pokoleń, tak naprawdę zupełnie nie liczy się z młodym człowiekiem.

Strajk jest apelem do rządu, żeby zabezpieczył prawo do edukacji, bo jeśli znowu jakiś następny czy ten sam pan Broniarz zawoła, znowu świadectwa będą dobrem

reglamentowanym dostępnym tylko w szkołach prywatnych.

Co jeszcze pokazał strajk poza tym, że część nauczycieli nie powinna pracować z dziećmi, że ich nie szanuje, że traktuje przedmiotowo? Że jest to środowisko, które generalnie nie potrafi przewidzieć, wyliczyć, zaplanować. Od tej grupy społecznej wymaga się przykładu prowadzenia negocjacji. Oni powinni pokazać młodym, jak się rozwiązuje problemy, jak się dogaduje, rozmawia, ocenia realia. A co zobaczyliśmy? Histerię, brnięcie w „dawać, chociaż nie macie, bo nie ręcę za nikogo”.

Kiedy nauczyciel uczący cztery klasy mówi nam, że codziennie znosi ciężkie siaty ze sprawdzianami, że musi się do każdej lekcji przygotowywać, że sprawdza klasówki po nocach, mając 18 godzin pensum, to trudno nie zadawać sobie pytań typu: ile klasówek piszą uczniowie, czemu nauczyciel nie sprawdza ich po swojej trzeciej i ostatniej godzinie pracy i dlaczego każdego roku te same tematy musi przygotowywać od nowa i po nocach? Co się zmienia? Budowa zdań? Wzory zadań? Historia czy proces fotosyntezy? Tematem tabu jest też temat poziomu nauczania. Ile dzieci korzysta z korepetycji? Prawie wszystkie. Dlaczego rodzic tłumaczy dziecku coś skutecznie, a pani w szkole – nie?

Jako rodzic oczekuję zabezpieczenia przez państwo naszych dzieci przed tym, o co prawie się otarliśmy. Nauczyciel powinien być jak pracownik mundurowy, jego zawód uznany za służbę, a działania objęte odpowiedzialnością za skutki. I za to powinien pobierać godne wynagrodzenie.



Donald Odnawiciel

Realizując wizję Tuska, Polska miałaby niewiele wspólnego z Konstytucją 3 maja, a sporo z tym, co nastąpiło po sejmie grodzieńskim w roku 1793



STANISŁAW JANECKI

Nadzieja i odpowiedzialność. O konstytucji, Europie i wolnych wyborach – tym wykładem Donalda Tuska 3 maja 2019 r. na Uniwersytecie Warszawskim epatowano już kilka tygodni przed jego wygłoszeniem. A o jego ważności i wyjątkowości przekonywano tak, jakby chodziło o wydarzenia towarzyszące uchwaleniu Konstytucji 3 maja. Donalda Tuska sytuowano z kolei jeśli nie w roli króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, to przynajmniej Hugona

Kołłątaja. Wykład Tuska miałby być odpowiednikiem listów Kołłątaja z lat 1788–1789, znanych pod nazwą „Do Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego. O przyszłym Sejmie Anonima listów kilka”.

Ten marketingowy balon nie miał oczywiście nic wspólnego z rzeczywistością i treścią samego wykładu. Ale robienie atmosfery epokowego wydarzenia miało wskazać na skalę problemów i dramatyzm sytuacji Polski pod rządami Prawa i Sprawiedliwości oraz prezydenta Andrzeja Dudy. Dramatyzm tym większy, że Polska (w wersji III RP) zyskała największe w całych dziejach demokratyczne i wolnościowe zakotwiczenie, i to rządzący nią stanowią teraz największe zagrożenie dla tej kotwicy, a nie siły zewnętrzne – jak było u kresu I Rzeczypospolitej. Tym razem nie chodzi więc o reformę konstytucyjną

mającą uratować Polskę, także w sensie suwerenności i niepodległości, lecz o jak najszybsze anulowanie zmian w prawie, oczywiście łamiących konstytucję, które burzą demokratyczne, wolnościowe i geopolityczne zakotwiczenie na Zachodzie, jednocześnie przesuwając Polskę na Wschód.

TUSK JAK HERAKLES

Narracja Donalda Tuska jest prosta jak konstrukcja cepa: śmiertelny wróg Polski od środka opanował jej władzę ustawodawczą i wykonawczą oraz zabija resztki niezależności władzy sądowniczej. Czyli za rządów PiS oraz prezydenta Andrzeja Dudy zachodzi proces odwrotny do tego, który wiąże się z obradami Sejmu Wielkiego (1788–1792) oraz przyjęciem przezeń Konstytucji 3 maja. I to jest jednocześnie wydarze-



Fot. Andrzej Halimka/REPORTER

nie bez precedensu w dziejach nowoczesnej Europy, a już niewyobrażalne w historii Unii Europejskiej. Dlatego trzeba się temu przeciwstawić ze wszystkich sił, bo przyszłe pokolenia nie wybaczą bezczynności w obliczu tak dramatycznych wydarzeń i zagrożeń. A tym, który nie dopuści do upadku Polski, jest Donald Tusk. To na obecnym przewodniczącym Rady Europejskiej jako osobie kształtującej demokratyczny ład w Polsce oraz najlepiej znającej demokratyczny i wolnościowy ład europejski spoczywa odpowiedzialność za zatrzymanie procesu upadku III Rzeczypospolitej, czyli potencjalnie największej katastrofy współczesnego demokratycznego świata.

Brzmi to oczywiście całkiem groteskowo, ale uderzanie w takie apokaliptyczne tony, wzmocnione przez liberalno-lewicowe media na świecie,

ma być sposobem na poradzenie sobie z rządami Zjednoczonej Prawicy. A to wróg nie tylko zagrażający Polsce, lecz także Europie, szczególnie wobec tego, co dzieje się we Francji czy Włoszech, a w jakimś sensie także w Niemczech. Dlatego Donald Tusk musi zatrzymać siły spod znaku rozkładu, destrukcji, nacjonalizmu, populizmu i autorytaryzmu w Polsce, bo w ten sposób obroni także Unię Europejską. Czy tej miary i wielkości przywódca, jeden z liderów Unii Europejskiej, nie powinien być prezydentem Polski? Kto poza nim mógłby wykonać zadanie na miarę 12 prac Heraklesa (podjętych dobrowolnie, a nie w ramach kary – jak w wypadku starożytnego herosa)?

Od czasu utraty władzy przez Platformę Obywatelską Donald Tusk, jej były przewodniczący i premier rządu PO przez siedem lat, powtarza, że w Polsce łamana jest konstytucja, rządy prawa są fikcją, a ustrojowo Polska przesuwa się na Wschód, choć powinna być jednym z filarów Zachodu, jak to się działo za jego rządów. Przez cztery i pół roku funkcjonowania Tuska w roli przewodniczącego Rady Europejskiej do tego zestawu doszło nierespektowanie przez Polskę traktatów europejskich i unijnego prawa, czyli pełzające wychodzenie z Unii Europejskiej oraz zamach na wolność będącą fundamentem UE i dziedzictwem Polski związanym z ruchem Solidarności, wyborami 4 czerwca 1989 r. oraz tym wszystkim, co się działo w ostatnim 30-leciu. Zanim prezydent i rząd z PiS nie zaczęli najpierw temu dziedzictwu zaprzeczać, a potem je systematycznie niszczyć. Dla Donalda Tuska prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego (1995–2005) oraz rządy postkomunistów (w latach 1993–1995 z premierem Waldemarem Pawlakiem, 1995–1996 z premierem Józefem Oleksym, 1996–1997 z premierem Włodzimierzem Cimoszewiczem i w latach 2001–2005 z premierami Leszkiem Millerem i Markiem Belką) nie tylko nie łamały praw i wolności, lecz pracowały na rzecz wstąpienia Polski do UE (w końcu rządów Miller i prezydentury Kwaśniewskiego), a potem implementacji demokratycznych wolności, norm, wartości i standardów, czego ukoronowaniem były

rządy PO-PSL w latach 2007–2015. Dlatego Sojusz Lewicy Demokratycznej (z Cimoszewiczem jako jedynką w Warszawie i Millerem jako dwójką w Poznaniu) znalazł się w Koalicji Europejskiej. Postkomuniści zdali egzamin z demokracji, podczas gdy nie zdało go postsolidarnościowe PiS. Brzmi to jak tekst ze współczesnego „notatnika agitatora”, ale taką jest narracja lidera opozycji Grzegorza Schetyny, pogłębiona wątkami historycznymi i europejskimi przez Donalda Tuska.

KRÓL DONALD

Tusk chce wmówić Polakom, że obecna konstytucja krajowa została praktycznie zawieszona, a konstytucji zewnętrznej, stabilizującej i korzystnie korygującej tę krajową, czyli traktatów europejskich, się nie przestrzega. I także tu polski parlament, prezydent i rząd odgrywają bezprecedensową rolę burzyciela europejskiego ładu prawnego, czyli tego, co w Unii Europejskiej najważniejsze. Przecież bezprecedensowe i wcześniej w UE nieznane jest uruchomienie przeciwko Polsce procedury z artykułu 7, podobnie jak rozstrzygane przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej kwestie niezgodności z unijnym prawem ustroju sądów w Polsce oraz zasad ich funkcjonowania. To wszystko jest oczywiście przez Komisję Europejską i TSUE prawnie naciągnięte tak, że struny już dawno popękały, ale jeden kraj nie jest się w stanie przeciwstawić temu oczywistemu łamaniu prawa i traktatów przez władzę wykonawczą i sądowniczą UE. A Donald Tusk i komisarz Elżbieta Bieńkowska robią wszystko, żeby te pozatraktatowe rozwiązania stały się faktem i żeby Polska była jedynym państwem członkowskim UE wyjętym spod artykułu 4 traktatu europejskiego.

W punkcie 2 artykuł ten stanowi, że „Unia szanuje równość Państw Członkowskich wobec Traktatów, jak również ich tożsamość narodową, nierozzerwalnie związaną z ich podstawowymi strukturami politycznymi i konstytucyjnymi, w tym w odniesieniu do samorządu regionalnego i lokalnego. Szanuje podstawowe funkcje państwa, zwłaszcza funkcje mające na celu zapewnienie

jego integralności terytorialnej, utrzymanie porządku publicznego oraz ochronę bezpieczeństwa narodowego. W szczególności bezpieczeństwo narodowe pozostaje w zakresie wyłącznej odpowiedzialności każdego Państwa Członkowskiego”, w punkcie 3 zaś mówi: „Zgodnie z zasadą lojalnej współpracy Unia i Państwa Członkowskie wzajemnie się szanują i udzielają sobie wzajemnego wsparcia w wykonywaniu zadań wynikających z Traktatów”.

Jeśli łamie się konstytucję krajową i nie przestrzega traktatów europejskich, pod znakiem zapytania staje najważniejsze narzędzie demokracji, czyli wolne wybory. I narracja Tuska, a za nim Schetyny, całkiem otwarcie podważa możliwość przeprowadzenia w Polsce wolnych wyborów. Nieważne, że wybory samorządowe w 2018 r. były chyba najbardziej demokratyczne, wolne i zgodne z prawem w całej historii III RP. Ma się utrwalić insynuacja, że PiS nie odda władzy za żadną cenę, czyli ta partia zagraża wolnym wyborom. Potwierdzeniem mają być przeprowadzone, planowane i zarzucone zmiany w kodeksie wyborczym, które nijak wolności wyborów nie zagrażają. Ale narracja Tuska zmierza do tego, żeby ewentualna przegrana opozycji wynikała z zamachu na wolne wybory, a nie z tego powodu, że opozycja nie uzyska wystarczającego poparcia społecznego. Ale tacy ludzie jak Tusk i instytucje UE są odpowiedzialni za demokrację i wolność w Polsce oraz za przyszłe pokolenia, więc do zamachu na wolne wybory nie dopuszczają. A wszystko to, co będzie się w Polsce działo po 3 maja 2019 r., oznacza proces przywracania konstytucji w kraju, powrót na traktatowe tory w UE oraz odbudowanie fundamentalnych dla demokracji praw i wolności, w tym wolnych wyborów. Znowu brzmi to jak cytaty z „poradnika agitatora”, ale taki jest horyzont myślowy Tuska, czyli króla Donalda Odnowiciela, najważniejszego Polaka i Europejczyka w jednym. Takiego, nad którym unosi się duch Konstytucji 3 maja i stoi za nim europejskie doświadczenie, jakiego nie ma nikt inny w Polsce.

NOWY USTRÓJ POLSKI

Na dłuższą metę i w kategoriach czysto politycznych Polska z królem Donaldem Odnowicielem ma być znacznie bardziej samorządowa, regionalna i europejska (w sensie europejskich regionów jako przeciwwagi dla polityki narodowej) niż obecnie, gdy czynnik samorządowy i europejski jest podporządkowany rządowemu. Będzie to tłumaczone tym, że obecny ustrój Polski jest anachroniczny, gdyż nie uwzględnia samorządowej ewolucji w ramach Unii Europejskiej oraz coraz większego udziału regulacji na poziomie europejskim w krajowym ustawodawstwie. Zmiana ustroju będzie tłumaczona koniecznością dopełnienia procesu zapoczątkowanego z jednej strony przez Konstytucję 3 maja,

Pierwszym krokiem w przekształceniu ustroju Polski byłaby zmiana statusu Senatu, który powinien się przeobrazić w izbę samorządową, trochę podobną do niemieckiego Bundesratu

a z drugiej – przez traktaty europejskie i ich ewolucję poprzez orzecznictwo TSUE i nowe zadania instytucji europejskich. Ewolucja ustroju Polski ma być wpisaniem się w europejskie procesy i ma ograniczyć dotychczas istniejącym w naszym kraju partiom wpływ na decyzje o przyszłości. Głównie dlatego, że te partie mają być niezdolne do dostosowania się do nowej rzeczywistości. W wizji takich przykładowych Europejczyków jak Tusk trzeba się przeciwstawiać pułapkom partyjniactwa i narodowych separatyzmów, które są blokadami rozwoju Unii Europejskiej jako wspólnoty regionów i ponadregionalnych wartości wynikających z traktatów europejskich.

Pierwszym krokiem w przekształceniu ustroju Polski byłaby zmiana statusu Senatu, który powinien się przeobrazić w izbę samorządową, trochę podobną do niemieckiego Bundesratu. I taki samorządowy Senat miałby być wyłaniany nie przez partie, lecz przede wszystkim przez ruchy oddolne, obywatelskie – na bazie samorządów różnego szczebla. Zmianę ustrojową miałby zainicjować samorządowy Ruch 4 Czerwca (nazwa nie jest jeszcze pewna), którego powstanie zostanie najpewniej ogłoszone 4 czerwca 2019 r. (wszystko wskazuje na to, że przez Donalda Tuska). Nikt oczywiście głośno nie mówi o perspektywie landyzacji Polski, co byłoby ogromnym osłabieniem państwa i wielkim zagrożeniem dla naszej suwerenności, ale ta koncepcja jest w grze.

Tusk ogólnikowo popiera Koalicję Europejską, ale nie mając pewności, czy uda mu się przejąć zarządzaną przez Schetynę Platformę Obywatelską, chce mieć wyjście awaryjne, czyli na początek Ruch 4 Czerwca. Dlatego na tym etapie politycznej rozgrywki będzie raczej dyskretytował obecny system partyjny, niezdolny do zmian, bo tkwiący w XIX i XX w. W zależności od wyników eurowyborów Tusk będzie albo rozwijał takie inicjatywy jak Ruch 4 Czerwca 2019 r., albo starał się stworzyć inną koalicję całej opozycji na jesienne wybory do Sejmu i Senatu. Przegrana Schetyny bardzo mu ułatwi zadanie. Obecnie Tusk wie, że nie porozumie się ze Schetyną, więc chce to obejść, proponując nowe otwarcie, a więc także nowych liderów, np. Rafała Trzaskowskiego. I ci nowi liderzy w wyborach parlamentarnych jesienią 2019 r. przynajmniej opanowaliby Senat. A to byłoby strategiczne przygotowanie do prezydentury Tuska w 2020 r., a po ewentualnej wygranej do przygotowania projektu nowej konstytucji.

W każdym razie, gdyby zrealizowały się pomysły Donalda Tuska, Polska miałaby niewiele wspólnego z wizją zapoczątkowaną Konstytucją 3 maja, a znacznie więcej z tym okresem, który nastąpił po sejmie grodzieńskim w 1793 r., a potem po trzecim rozbiórce Polski (w 1795 r.).

Serce innowacji bije w Tarnowie

Start-upy opanowały zbiorową wyobraźnię środowisk biznesowych z impetem rewolucji i rewolucja ta trwa już kilka lat. Dla młodych przedsiębiorców start-upy są szansą na spektakularny sukces, inwestorzy widzą w nich wybuch inicjatywy i kreatywności, który można zamienić na zysk, a administracja państwowa – jeden z filarów innowacyjnej gospodarki

Zeby poprawnie funkcjonować i odnosić sukcesy, start-upy potrzebują specjalnego otoczenia, środowiska: innych start-upów, inwestorów, dużych firm, instytucji wsparcia, ośrodków badawczych i naukowych.

Nie ma korzystniejszego czasu, aby mówić o młodych polskich wynalazcach oraz ich kreatywnych pomysłach, niż Forum Innowacji w Tarnowie. Z opublikowanego niedawno raportu Związku Liderów Sektora Usług Biznesowych ABSL wynika, że to miasto jest drugim z najlepszych w Polsce do inwestowania pieniędzy w nowe technologie.

Choć na biznesowej scenie pojawiają się co rusz nowe firmy, to często ich produkty są wtórne. Koszty pracy poszły w ostatnich latach do góry, a tym samym musimy jako kraj walczyć o klienta, szczególnie z zagranicy, nowoczesnym produktem. Nie jest to na pewno łatwe, bo jeśli chodzi o wydatki na badania, ostatni raport Eurostatu pokazuje, że Polska jest na 24. miejscu w Europie pod tym względem. Prędko się to nie zmieni, bo – jak wska-

zywał w Tarnowie poseł Jerzy Meysztowicz – obniżyliśmy udział nakładów na poszukiwanie innowacji w budżecie do 0,97 proc. PKB. Ratunkiem dla naszego kraju, ale nie tylko, bo z podobnych rozwiązań korzystają wszystkie państwa nowej Unii Europejskiej, są pieniądze ze Wspólnoty albo inkubatory przedsiębiorczości, które pozwalają na promocję nowych firm poza granicami Polski.

Wyścig na każdym polu trwa w najlepsze, a rodzime firmy chciałyby wziąć z tego tortu jak najwięcej dla siebie. Na razie trudno nam walczyć z Izraelem, Singapurem czy nawet Estonią albo Litwą, która szczególnie dobrze radzi sobie na rynku fintechów. Musimy jednak tę walkę podjąć, bo perspektywy są wykraczające poza znane nam w tej chwili horyzonty. Podczas Forum Innowacji wiele mówiło się o przyszłości – tej bliższej i dalszej. Pojawiały się głosy, że już wkrótce będziemy musieli się rozstać z tradycyjnym myśleniem dotyczącym produkcji wielu towarów czy nawet opieki zdrowotnej. Lekarzy miałyby zastąpić roboty, których diagnozy oparte byłyby na skanowaniu organizmu pacjenta, a sztuczną krew do domów dostarczałyby drony. Wiele wskazuje na to, że jest to melodia co najmniej kilkadziesiąt kolejnych lat.



Fot. Artur Gawie



Fot. Paweł Topolski

Bez względu na przyszłość w innowacyjną gospodarkę trzeba inwestować, bo tylko w ten sposób można myśleć o rozwoju kraju i wzroście gospodarczym. Konferencje takie jak ta w Tarnowie dają szansę na wymianę poglądów i zaakcentowanie najważniejszych wyzwań. – W prawie 30-letniej historii Forum Ekonomicznego obserwowali-

śmy bardzo różne trendy ekonomiczne. Naszym zadaniem było uchwycić te, które miały się stać ważnymi składnikami polskiego i światowego krajobrazu gospodarczego, i włączyć je do dyskusji na platformie Forum. Obecnie takim trendem jest koncepcja innowacyjności i start-upów. Chcemy je wspierać: nie tylko dajemy im możliwość pokazania się inwestorom, wielkiemu biznesowi i administracji publicznej, lecz także wyróżniamy najlepsze pomysły, w tym dużymi nagrodami finansowymi – mówi Zygmunt Berdychowski, pomysłodawca Forum Innowacji oraz przewodniczący rady programowej Forum Ekonomicznego w Krynicy.

Najlepsi innowatorzy wyjechali z Tarnowa z nagrodami. Spośród ponad 100 start-upów, które prezentowały się podczas Forum, największe uznanie i 80 tys. zł zyskała firma STEC ROBOTICS, która zajmuje się automatyzacją i robotyzacją procesów produkcyjnych. Ciekawą inicjatywą był Hackaton Zaprogramuj Tarnów, podczas którego 10 zespołów zmagало się przez 36 godzin z aplikacją lub grą mobilną, mogącymi pomóc w życiu mieszkańcom Tarnowa. Ostatecznie wygrał program, który będzie informował o wolnych miejscach parkingowych, korzystając z miejskiej sieci monitoringu.

L

jak likwidacja

Dr Hanna Karp, medioznawca



Gdy na Ukrainie aktor i bohater telewizyjnego serialu zakłada partię polityczną i wygrywa wybory prezydenckie, u nas opozycja zapowiada, że na jesieni, po wygranych wyborach, po objęciu władzy, będzie likwidować media publiczne. Czym media publiczne – dobro wspólne i narodowe – mogą ludziom opozycji zagrażać? Poza tym dlaczego likwidować?

„Likwidacja” to ostatnio modne słowo. To wręcz opozycyjny manifest, polityczny program i bojowe zawołanie. Ale kojarzy się fatalnie, zwłaszcza gdy prowadzi na grunt komunistycznych służb i mafii albo do początku lat 90. i czasu ustrojowej transformacji. Na salonach totalnej opozycji słowo „likwidacja” słychać ze wszystkich stron. Dochodzą obietnice, że gdy opozycja powróci do władzy, zlikwiduje cały dorobek Zjednoczonej Prawicy, a jej przedstawicieli wsadzi za kratki. Zlikwiduje CBA, IPN i cały „pisowski” porządek. Sprawi, by, jak wołała Agnieszka Holland: „Było tak, jak było”. By wróciła „zielona wyspa” z czasów Donalda Tuska.

Już George Orwell pisał, że żeby rządzić, trzeba: „Kłamać z pełną premedytacją, a jednocześnie głęboko wierzyć we własne słowa”. Platforma Obywatelska już nieraz dowiodła, że tę zasadę zna dobrze. Ponadto opanowała praktykę likwidacji. Trudno nie wierzyć jej zapowiedziom. Jeśli dodamy nadzwyczajne zdolności jej szefa, który czego nie tknie, to obraca w ruinę, może nas czekać armagedon. Gdy Polskę porzucił, w kraju powiał ożywczy zefir koniunktury gospodarczej. Tak przynajmniej zaprzyjaźnione z PO redakcje ekonomiczne tłumaczą sukcesy finansowe rządu Zjednoczonej Prawicy. Zrobiło się lżej w kieszeniach mafii, ale wcześniej opróżniono nasze kieszenie. Platforma Obywatelska niemal na odchodne

zlikwidowała 150 mld oszczędności zgromadzonych w OFE, aby spłacić część zadłużenia ZUS. Uznano wtedy, że pieniądze wpłacane na konta OFE nie należą do obywateli.

To przykre, że strajkujący nauczyciele – i nie tylko oni – mają pamięć złotej rybki. Zapomnieli, jak III RP brała ich głodem przez dekady i że „testozę”, groźną chorobę, wprowadziło do szkół nie PiS, ale zrobił to rząd PO. Wdrażane programy rugowały zdolność i kreatywność myślenia uczniów, stawiając na testy i gotowe odpowiedzi. Ówczesna minister edukacji narodowej Krystyna Szumilas nie potrafiła dopasować odpowiedzi do klucza testu szóstoklasisty i uzyskała jedynie... połowę punktów. Donald Tusk w maju 2008 r. obiecywał, że każdy polski uczeń otrzyma osobistego laptopa. Obiecanki cacanki... Sprzęt, owszem, otrzymali, ale... członkowie rządu. Koszt zakupu 40 nowych urzędzeń na czas posiedzeń Rady Ministrów wyniósł ok. 180 tys. zł.

Likwidacyjne dokonania opozycji już są imponujące. Na początek likwidacja Stoczni Gdańskiej, której tereny ostatecznie zostały wrogo przejęte i wielokrotnie odsprzedane. Po wtóre, likwidacja transparentności działań rządu. Przysłowiowe państwo teoretyczne służyło przede wszystkim korupcji. Kto dziś pamięta, że w rankingu World Economic Forum z 2014 r., mierzącym przejrzystość i transparentność działań i decyzji rządów poszczególnych państw, Polska zajęła dramatyczne „honorowe” 110. miejsce? Wyżej w rankingu stały – w co dziś trudno uwierzyć – takie kraje jak Gabon, Uganda, Mongolia, Albania, Ukraina czy Rosja (sic!).

Premier Donald Tusk de facto zlikwidował departament ochrony interesów ekonomicznych państwa, podpisując zmiany w statucie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Prokurator Bogdan Świączkowski, w latach 2006–2007 szef ABW, pytał: „Dlaczego premier to zrobił?”. Właśnie. Dlaczego?

Albo przywrócenie starych komunistycznych kadr w MSZ, szkolonych jeszcze w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (słynne MGIMO). Czy to była pomyłka? Część z nich nigdy nie zerwała swoich (choćby mentalnych) kontaktów z KGB. Czy może dziwić, że zwieńczeniem patologii tej sytuacji w służbach i symbolem rozkładu państwa była w 2010 r. katastrofa smoleńska?

W okresie rządów PO-PSL Trójmiasto i Wybrzeże zmieniło się w małą Sycylię, kwitnącą szemranymi biznesami i aferami. W tym aferą sopocką, Amber Gold, a także obejmującymi cały kraj aferą paliwową czy złodziejskimi karuzelami VAT-owskimi. Nie przypadkiem rekordy popularności w 2013 r. bił film „Układ zamknięty”. Thriller inspirowany prawdziwymi wydarzeniami, w reżyserii Ryszarda Bugajskiego. Opowiadał o zmowie skorumpowanego prokuratora i naczelnika urzędu skarbowego. Ludzi, którzy przenieśli zwyczaję wprost z PRL na nowy grunt, budując kraj wszechwładnych urzędników – rodzaj mafii w majestacie prawa.

Czasem jednak likwidacja oznaczała zwiększenie długu. Tak było, gdy Donald Tusk w pierwszym rządowym exposé w 2007 r. obiecał likwidację abonamentu radiowo-telewizyjnego. Zachęcał do niepłacenia tego – jak nazwał – haraczu. W efekcie dziś dla wielu pozostały skumulowane długi i wezwania do zapłaty pod groźbą komorniczych egzekucji.

W 2010 r. Andrzej Wajda podczas prezentacji komitetu honorowego kandydata na prezydenta Bronisława Komorowskiego wołał dramatycznie: „To jest wojna domowa, to jest walka o wszystko! [...] Możemy mieć przyjaciół w TVN, wspiera nas też druga prywatna telewizja”. I tak się stało. Raz wydana wojna wciąż trwa, przede wszystkim w mediach. Ale przyjaciół na wojnie, rzecz jasna, trzeba wspierać.

I tak w czasie rządów PO-PSL stacja TVN otrzymała z puli MSZ 600 tys. euro na realizowany w 2013 r. program „Tu Europa”. „39 tygodni programu i 39 podróży. Jeździliśmy, jakbyśmy mieli motorek” – mówił Jacek Pałasiński, podsumowując rok audycji „Tu Europa”. Cykl kończył się niemal równo z wyjazdem Donalda Tuska na urząd w Unii Europejskiej. Dziennikarz wspominał, że najbardziej interesującym gościem spośród tych, z którymi przeprowadzał rozmowy podczas podróży, był Belg Herman Van Rompuy, przewodniczący Rady Europejskiej. „Człowiek mądry, wysokiej kultury, gigant kompromisu. Wysoko postawił przed Donaldem Tuskiem poprzeczkę” – objaśniał Pałasiński.

Z kolei Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zasiłowało audycję TVN „Xiegarnia”. Na ten program w 2013 r. z kieszeni podatników przeznaczono 240 tys. zł, a w 2014 r. 300 tys. zł. W audycji występowali m.in. Agata Passent, Filip Łobodziński, Michał Komar czy Michał Rusinek, sekretarz osobisty Wisławy Szymborskiej. Ponadto TVN w formie kosztów publikacji reklam oraz emisji materiałów promocyjnych otrzymała wpłatę na ponad 3 mln zł z dolnośląskiego urzędu marszałkowskiego.

Gdy chodziło o politykę, decyzje kadrowe były bezwzględne. Potrafiono się pożegnać z supergwiazdą, kochaną

przez widzów i przynoszącą duże zyski. I tak satyryk Szymon Majewski został po latach pracy usunięty ze stacji. Decydującym powodem nie był jego występ w reklamie, ale to, że chciał w swoim programie śmiać się też z PO, a nie wyłącznie z PiS.

Platforma się odgrażała, że odpolityczni media. Rzeczywiście, gdy tworzone skład KRRiT w 2010 r., głosami koalicji PO-PSL w radzie zasiadło dwóch członków z ramienia PO, jeden z ramienia byłej PZPR, jeden członek Stowarzyszenia Ordynacka i jeden polityk PSL. Zabrakło choćby symbolicznego miejsca dla przedstawiciela największej partii opozycyjnej, PiS.

Z kolei jesienią 2013 r. w czasie rządów PO-PSL niemiecki koncern medialny Verlagsgruppe Passau, działający obecnie w Polsce jako Polska Press, stał się właścicielem 90 proc. gazet i portali regionalnych. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów wydał zgodę na transakcję, w której efekcie niemal całą prasę regionalną kraju opanowała jedna niemiecka firma. To nie mogło się zdarzyć nawet w bantustanie. Bo nawet tam w tak skrajnej sytuacji dbano by jeszcze o pozory.

Dziś Platformie Obywatelskiej media publiczne nie są potrzebne. Wcześniej też nie były. I chętnie by je zlikwidowano. Jak widać, puszczają już wszelkie hamulce i mówi się o tym bez żenady

Dziś Platformie Obywatelskiej media publiczne nie są potrzebne. Wcześniej też nie były. I chętnie by je zlikwidowała. Jak widać, puszczają jej wszelkie hamulce i mówi o tym bez żenady. Dlaczego? O media totalna opozycja może się nie obawiać. Szukając ratunku i przyjaciół w szeregach unijnej biurokracji, ma bardzo życzliwe sobie międzynarodowe tuby propagandowe. A w nich przyjazne stacje i redakcje. Te z zapleczem osobowym i finansowym budowane w Polsce od początku, od pierwszego i drugiego procesu koncesyjnego w latach 90., tworzone były na kształt rzeczywistych imperiów. Dziś roztaczają parasol ochronny nie tylko nad wybranymi partiami, lecz całą III RP i stanowiącym prawem. Przyciągają także uwagę widzów. 83 proc. ankietowanych w badaniu IBRIS przeprowadzonym 5–6 kwietnia 2019 r. dla „Rzeczpospolitej” nadal za główne źródło informacji o kraju i świecie uznaje telewizję.

Casey Gerald, pewien Afroamerykanin, biznesmen ze slumsów w Dallas, tak opisywał Stany Zjednoczone: „Urządzić kraj od A do Z tak, żeby większość obywateli do niczego nie doszła i niczego nie miała”. Zapewne nie wiedział, że opisuje także pewien kraj nad Wisłą – III RP – który teraz z trudem się zmagają o swoją szczęśliwszą historię.

Fach w ręku w razie czego mam

Zasada w medycynie i polityce jest ta sama: primum non nocere – po pierwsze, nie szkodzić.

Jeśli polityk nie robi czegoś dobrego, to pół biedy, byle nie zaszkodził

– mówi **Władysław Kosiniak-Kamysz**, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego,
w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Do której siedział pan wczoraj w Sejmie?

Władysław Kosiniak-Kamysz: Wyszedłem po 2.00 w nocy, tuż po głosowaniach.

Dodajmy: głosowaniach przegranych. Gdy wychodzi pan w środku nocy z parlamentu, nie pojawia się myśl: może trzeba było jednak zostać w medycynie jako lekarz?

Nie, w pracy lekarza 2.00 w nocy to czasami szczyt dyżuru. Jako lekarz byłem przyzwyczajony do nocnego trybu pracy. Natomiast w Sejmie głosowania nocne są zupełnie niepotrzebne, a w szpitalu czekać nie można – pacjent musi być przyjęty.

Wpływ na rzeczywistość większy, poczucie misji wyraźniejsze, a i lekarzy nam dziś w Polsce bardziej potrzeba niż posłów.

Rzeczywiście, przy ratowaniu człowieka efekt jest widoczny bardzo szybko. Jeśli dochodzi do akcji reanimacyjnej, jeżeli uda się wykryć chorobę i zastosować leczenie, to od razu widać poprawę stanu zdrowia. Nie znajduję piękniejszego zawodu na świecie.

Tęskni pan za tym?

Tęsknota jest, ale u mnie te dwie pasje: lekarska i polityczna przeplatały się od zawsze.

Takie geny.

Tak. Wychowałem się w atmosferze łączącej w sobie medycynę i politykę. Dziś na pierwszym planie jest polityka, ale mile wspominam czas ostatnich Światowych Dni Młodzieży w Polsce, kiedy na moment wróciłem do zawodu jako wolontariusz wspierający tych, którzy na co dzień pracują jako lekarze.

Natura lekarza przydaje się w polityce?

Zasada jest ta sama: primum non nocere – po pierwsze, nie szkodzić. Jeśli polityk nie robi czegoś dobrego, to pół biedy, byle nie zaszkodził [śmiech].

O co chodzi z genem kodującym cyklony...

...cyklohydrolazę GTP I z funkcją śródbłonka naczyniowego u chorych z cukrzycą typu 2.

Trudno nawet przeczytać. O co chodzi?

To był mój doktorat z nauk medycznych, profil badania genetyczne. Najważniejsze w tym to nawet nie sama cukrzyca, ale badania funkcji śródbłonka...

Nic mi to nie mówi.

To wewnętrzna wyściółka naczyń krwionośnych. Tymi badaniami zajmuje się prof. Tomasz Guzik, wybitny specjalista i naukowiec. Pytał pan, czy tęsknię: jeśli tak, to



właśnie za badaniami naukowymi, za pacjentem, za pracą ze studentami. Nie zamienilibym się jednak dziś miejscami. Nie mam poczucia straconych lat.

Specjalizację by pan zrobił, fach byłby w ręku...

Fach w ręku jest. Umiejętności związane z nauką, zawodem nauczyciela czy lekarza – do wszystkiego zawsze można wrócić.

Z tą całą genetyką nie skończy się kiedyś jak w filmie „Gattaca”, w którym rodzice wybierali sobie kolor oczu potomka przed jego narodzeniem, majstrowali przy genach, by dziecko miało talent sportowy, artystyczny?

Nigdy nie patrzyłem na genetykę przez pryzmat zastępowania Pana Boga. Pomagania, ratowania, odkrywania – owszem, ale nie chciałbym, byśmy żyli w świecie, w którym wybieramy sobie kolor oczu dziecka. Z żoną właśnie spodziewamy się dziecka i ucieszę się z każdego koloru oczu, jaki będzie miało.

Wraz z rozwojem nauki pokusa pewnie rośnie.

Byłoby dobrze móc zabezpieczyć się przed chorobami, ale wykorzystywać genetykę do realizowania fantazji czy aspiracji rodziców. Sytuacja, w której rodzice wybierają sobie przed urodzeniem blondwłosego chłopca, o sportowej naturze i odpowiednim kształcie uszu? Nie chciałbym, byśmy byli identyczni, by powstawały kolejne klony. Nie o to chodzi w genetyce. Chodzi o to, by jak najwcześniej pomóc, uniknąć mutacji, schorzeń.

Jeśli przyjdzie panu wrócić do medycyny, to w jakiej roli?

Wypadałoby dokończyć specjalizację z chorób wewnętrznych, z interny. Pracowałem, można powiedzieć, na geriatric – wokół mnie byli 80-latkowie, 90-latkowie. Ta sfera łączyła się z tym, co później robiłem w ministerstwie. W Polsce nie ma wielu geriatrów i ta dziedzina medycyny będzie odgrywać coraz większą rolę.

To nie jest przesadnie atrakcyjna specjalizacja, przy najmniej jeśli spojrzeć na studentów.

Pewnie ma pan rację, kardiologia inwazyjna, laryngologia czy dermatologia są bardziej popularne, ale geriatric jest zarówno trudna, jak i ważna. Tym bardziej że geriatra nie jest zazwyczaj lekarzem, do którego zagląda się w prywatnym gabinecie. Zdrowie to cały dobrostan fizyczny i psychiczny, to odpowiednio przepisane leki, opieka społeczna, zadbanie o codzienne potrzeby. Nie wystarczy utrzymać stan braku chorób.

Koło życia się zamyka, ale tak jak gdy jesteśmy mali, jesteśmy niesamodzielnymi, tak później, gdy stajemy się starsi, jest podobnie. Oczywiście w różnym stopniu, ale godzenie życia zawodowego z rodzinnym – rozumiane jako opieka nad małym dzieckiem – za chwilę będzie związane z urlopem do opieki nad rodzicami i dziadkami. 10 mln Polaków to emeryci i renciści, populacja osób po osiemdziesiątce, dziewięćdziesiątce rośnie. To wielkie wyzwania.



Fot. Andrzej Wiktor

Mówi pan o łączeniu życia zawodowego i rodzinnego. Pan zapłacił za próbę łączenia polityki i życia prywatnego solidną cenę.

Staram się nie mówić publicznie o życiu prywatnym. Pewien etap został zamknięty, nie chcę dziś nikomu robić przykrości, rozgrzebuując stare rany.

Zapytam bardziej ogólnie: polityk musi zapłacić cenę życia prywatnego?

Tak. Polityka wymaga dużych nakładów czasu, wielkich poświęceń. To nie jest praca od poniedziałku do piątku, ale często

także w weekendy, co mocno rzutuje na życie rodzinne. Po prawie ośmiu latach w Warszawie i w dużej polityce patrzę na to inaczej. Wszystko jest ważne, ale rodzina jest najważniejsza. Dzisiaj mogę powiedzieć to ze szczególną mocą...

Za kilka tygodni może się okazać, że będzie miał pan więcej czasu. Powie pan twardo: dwa, trzy, cztery mandaty dla PSL w najbliższych wyborach albo rezygnacja z funkcji prezesa?

Zostałem wybrany w roku 2016 na czteroletnią kadencję. Biorę na siebie odpowiedzialność za wyniki, ale mam też poczucie gigantycznego zaufania w PSL – po tych ponad trzech latach. Wtedy przejmowałem partię w najtrudniejszym momencie po roku 1989. Nie było lasu rąk, by zastąpić Janusza Piechocińskiego. To był najmniejszy klub, odchodzenie wielu osób, próba rozbicia PSL.

Momentem finalnym, gdy nastąpi zdanie raportu z tego, jak wykonywałem swoje zadanie, będzie czas po jesiennych wyborach parlamentarnych.

Nawet gdyby było zero mandatów?

Wynegocjowaliśmy dobre miejsca na listach. Mamy trzy „jedyńki”, trzy „dwójki”, trzy „trójki”, dwie „dziesiątki”.

A gdy pan słyszy plotki, że Waldemar Pawlak chce zostać trzeci raz premierem? Że po klęsce majowej będzie reset w PSL?

Nie wierzę, że życzyłby słabego wyniku Polskiemu Stronnictwu Ludowemu.

Może to kwestia nie życzeń, ale reakcji na to, co będzie się działo?

Reakcja może być po akcji, a akcja dopiero przed nami – jesienią.

Widać jednak wyraźnie, że Polska jest mocno podzielona na dwa bloki, dla takich partii jak PSL jest coraz mniej miejsca.

Wierzę, że i to się zmieni. Myślę, że większość rodaków czuje, iż to spór wyniszczający. Ale mieliśmy już w naszej historii parę momentów, w których wydawało się, że obniżenie temperatury sporu jest niemożliwe, a dochodziło do zwrotu przez rufę.

Zwrotem przez rufę będzie koalicja PiS z PSL?

Trudno mi sobie to wyobrazić.

Gdy polityk mówi, że trudno sobie coś wyobrazić, to znaczy, że jest to możliwe.

Na razie nie ma takiej możliwości.

Na razie. A więc przyklepane.

Nie, nie [śmiech]. Nie ma takiej możliwości.

Nigdy?

Powiem twardo: nie jestem w sobie w stanie tego wyobrazić. Nie ma też dziś takiej potrzeby. PiS ma swój plan, słyszę



Fot. Andrzej Wiktor

o pomysły na rządzenie z Kukiz'15. Ale mam 38 lat, trochę jeszcze życia przede mną, zobaczymy, co powiedzą wyborcy.

Zostawmy politykę. O co chodzi z corocznymi imprezami rodzinnymi w Bieniaszowicach?

Mój pradziadek ufundował tam figurę Serca Pana Jezusa – 121 lat temu, w 1898 r. Ta figura jest na naszej ojcowiznie: pochodzi stamtąd mój ojciec, cała moja rodzina. To ziemia małopolska, Powiśle Dąbrowskie, miejsce ujścia Dunajca do Wisły, gmina Gręboszów. W ostatnią niedzielę czerwca zjeżdżamy się tam na spotkanie rodzinne, przyjeżdżają osoby z całego świata.

Skąd taka tradycja?

Wymyślił to mój ojciec na 100-lecie postawienia tej figury. Procesję do niej zaproponował nieżyjący już proboszcz parafii. A jak procesja, to i spotkanie rodzinne, piknik, przyjaciele, znajomi...

Pyta pan czasem ojca o jego ocenę polityki?

Ojciec jest dla mnie autorytetem. Wprowadził mnie zresztą, chcąc nie chcąc, w świat polityki. To był rok 1989, miałem wtedy osiem lat, a ojciec został ministrem zdrowia. To wtedy było większe wydarzenie i znaczenie niż dziś. Pamiętam ekscytację, gdy przyjechaliśmy z mamą do Warszawy.

Wtedy mały Władek złapał bakcyła?

Chyba tak. Do dziś pamiętam spotkania jako dzieciak z Jackiem Kuroniem, Aleksandrem Hallem czy Tadeuszem Mazowieckim. Nie przypuszczałem, że będę przychodził po kilkunastu latach na spotkania z nimi jako minister.

Wracając do Bieniaszowic – duża to impreza?

Czasem wręcz frekwencja sięga pod tysiąc osób. Ale ci cho-sza, bo zaraz zaklasyfikują nas jako imprezę masową [śmiech]. Ten piknik jest organizowany w ogrodzie, oddolnie: ktoś piecze chleb, kuzyn zabija świnie i robi kielbasę, ktoś inny salatkę.

Czujemy się zaproszeni. Samogon będzie?

Dobre, rzemieślnicze piwo zawsze się znajdzie.

Pełna wersja wywiadu na portalu wPolityce.pl

K

ULTIMITY

Reżyser filmu
„Podły, okrutny, zły”
wiedział, co robi,
gdy mimo wątpliwości
producentów do roli
seryjnego mordercy
i gwałciciela Teda
Bundy’ego zaangażował
Zaca Efrona,
„sympatycznego chłopca
od Disneya”.
Bożyszcze nastolatek
pokazało pazur

Wabik mordercy

Fot. Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Ted Bundy to jeden z najkrwawszych seryjnych morderców w historii USA. Przyznał się, że w latach 1974–1978 zamordował 30 kobiet (choć liczba ta może być znacznie większa). Ale kronika jego zbrodni nie byłaby tak porażająca, gdyby otaczający go ludzie nie dali się manipulować, uwieść, gdyby nie zaufali sympatycznej twarzy, dostrzegli cyniczną grę i przewrotność.

Gdyby wreszcie nie byli tak bezwolni wobec przekazu mediów. A te pozwoliły się wypromować bestii schowanej za wizerunkiem czarującego, inteligentnego, wykształconego mężczyzny. Wciągnęły wielomilionową poddającą się manipulacji widownię w rozpisany na kilka lat show. Telewizje opanowała gorączka.

Proces Bundy'ego pierwszy był pokazywany w całej Ameryce. Egzekucję, wykonaną dziesięć lat później, w 1989 r., relacjonowano na żywo – dzięki wykorzystaniu wozów satelitarnych oglądały ją miliony ludzi.

NA SCENIE ZBRODNI

Dzięki mediom Bundy stał się celebrytą. Młody, przystojny, charyzmatyczny. Świetnie prezentujący się na zdjęciach i podczas nagrań. Dostał narzędzie manipulacji. Mógł wpływać już nie tylko na najbliższe otoczenie, lecz i masowego odbiorcę, bardzo długo przekonanego, że ma do czynienia z niesłusznie oskarżanym człowiekiem.

Bundy doskonale potrafił wykorzystać amerykańskie media do zdobycia potężnej grupy fanatycznych obrońców. Jak to robił? Najprościej. Przecież wielokrotny, okrutny zbrodniarz nie może wyglądać jak porządny, uczciwy obywatel. Nie może być atrakcyjnym, sympatycznym człowiekiem. Zwyródnialec kojarzy się z kimś ze społecznych nizin, na dodatek o nieciekawej aparycji.

Kochanki Bundy'ego, a także wielu jego znajomych nie mogło uwierzyć, że byłby on zdolny do czynów, jakie mu zarzucano. Nawet podczas procesu czarował wielu swoim atrakcyjnym wyglądem i urokiem. To pozwalało mu przez wiele lat wymykać się karze.

Reżyser Joe Berlinger podkreśla, jak wiele było okazji, by Bundy'ego złapać. Jednak mimo ewidentnych wskazówek ludzie nie dostrzegli jego winy. Nawet portret pamięciowy nie powodował zapalenia się czerwonej lampki. Przyjaciele Bundy'ego żartowali: „Tak, wygląda jak osoba na portrecie, ma też volkswagena i na imię Ted... No ale przecież to niemożliwe”.

CYNICZNY KAMELEON

Film „Extremely Wicked, Shockingly Evil and Vile” (co jest dosłownym cytatem z orzeczenia sądu) – który jako „Podły, okrutny, zły” trafia właśnie do polskich kin (premiera 10 maja) – nie epatuje zbrodnią, chociaż jest nią przepełniony. Twórcy obrazu skupili się na fenomenie reakcji oraz sile sprawczej mediów. Do głównej roli zaangażowali też człowieka świetnie odnajdującego się w mediach i uzyskali intrygujący efekt. Pokazali, jak blisko siebie – w tym właśnie obszarze – potrafią przebiegać: porażająca historia bezdusznego, cynicznego mordercy i droga, którą od kilkunastu lat – stale na celowniku ciekawskich dziennikarzy i w świetle reflektorów – wędruje niebieskookie bożyszcze nastolatek. Wykreowane swego czasu przez Disneyowską produkcję „High School Musical”.

O Bundym mówiono, że jest jak kameleon. Zmiana fryzury czy zarostu powodowały, że człowieka z listów gończych nie widzieli w nim nawet najbliżsi znajomi i sąsiedzi. Efron, dzięki drobnym zabiegom charakterystycznym, okazał się fizycznie uderzająco podobny do pierwowzoru.

O wiele większe wrażenie robi jednak sposób, w jaki aktor, kojarzony do tej pory z kinem rozrywkowym i powierzchownego blichtru, potrafił ukazać rozchwianą osobowość Bundy'ego. Jak wpasował się w rolę totalnie odległą od przydzielanych mu do tej pory. Jak zbudował postać wewnętrznie tak mocno



„Podły, okrutny, zły”

pękniętą. Z jednej strony człowieka kulturalnego, wykształconego i milego, a z drugiej bezlitosnego mordercy.

Mimo przekroczonej trzydziestki (rocznik 1987) Zac Efron mógłby nadal grać młodych ludzi w masowych produkcjach kina rozrywki. W „Podłym, okrutnym, złym” dostał szansę, by wykorzystując własne atuty (wciąż uwielbianego, charyzmatycznego idola), wciągnąć odbiorcę w grę, na której końcu okazuje się, że to widz został wyprowadzony w pole, że cały czas był manipulowany i oszukiwany, a wizerunek stworzony przez bohatera to efekt inteligentnej i cynicznej kreacji.

CZAS DOROSNAĆ

Przygodę z aktorstwem Efron zaczął jako 11-latek. Od teatru. Utalentowanego wokalnie chłopca angażowano do kolejnych muzycznych spektakli. Z czasem zauważyli go też twórcy telewizyjni. Przełom nastąpił w 2006 r., gdy Disney Channel zrealizował „High



School Musical”. Zac (wtedy już 18-latek) dostał rolę Troya Boltona, kapitana szkolnej drużyny koszykówki. Imponujący sukces produkcji (także nagroda Emmy) sprawiły, że powstała kontynuacja. „High School Musical 2” przyciągnął przed ekrany telewizorów 17,5 mln widzów. Rekord otwarcia pobili „High School Musical 3. Ostatnia klasa”.

Niebieskooki, chłopięcy z wyglądu ulubieniec widowni znalazł się w centrum zainteresowania mediów i producentów. Trafiał do kolejnych masowych produkcji. W ostatnich latach można go było oglądać w nominowanym do Złotego Globu musicalu „Król rozrywki”, opartej na telewizyjnym se-

rialu kinowej wersji „Baywatch. Słoneczny patrol” (za którą nominowano go do Złotej Maliny), czy komedii „Co ty wiesz o swoim dziadku?”. Może mało wyszukanej, ale z Robertem De Niro w obsadzie.

„Podły, okrutny, zły” dał aktorowi szansę na zupełnie nowe wyzwanie. Czarując i zwodząc widownię, miał okazję pokazać, że i dramatycznego talentu mu nie brakuje.

Efron podkreśla w wywiadach, że celem filmu absolutnie nie było gloryfikowanie bohatera, ale próba pokazania mechanizmów, które powodują, że „świat daje się uwieść facetowi, który jest do cna zły”.

REKLAMA



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

W ostatnich kilku latach w Polsce towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych (TUW-y) cieszą się coraz większym zainteresowaniem. Po ich oferty chętniej sięgają samorządy terytorialne, spółdzielnie czy zrzeszania, np. rolników. – TUW-y to dynamicznie rozwijający się sektor ubezpieczeń nie tylko w Polsce. Potwierdza to chociażby raport międzynarodowej organizacji ICMIF, który pokazuje rynek ubezpieczeń wzajemnych w okresie ostatnich 10 lat – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych.

Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych są zrzeszeniami osób, wspólnotami członków, i to właśnie ich dobro jest najważniejsze. Główny nacisk kładą na udzielanie skutecznej ochrony ubezpieczeniowej swoim członkom będącym jednocześnie właścicielami towarzystw, podczas gdy ubezpieczyciele komercyjni przede wszystkim dążą do realizacji polityki swoich akcjonariuszy, czyli osiągnięcia zysku.

Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych coraz bardziej popularne

– Właśnie w różnicach tkwiących u podstawach działalności TUW-ów i ubezpieczycieli komercyjnych należy upatrywać sukcesu ubezpieczeń wzajemnych – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes FWUW. – Można to zobaczyć na przykładzie ostatniego globalnego kryzysu finansowego. Wtedy bowiem, gdy konsumenci silnie odczuli spadek stóp procentowych i wzrost kosztów życia, mocno ograniczyli swoje zaufanie do komercyjnych instytucji ubezpieczeniowych. Jak wynika z badań ICMIF, w tym okresie nastąpił wzrost zaufania do podmiotów o charakterze spółdzielczym, z którymi kojarzone są takie wartości jak wiarygodność, bezpieczeństwo i wysoka jakość usług – wyjaśnia Jarosław Bierecki.

Zwiększający się udział ubezpieczeń wzajemnych w rynku ubezpieczeniowym to trend dotyczący nie tylko Polski, lecz całego świata. Dane zawarte w raporcie ICMIF obrazujące udział ubezpieczeń wzajemnych i spółdzielczych na światowym rynku ubezpieczeniowym w okresie 2007–2017 wskazują, że globalnie w tym okresie dochód ze składek w sektorze ubezpieczeń wzajemnych i spółdzielczych wzrósł łącznie o 30 proc. W tym czasie cała branża ubezpieczeniowa osiągnęła wzrost 17-procentowy. W rezultacie udział ubezpieczycieli

wzajemnych i spółdzielczych w globalnym rynku ubezpieczeniowym wzrósł z 24 proc. w 2007 r. do 26,7 proc. w 2017 r.

– Ten raport pokazuje więc twarde dane, dotyczące także preferencji klientów rynku ubezpieczeniowego. Jak inaczej wyjaśnić to, że aż 922 mln osób korzystało z oferty ubezpieczycieli wzajemnych i spółdzielczych w 2017 r., czyli więcej o 13 proc. w stosunku do roku 2012 r.? – zauważa Jarosław Bierecki.

ICMIF (Międzynarodowa Federacja Wzajemnych i Spółdzielczych Towarzystw Ubezpieczeniowych) jest organizacją skupiającą firmy ubezpieczeniowe z ponad 70 krajów na całym świecie. Raport „Global Mutual Market Share 10” prezentuje udział ubezpieczeń wzajemnych w globalnym rynku ubezpieczeniowym w latach 2007–2017.



Jarosław Bierecki,
prezes FWUW

Czy Aszantka jest dobra?

Kiedy pewien aktor zapytał, co sądzę o „Aszantce”, najnowszej premierze Teatru Telewizji, odpowiedziałem, że lubię teatr, w którym nie musi być nic na siłę nowoczesnego poza grą aktorów. Aktorów opowiadających mi starą historię w taki sposób, iż jest opowieścią o nas, mimo że nie o nas.

Nie wdaję się już w potępiénie spory, ile nowoczesności w teatrze, choć ostatnio miałem okazję oglądać posłanie Zbigniewa Herberta w hallu Akademii Teatralnej, do kolejnych pokoleń wychowanków tejże: „Nie bądźcie nowoczesni, bądźcie rzetelni”. Wiem, że powinno się grać klasykę nie z powodów muzealnych. Po prostu, bo jest na ogół o czymś. Ważnym i dla nas. Teatr Telewizji to firma, która robi to dziś może najsprawniej.

Zacznę od sztuki. Włodzimierz Perzyński napisał ją na początku XX w. Jest w gruncie rzeczy drastyczna, opowiada o upadku ludzi, choć bez grama naturalizmu. A zarazem... Kiedy cztery lata temu Teatr Telewizji przypomniał „Lekomyślną siostrę” tegoż Perzyńskiego, w reżyserii Agnieszki Glińskiej, przy całym docenieniu pomysłu intrygi i wspaniałej Ewy Bułhak w kluczowej roli doznałem wrażenia pewnej plakatowości tamtej opowieści. No tak, mamy galerię figur płaskich i odpychających, ale co z tego? To skądinąd paradoks, że tamta sztuka czarno-białymi barwami tak bardzo przypomina obecną dramaturgię „zaangażowaną”.

Z „Aszantką” jest inaczej. Niby mamy problem społeczny. Mężczyzna deprawuje dziewczynę – na swoje potrzeby, bo chce mieć urodziwą nałożnicę. Zaglądamy za fasadę epoki tradycyjnej i nabożnej. A przecież rozdanie ról i morał są tak niejednoznaczne... Co tu jest krzywdą, kto jest naprawdę silniejszy? Czego dowodzi tragiczny koniec?

Jarosław Tumidajski, 39-letni debiutant w Teatrze Telewizji, choć nie w teatrze, zaserwował nam klasyczną historię w czterech ścianach (choć w kilku miejscach), gdzie nic nie jest na siłę uwspół-

cześniane (trochę podobna była „Żabusia” Zapolskiej w wersji Anny Wieczur-Bluszcz). Mamy stylizowane dekoracje i stroje z epoki (Katarzyny Sobańskiej, Marcela Sławińskiego, Krzysztofa Łoszewskiego), mamy dyskretną, podkreślającą absurd sytuacji, muzykę (Stefan Wesolowski).

Przy namiętnych debatach, czy Teatr Telewizji ma być bardziej teatrem, czy kinem, on uniknął szukania efektywnych rozwiązań, na rzecz klarowności opowiadania. Tyle że aktorzy grają to początkowo jakby z lekkim dystansem do własnych postaci, bardziej demonstrując, niż się wczuwając, by pod koniec ulec trochę magii psychodramy. Tak, bo te komedie są zabawne tylko chwilami.

Ja bym chciał, żeby historie z dawniejszych czasów zawsze opowiadali mi Marcin Przybylski, Arkadiusz Janiczek, Katarzyna Dąbrowska, Artur Żmijewski. Przybylski, aktor o wielkiej inteligencji emocjonalnej i szerokim emploi, potrafi zwłaszcza w widowiskach muzycznych dziko szaleć. Tu zagrał upadającego dziedzica Łońskiego z podziwu godnym wy-ciszeniem. Zapamiętamy to jego wieczne lekkie zdziwienie,



z jakim ten bląh na początku bohater przyjmuje dary i ciosy losu.

Kilka słów wypada poświęcić Paulinie Gałazce w roli tytułowej. Serial „Drogi wolności” uczynił ją znaną, ale wady scenariusza nie pozwoliły rozbłysnąć do końca. Ileż tu ma ta dziewczyna twarzy i masek! Ten przeraźliwy, jakby odwrócony „Pigmalion” dał jej wielkie pole do popisu,

ale to ona umiała skorzystać z okazji. Czy Aszantka jest dobra, czy zła? Proszę spróbować odpowiedzieć, ale nie będzie łatwo.

Piotr Zaremba

Świat słucha muzyki Henryka M. Góreckiego

Najnowsze nagranie III Symfonii rozchwytyują zarówno koneserzy klasyki, jak i fani rocka

III Symfonia – „Symfonia pieśni żałosnych” Góreckiego magnetyzuje kolejne pokolenia. Wydana w 1992 r. płyta z tym utworem w wykonaniu Amerykanki Dawn Upshaw i London Sinfonietta rozeszła się w ponad milionie egzemplarzy. A teraz najsłynniejsze dzieło polskiego kompozytora trafia znów na pierwsze miejsca notowań nagrań klasyki w Anglii i USA. Tym razem w interpretacji Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod batutą Krzysztofa Pendereckiego z Beth Gibbons – solistką grupy rockowej Portishead jako wokalistką.

W 1976 r., gdy powstawała III Symfonia, Henryk Mikołaj Górecki (1933–2010) był już znanym kompozytorem. Tak jak inni przedstawiciele jego pokolenia – Wojciech Kilar czy Krzysztof Penderecki – miał za sobą doświadczenia eksperymentalne, ale szukał własnego, oryginalnego wyrazu. Ujawnił go w emanujących spokojem kontemplacyjnych dziełach, stawiających na mistyczny nastrój, melodyjność, wartość słowa, przy wyraźnej redukcji efektów dźwiękowych. Ten zwrot nie podobał się awangardowo zorientowanej części krytyki. Już po zaprezentowanym w 1972 r. na festiwalu Warszawska Jesień utworze „Ad Matrem” na kompozytora spadły gromy za zdradę ideałów awangardy. Także „Symfonia pieśni żałosnych”, mająca premierę wiosną 1977 r. na festiwalu we francuskim Royan, a jesienią przedstawiona w Warszawie, zebrała sporo krytycznych ocen. Tylko nieliczni dostrzegli walory powolnej, modlitewnej narracji o matce cierpiącej po śmierci dziecka.

Mimo krytyk symfonia była wielokrotnie prezentowana i wydawana – od pierwszej płyty Polskich Nagrań z 1978 r. do kolejnych winyli, potem kompaktów, w rejestracjach krajowych i zagranicznych. Ożywienie zainteresowania utworem przyniósł przełom lat 80. i 90. XX w. Niemal jednocześnie wyszło kilka płyt. Nagranie III Symfonii z 1992 r. w wykonaniu Lon-



ADAM CIEŚIELSKI

don Sinfonietta pod Davidem Zinmanem, z sopranistką Dawn Upshaw okazało się rewelacją artystyczną. I komercyjnym wyznym amerykańskiej wytwórni Elektra/Nonesuch. Zainwestowała ona w promocję nie tylko w kręgach melomanów, lecz także w środowiskach niebywających w filharmoniach. Album rozszedł się w rekordowym dla muzyki współczesnej ponadmiliono-

wym nakładzie, przez wiele miesięcy utrzymywał się na czele rankingów sprzedaży klasyki w Anglii i USA, trafił tam nawet na regularne listy przebojów.

Szanse na podobny sukces ma świeże wydanie III Symfonii przez brytyjską wytwórnię Domino Records. W formie CD, DVD, na winylu i w internetowym streamingu trafiło ono na pierwsze miejsca notowań klasyki w Wielkiej Brytanii i USA. Jest to zapis części koncertu z 2014 r. w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, zrealizowanego przez Narodowy Instytut Audiowizualny. Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia poprowadził Krzysztof Penderecki, a solistką była Beth Gibbons z triphopowej grupy Portishead.

Dla brytyjskiej wokalistki nie lada wyzwaniem okazało się opanowanie polskiego tekstu i linii melodycznej. Do tego w partii napisanej na sopran nie mogła użyć naturalnego dla niej kontraltu. Jej głos wymagał nagłośnienia, co w świecie opery jest ewenementem. Relacja filmowa przybliży wielkie skupienie i wysiłek, z jakim Beth śpiewa do mikrofonu pod wyrozumiałym i pomocnym okiem dyrygenta. Jej ekspresję, łączącą artystyczną ambicję z techniczną surowością, trudno porównywać z kunsztem klasycznie wyszkolonych sopranistek, wszakże ujęcie to ma swoje walory. Przede wszystkim emocjonalność: wzruszenie, głębokie przeżycie smutku, który przepełnia „Symfonię pieśni żałosnych”. Szczerść tych emocji i odwaga wykonania wydają się najbardziej przemawiać do nowej generacji odbiorców genialnego dzieła.



III Symfonia „Symfonia pieśni żałosnych”
Wyk. Beth Gibbons i Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod dyktando Krzysztofa Pendereckiego
Wyd. Domino Rec./Sonic Rec.



Wojciech Stanisławski

Daisy w dworku

*Największym atutem tych wspomnień jest ukazanie nam
– nazwijmy to w ten sposób – nieoczywistości polskości*

Arystokraci...! Wprawdzie z miejsca, jakie zajmowali w wyobraźni manikiurzystek, dawno zostali wyparci najpierw przez aktorów i sportowców, a dziś – przez patostremerów i szafiarki, ale czytający świat jeszcze przez kilka lat ciekaw będzie „krwi innego koloru”. Zwłaszcza może na wschód od Łaby, gdzie utrata uprzywilejowanej pozycji nie dokonała się mniej lub bardziej ograniczenie, lecz w zasięgu pamięci pokolenia lub dwóch, w huku czołgowych silników. Wspominany przez Kisiela Stanisław Cat-Mackiewicz w prząsnym PRL lat 60. „miał taką pielęgniarę, której rodzina – prości ludzie – przyjeżdżali z Radomskiego gdzieś, a on im opowiadał o Radziwiłłach, o hrabiach, o królach”. I to się za bardzo nie zmieniło – ktoś nie lubi się ślizgać wzrokiem po opisach pospolitych, znanych czasem do znużenia sytuacji rodzinnych w rodzaju „Teść wszedł do jadalni” lub „O tam – powiedział – jest ciocia Bietka”, by następnie opuścić wzrok na przypis i się przekonać, że mamy do czynienia z Pawłem Sapiehą lub Elżbietą Matyldą z Radziwiłłów Potocką?

Właśnie dlatego tak pyszny jest figiel, który nam, czytelnikom, sprawiła najpierw para zakochanych młodych ludzi, potem historia, wreszcie wydawca. Wydane bowiem właśnie wspomnienia księżnej Sapieżyny, choć opisują słodko-gorzki zmierzch ziemiańskiej Rzeczypospolitej, z nieuchronną obasadą chłopów, Rusinów, szoferów, mamek, bon i plebanów, choć śniegi są jak zawsze wysokie, jelenie – majestatyczne, a nad horyzontem słyszeć

szczęk żelaza, różnią się od dziesiątków podobnych pozycji (ot, dość wspomnieć choćby „My i nasze Siedliska” autorstwa teściowej omawianej tu autorki, wydane przed 15 laty w Krakowie). Bo ta Sapieżyna – to nie z Potockich była, nie z Opalińskich: z Petersonów. I to nie szwedzkich, lecz nowojorskich.

Tak, w świecie przed Erasmusem też możliwe było spotkanie dwojga na studiach we Francji, zwińczone, po burzliwym prologu, ślubem i podróżą do rodzinnej siedziby męża pod Rawą Ruską, bez znajomości panującego tam języka, obyczaju ani wyznania. A tam – do przewidzenia: najpierw wyboisty gościniec

(lejtmotyw „polskich wspomnień” co najmniej od XVII w.), potem służba, czekająca do późna w nocy na przyjazd dziedziczki w ulewnym deszczu, przy wielkich ogniskach, wreszcie ciemny dwór o ścianach najeżonych setkami poroży. Lub dla odmiany – soirée na Wawelu i „setki ludzi, składających ku sobie głowy niczym barwnie upierzone ptaki”. „Tam jest mój stryj – mąż lekko trącił mnie łokciem. – Pamiętaj, żeby ucałować pierścionki”. No tak, zawsze ta rodzina, a w tym przypadku arcybiskup Adam Sapieha.

Oczywiście, podobne zderzenia różnych sfer niosą z sobą niemal zawsze niemały potencjał komiczny – czy to w duchu „Gości, gości”, czy lżejszą kreską malowanych „Rzymskich wakacji”. Nie brakuje ich również w chwilach, gdy „amerykańska księżna” szuka wspólnego języka z Iwanem (totum-fackim teścią), z krewną zakonnicą w szeleszczącym kornecie i z obrotną położną. Pod piórem tak giętym jak Virgilia Paterson-Sapieżyny wspomnienia te mają też niemały walor źródłowy: autorka krąży między majątkiem rodu a Śląskiem i Warszawą, gdzie pracuje jej mąż, ukazując nam mało znane lokalne napięcia polsko-niemieckie w połowie lat 30., przenikające się, ale i rozchodzące środowiska inżynierów, wielkiego kapitału i rentierów, dożywających dni w dusznych kamienicach. W nie zawsze szczęśliwym małżeństwie dojrzewa, wrasta w rodzinę i w język.

Największym jednak atutem tych wspomnień jest perspektywa, z jakiej są pisane, ukazująca nam – nazwijmy



Virgilia Sapieha, „Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk”,
tłum. Ewa Horodyska, Ośrodek Karta, 2019

to tak – nieoczywistość polskości. Virgilia – z dobrego lekarskiego domu, z ambicjami literackimi, z całym nowojorsko-hollywoodzkim esprit (długie nogi, krótka fryzura, rakietka tenisowa, ot, lepiej wykształcona kuzynka Daisy z „Wielkiego Gatsby’ego”) – trafia niemal do Soplicowa, gdzie nadal cienie kryją się po kątach (instalacja elektryczna zostanie położona dopiero z jej inicjatywy), tyle że przeniesionego o 400 wiorst na południe, gdzie o rząd dusz wśród chłopów walczą metropolita Szeptycki, KPZU i OUN. Fizycznie tkwi w sercu tego świata, mentalnie – obok niego, całkiem osobna. Czasem patrzy bez zrozumienia – niepojęte są dla niej zarówno

sentymeny patriotyczne, jak i źródła nędzy, opiekując się miejscowymi ubogimi, popełnia, jak większość zbyt entuzjastycznych reformatorów, błędy i gafy. Czasem patrzy wręcz nieżyczliwie – świetna jest anegdota o nastoletnim synu Marii Kuncewiczowej, który czytając te wspomnienia (wydane w USA już w 1940 r.) podczas wojny, cisnął je ze złości do morza. Nic dziwnego, jeśli natknął się na frazy, mówiące o uznaniu niektórych ziemian dla kanclerza Hitlera, który „robi porządek w swoim kraju”. A jednak kto powie, że tak nie było?

Czasem – i to jest najcenniejsze – Virgilia patrzy po prostu bez mgiełki wzruszenia. „Na piętrze – wspomina

swoją pierwszą wizytę na Wawelu – mogliśmy pospacerować i pooglądać jedwabne dywany, stare arrasy, malowane sufity”. Cóż to, spis inwentarza? Ale nie, to nie ignorancja cudzoziemki bez oglady. To po prostu spojrzenie – by sięgnąć po frazę innego autora – bez patriotycznej katarakty na oczach. Spojrzenie niedostępne nam na co dzień, po które warto sięgnąć w trybie lektury, jak krótkowidz, który przymierza kolejne szkła i nagle zaskakuje go świat widziany ostrzej, trochę jakby pomniejszony, lecz bogatszy w szczegóły. Takie spojrzenie nie będzie zdradą. Ostatecznie – „miłość to znaczy popatrzeć na siebie / tak jak się patrzy na obce nam rzeczy”.

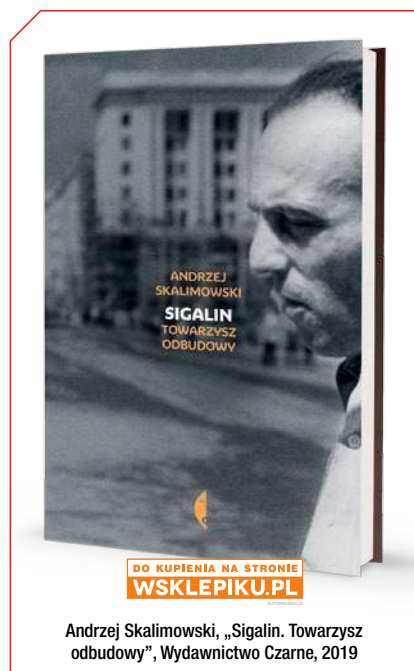
Towarzysz Haussmann

Nazwisko emblematyczne, przywoływane, ilekroć mowa o stalinizmie w Polsce. Większości czytelników znane może bardziej z „Dziennika 1954” Tyrmanda niż z fachowych opracowań o historii architektury i urbanistyki. Józef Sigalin (a obok Edmund Godzamt, towarzysz jego nieodstępny), istny, jakby powiedział miłośnik łamańców językowych, politruk przy rajzbracie, dźwigający w potocznych wyobrażeniach całość odpowiedzialności za wyburzenia dokonane przez BOS, MDM i jeszcze Pałac Kultury im. Stalina na dodatek.

W takich sytuacjach nic przyjemniejszego dla historyka niż podważenie oczywistości: biografia Sigalina pióra Andrzeja Skalimowskiego świetnie pokazuje złożoność losów tego nurtu polskiej inteligencji wywodzącej się z zasymilowanych u progu XX w. aspirujących rodzin żydowskich. Na poziomie hasła i obrazka tę złożoność pokazują losy dwóch starszych braci Józefa: Grzegorz, awangardowy architekt szukający szczęścia w Moskwie, został aresztowany i rozstrzelany u schyłku wielkiej czystki, w roku 1938; Roman, również architekt, podporucznik rezerwy WP, zginął w Starobielsku wiosną roku 1940. I jeszcze jeden obrazek: tekturowy, groszowy, Jana Pawła II przy łóżku umierającego w roku 1983 Sigalina.

Pomiędzy tymi datami mieszczą się jednak wybór, wierność i kariera bohatera tej żywo napisanej biografii. I może bardziej w kwestii ostatecznego wyboru zaangażowania niż działań w Warszawie planu sześćioletniego losy Sigalina okazują się naprawdę emblematyczne: to ważny głos w rozważaniach o rodowodach różnych żywych w stolicy wrażliwości. Wybór ten w najwziewlejszy chyba z możliwych sposobów oddaje fragment nigdy dotąd niepublikowanego, odnalezionego przez autora biografii konspektu wspomnień Józefa Sigalina, zatytułowany „Droga polityczna”. Jest tam wszystko: urzeczienie Żeromskim, nienawiść do caratu, współczucie wobec nędzy, odraza wobec antysemityzmu i fascynacja Legionami Piłsudskiego.

Tak wyglądały emocje nastolatka u progu wielkiej wojny. Kto nie uznałby ich za swoje? Pytanie o to, co nałożyło się na ten fundament, jak doświadczenie zabójstwa Narutowicza i zachwyt sowiecką literaturą mogły doprowadzić do członkostwa w KPP, roli oficera politycznego u Berlinga (nad którą trudno mi przejść do porządku z taką łatwością jak autorowi książki), a wreszcie geniusza nie tyle architektury, ile logistyki odbudowy Warszawy zadawać należy raczej ze smutkiem niż z gniewem.





Coś więcej niż film o napadzie

Grupa kobiet (Viola Davis, Michelle Rodriguez, Elizabeth Debicki i Cynthia Erivo) po śmierci mężów i partnerów zostaje na życiowym lodzie. Ich faceci giną podczas kolejnego skoku. Kobiety zostają z długami, mieszkaniami, które do nich nie należą, i presją ze strony bandziorów mających interesy z ich martwymi partnerami. Panie znajdują plany kolejnego wielkiego skoku wartego kilka milionów dolarów. Kupują spluwy i wchodzą w rolę nieżyjącego szefa szajki (Liam Neeson). Materiał na pospolite kino akcji? A może jakieś kolejne po „Kill Bill” czy „Jackie Brown” feministyczne szaleństwo Tarantino? Hollywood kocha tzw. heist movie, więc materiał mógłby spokojnie wystarczyć na wiele różnych wizji.

Jeżeli taki materiał do rąk bierze Steve McQueen („Wstyd”, „Zniewolony”), a scenariusz pisze Gillian Flynn („Zaginiona dziewczyna”), to musi powstać z tego coś więcej niż thriller akcji, choć sceny akcji są tutaj istotne. Otwierająca film ucieczka gangu przed policją przypomina najlepsze heist movies Michaela Manna („Gorączka”, „Złodziej”). „Wdowy” to jednak film podszyty ideologią i socjologicznymi obserwacjami McQueena. Brytyjczyk wrzucił do niego wszystkie namietności liberalnego środowiska. Mamy więc feministyczną celebrację pasującą do #MeToo. Jest



DVD/VOD

przemoc policji wobec czarnych, ale też coraz większa brutalizacja czarnych gangsterów, którzy bluzy od dresów zamienili na drogie marynarki. Akcja filmu rozgrywa się w Chicago, które od czasu Ala Capone nie było w takim stopniu jak dziś skąpane w przemocy.

McQueen ciekawie pokazuje też, jak korupcja polityczna rozwała demokrację już na najniższym szczeblu. Jednym z wątków filmu jest walka o fotel radnego syna (Colin Farrell) lokalnego biznesowego i politycznego demiurga (Robert Duvall). McQueen oczywiście dokładnie zniechędzonego w Hollywood Donaldowi Trumpowi, przeciwstawiając młodego i ideowego polityka jego ojcu, krzyżacemu, by nie oddawać miasta imigrantom i biednym „dzieciorobom”. Duvall gra człowieka

symbolizującego białą, rasistowską i kapitalistyczną Amerykę, która musi zostać zastąpiona nowym JFK (Farrell jest nawet fizycznie do niego upodobniony). Odrzucam bałamutną ideologiczną wizję McQueena, ale jej wkomponowanie w kino akcji jest błyskotliwe. Ten film obfituje we wspaniałe aktorskie epizody. Emocjonalna rozmowa ojca z synem, w której ten pierwszy zdaje sobie sprawę, że jego Ameryka odchodzi w cień, to majstersztyk aktorski 88-letniego Duvalla. Choć „Wdowy” są momentami nierówne, to właśnie aktorstwo (Liam Neeson oplakujący śmierć dziecka rozdziera serce) stoi za sukcesem tego zdumiewającego filmu sensacyjnego.

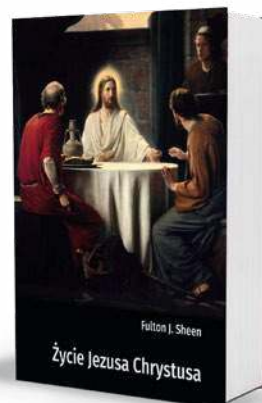
„WDOWY”, REŻ. STEVE MCQUEEN, DISTR. IMPERIAL CINEPIX/GOOGLEPLAY

Monumentalne dzieło wspaniałego kapłana

Biskup Fulton J. Sheen to jeden z moich ulubionych duchowych przewodników. Zdobywca telewizyjnego Oscara (Emmy) w czasach, gdy katolicy nie myśleli o ewangelizowaniu w obrębie popkultury, biskup, na którego cześć nazwisko zmienił gwiazdor Hollywood (Martin Estevez), potrafił o wierze mówić prosto i jednocześnie niezwykle głęboko. Monumentalna biografia Jezusa Chrystusa z 1959 r. to jego najpełniejsze dzieło. Lata modlitwy, refleksji, badań doprowadziły Sheena do przenikliwych teologicznych

wniosek. Nie jest to nudna biografia napisana naukowym językiem, zrozumiałym wyłącznie dla wykształconych katolików, ale żywy obraz Jezusa. Człowieka i Boga. Sheen pozwala nam zrozumieć istotę Zbawienia. Nie zamkniętą w formułkach na nudnym, kościelnym kazaniu i otuloną patetycznym językiem hierarchów katolickich. Jego monumentalne dzieło nie tylko pielęgnuje naszą wiarę, lecz może i zainspirować poszukujących. Wspaniała praca!

„ŻYCIE JEZUSA CHRYSZTUSA”, FULTON J. SHEEN, WYD. AA





Jezus Meksykaninem?

Jestem entuzjastą horrorów opowiadających o opętaniu i egzorcyzmach, przypominających o istnieniu tego, który wmówił ludzkości, że go nie ma. Horror o egzorcyzmach są też jedynym gatunkiem filmu, gdzie ksiądz katolicki jest niemal zawsze herosem w koloratce. Miła odmiana w czasie tak wielkiej niechęci do hierarchii katolickiej w mediach.

Ten horror jest jednak inny od większości filmów dotyczących tematyki egzorcyzmów. Meksykański „Belzebub” ma wszystkie wady zinfantylizowanych hollywoodzkich opowieści o diable i żadnej zalety tych filmów. Na granicy USA z Meksykiem dochodzi do serii brutalnych i masowych dzieciobójstw. Ginie m.in. nowo narodzony synek detektywa Emmanuela Rittera (Joaquín Cosío). Śledztwo prowadzi go do szokujących eschatologicznych i głęboko teologicznych. Uświadamia mu to specjalny agent tajnej komórki (z fajną, mroczną nazwą, której nie pamiętam) Watykanu. W pobliżu miejsca zbrodni zawsze pojawia się wytatuowany (nawet na twarzy jak Mike Tyson), zakapturzony i upiorny gość o facjacie specja od mrocznych ról Toby’ego Bella.

No i zaczyna się jatka, jak w 90 proc. hollywoodzkich straszdeł o demonach, opętaniu i samym Panu Ciem-



Kino

ności. Belzebub gania bohaterów po przygranicznych miasteczkach i tunelach służących do przemytu ludzi. Nie ma co prawda twarzy Donalda Trumpa budującego mur na powierzchni, ale może w sequelu się okaże, kto tak naprawdę jest diabłem wcielonym. Nie miałbym nawet nic przeciwko takiemu rozwiązaniu akcji. Zmyłoby ono irytującą przewidywalność trików, mających nas nastraszyć, i banalność finału. Wolę bezczelność niż nudę.

Nie wymagam od każdego horroru o egzorcyzmach, by trzymał się katolickiej dogmatyki. „Egzorcysta” Friedkina jest wciąż niedoścignionym wzorem, choć niewiele brakowało do niego „Egzorcyzm Emilly Rose” Derricksona czy pierwszej „Obecności” Wana. Jednak skoro powstaje już horror opowiadający o Apokalipsie z perspektywy

chrześcijańskiej, to dobrze by było, by twórcy choć minimalnie trzymali się katolickiego spojrzenia na demonologię. „Belzebub” wygląda jak twór wychowanego na newage’owo-ideologicznym tyglu nastolatka, który liźnął wiedzy o katolicyzmie na źle prowadzonej lekcji religii. Czegoż tutaj nie ma? Meksyk to nowa Judea, nowy Rzym, nazwany tutaj Stanami Zjednoczonymi. Paruzja, czyli powtórne przyjście Chrystusa, nie ma wyglądać tak jak w Biblii, ale jest... ponownym wcieleniem się Zbawiciela w człowieka. Jezus miałby się więc narodzić w Meksyku. Tak samo jak Jan Chrzciciel i św. Paweł. Nie podają twórcy, czy reszta bohaterów Nowego Testamentu również musi się na nowo narodzić, ale może nowym Piłatem jest Trump? Nie, to jest na pewno Neron, który spali w sequelu Meksyk.

Według twórców filmu Jezus już się narodził. W rodzinie mużulańskiej, ale niedobry i zwodzony przez szatana papież wysłał krucjatę, by go zabić. Papież Herodem? Tego jeszcze nie było! Jest za to takie nagromadzenie nonsensów teologicznych i dziur logicznych w scenariuszu, że przy odrobinie parodystycznego tonu dostalibyśmy meksykańskie „Martwe zło”. Niestety – oni tak na poważnie...

**„BELZEBUB”, REŻ. EMILIO PORTES,
DYSTR. WISTECH MEDIA**

Zmarnowany potencjał

Trudno się to ogląda, bo momentami widać, że mogła z tego powstać luźnacka i bezczelna komedia. „Holmes i Watson” miał być parodią wszystkich produkcji o najsłynniejszym detektywie kultury popularnej, który odżył w ostatnich latach w znakomitym serialu BBC „Sherlock” i szalonych hollywoodzkich filmach Guya Ritchiego. Etan Cohen do fachu od komedii. „Faceci w czerni 3”, „Madagaskar 2” czy „Jaja w tropikach” dowodziły, że potrafi zrobić bezpieczną rozrywkę dla mas. Nie jest żadnym mistrzem współczesnej komedii, jak bracia Farrelly, Judd Apatow czy Adam McCay,



DVD

ale nigdy nie schodził poniżej pewnego poziomu. Tutaj uderzył zadkiem o bruk. Will Ferrell i John C. Reilly zamiast bawić, zenują fatalnie przerysowanymi rolami. Skecze są zawstydzająco banalne i pozbawione pomysłu. A był przecież potencjał na najlepszy rodzaj parodii! Widać to w niezłej scenie słynnej dedukcji Sherlocka. Sześć Złotych Malin dla najgorszego filmu 2018 r. i ciche wydanie u nas od razu na DVD pokazują, z jakim dziełem mamy do czynienia. Trzymać się z daleka!

**„HOLMES I WATSON”,
REŻ. ETAN COHEN, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX**



O sprzysiężeniu przeciwko Polsce

„Napaści na Polskę, o których tu mówić zamierzam, nie ograniczają się do wytykania przygodnych a nieuniknionych błędów, popełnianych przez niedoświadczony rząd – są to napaści powszechne, systematyczne, obmyślane z góry – napaści zorganizowane.

Mamy tu do czynienia z istnym sprzysiężeniem, dążącym do dyskredytowania nie tylko rządu polskiego, ale całego polskiego narodu”

Tego zdania nie napisał zaciekrzwiony polski „nacjonalista” czy wręcz „faszysta”, nie, wyszło ono spod pióra pewnego wielce szacownego belgijskiego uczonego, i to prawie 100 lat temu! Zadziwiająca trafność dokonanej przezeń analizy zjawiska antypolonizmu na świecie nie utraciła nic ze swej aktualności, warto więc ją dzisiaj przypomnieć, bo skierowana ona była nie do Polaków, ale właśnie do innych narodów, oczerniających nas często z niewiedzy lub uprzedzeń, powziętych pod wpływem... No właśnie kogo?



JERZY LUBACH

Ten tak aktualnie brzmiący cytat pochodzi z zapomnianej, niestety także w Polsce, książki „Letters on Polish Affairs” (wydanie polskie z roku 1923 jako „Listy o Polsce” w tłumaczeniu Jadwigi

Sienkiewiczówny) belgijskiego dyplomaty Charlesa Sarolei (1870–1953).

Sarolea odebrał świetne wykształcenie i już jako młodzienczek został doradcą premiera Belgii, a w 1894 r. – w wieku 24 lat! – objął katedrę Filologii Romańskiej na słynnym Uniwersytecie Edynburskim, gdzie wykładał przez kolejne 37 lat, od roku 1901, pełniąc jednocześnie funkcję konsula Królestwa Belgii. Był w Anglii wielce ceniony, ciesząc się m.in. przyjaźnią wielkiego pisarza Gilberta K. Chestertona. To pełne pasji artykuły Sarolei w prasie brytyjskiej

opisujące barbarzyństwo niemieckie w okupowanej podczas I wojny światowej Belgii wpłynęły zapewne na decyzję Agathy Christie, by uczynić genialnego detektywa Herkulesa Poirot właśnie belgijskim uchodźcą w Anglii.

Jak pisze amerykański publicysta Peter S. Rieth, współpracujący m.in. z „The Imaginative Conservative” i polskim kwartalnikiem „Opcja na Prawo”:

„Sarolea jest jednym z najwybitniejszych znawców, jacy kiedykolwiek pisali o kwestiach eurazjatyckich, w wielkim stopniu dzięki swoim podróżom i spotkaniom dotyczącym przedmiotu badań. Czytelnik jego fascynujących książek nie znajdzie w nich żadnych przypisów – owocu długiego ślęczenia w bibliotekach. Zamiast tego przepełnione są stwierdzeniami typu »w czasie, kiedy tam byłem...«. Będąc naocznym świadkiem wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 r., przyjacielem Lwa Tolstoja i twórcy podwalin państwa polskiego Romana Dmowskiego, Sarolea wniósł zaiste pionierski wkład – znajomość historii z pierwszej ręki” (przekład mój – J.L.).

„Listy o Polsce” prof. Sarolea pisał w okresie 1918–1921, obserwując z sympatią rodzącą się w bólach i w bojach państwowość polską. Wówczas też stwierdził ze zdumieniem, że sympatii tej bynajmniej nie podziela większość państw europejskich, co sprawiło, że postanowił dogłębnie zbadać tę kwestię. I doszedł do wniosków znowu niepokojąco dla nas aktualnych:

„Obecna kampania przeciw Polsce jest wiernym powtórzeniem antypolskiej propagandy, która szalała w Europie przez cały wiek XVIII – toteż uważne zbadanie ówczesnych metod będzie zadaniem niezmiernie fascynującym. Rosja i Prusy czyniły w XVIII w. to samo, co czynią obecnie: »mobilizowały« opinię całego świata przeciwko Polsce, przygotowując się do jej zniszczenia. Sądząc po wyniku, powodzenie tej propagandy było wprost zdumiewające. Dziś widzimy wszyscy, że rozbiór Polski był bezecną zbrodnią i punktem wyjścia wielu szalbierstw politycznych. Ale współcześni zapatrywali

się na to inaczej i stawali przeważnie po stronie zaborców. Fryderyk, zwany Wielkim, i Katarzyna, również zwana Wielką, przedstawiali się ówczesnym ludziom jako wspaniałomyślni i liberalni monarchowie, wkraczający do Polski z zamiarem przywrócenia tam porządku i zabezpieczenia praw dysydentów. [czyli innowiercom – przyp. J.L.]. D'Alembert, Diderot, Grimm, Voltaire – wszyscy encyklopedyści francuscy prześcigali się w wysławianiu tych oświeconych despotów, którzy powodowali się wzniosłym pragnieniem podzielenia się »ciałem i krwią Polski«. [...] Propaganda antypolska w XVIII w. wydała zadziwiające wyniki – nie wiem jednak, czy dzisiejsza propaganda nie cieszy się jeszcze większym powodzeniem. Wrogowie Polski mają dziś na swe usługi międzynarodową prasę, która jest jednym z najpotężniejszych narzędzi – okoliczności zaś, wśród których działają, są dla nich bardziej jeszcze sprzyjające niż za dni Voltaire'a”.

* * *

No dobrze, rozbiórcy mieli oczywiście interes w oczernianiu Polski i Polaków, jaki był jednak powód niemal powszechnej niechęci wobec naszego

kraju, powiedzmy, w 1920 r., gdy nadludzkim wysiłkiem powstrzymywał bolszewicką nawałę grożącą wszak całej Europie?

We wstępie do książki swego belgijskiego druha próbuje to wyjaśnić inny wielki przyjaciel Polski, Chesterton: „Jakkolwiek daleki jestem od głębokiej znajomości rzeczy, jaką wykazuje autor tej książki, a którą niewielu historyków może się poszczycić, to jednak czuję się uprawnionym do zabrania głosu, a to z tej przyczyny, że zawsze byłem stronnikiem polskiej idei, nawet wtedy, kiedy moje sympatie opierały się wyłącznie na instynkcie.

Mój instynkt nie wynikał z uprzedzenia ani z »sentymentu«. Nie był również skażony stronnictwością, choćby dlatego, że prawie wcale nie czerpałem informacji z polskich źródeł. Nie wyrobił się wreszcie pod wpływem przesadnych pochwał, gdyż jak to prof. Sarolea wykazał, pochlebne sądy o Polsce są niezwykle rzadkością w naszym kraju. Wprost odwrotnie. Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń, miotanych przeciwko niej – i rzeć mogę – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie

do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzyło mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętą nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów i metoda okazała się niezawodną. Wszystkie fakty, jakie się nagromadziły od tej pory, potwierdzają słuszność moich spostrzeżeń. [...]

Wykazywano nam, że Polacy są »histerycznymi dziećmi«, pozbawionymi dyscypliny i zmysłu praktycznego, niezdolnymi do wytworzenia żadnej formy bytu poza anarchią. »Histeryczne dzieci« odpowiedziały ważkim argumentem, zadając bolszewikom jedyny



istotny cios, jaki ich osiągnął i krusząc ich potęgę na polach bitew, podczas gdy my poprzestawaliśmy na zwalczaniu bolszewizmu w artykułach dziennikarskich, pobłażając mu jednocześnie tam, gdzie chodziło o zapewnienie sobie rynków zbytu.

Najciekawszym tedy rozdziałem tej niezmiernie pouczającej książki jest List Drugi: »O sprzysiężeniu przeciwko Polsce«. W szeregach tych »sprzysiężonych« znajduje się, oczywiście, obok prawdziwych wrogów Polski, wielu łatwowiernych głupców. Ci stanowią nawet większość i podczas kiedy pierwsi działają pod wpływem nienawiści, drudzy grzeszą przez nieświadomość. [...] W tym można doszukać się przyczyny niezrozumiałego wprost uprzedzenia, z jakim mieszkańcy zachodniej Europy odnoszą się do sprawy polskiej, nie domyślając się nawet istnienia starej cywilizacji na polskich ziemiach».

Może i trudno wymagać od przeciętnego Europejczyka wyznawania się na zawiłościach polskiej historii, ale skoro tak niewiele o niej wie, to skąd to powszechne mniemanie o wrodzonej nietolerancyjności i wszelkich innych niegodziwych cechach charakteryzujących ponoć Polaków? Przenikliwy Chesterton błyskotliwie, niczym stworzony przezeń detektyw ksiądz Brown, przeprowadził śledztwo i wykryłowego cichego suflera podpowiadającego światu tę wygodną dla siebie wersję. Otóż według niego Zachód widzi Polskę przez okulary zmaistrowane przez nader szczególnego optyka:

„[...] Berlin był dotychczas jedynym oknem, patrzącym na Wschód. Innymi słowy, narody zachodnie, a szczególnie ludy, trudniące się handlem, jak Amerykanie i Anglicy, patrzyły dotychczas na wschodnią Europę poprzez okulary niemieckiego profesora. A te złośliwe szkiełka miały tę właściwość, że o ile niekiedy powiększały świadomość Rosję, o tyle Polskę ukazywały zawsze w dziwnej umniejszonej postaci. [...]»

Jest to ten sam nauczyciel, który tak skwapliwie tłumaczył angielskiemu uczniowi, że ekspansja Niemiec na koszt Belgii i Danii jest koniecznością dziejową, zgodną z przyrodzonym prawem niemieckiego narodu [...]. Tą zaś potęgą, tym wiecznym i jedynym pod-

żegaczem jest Niemiec, mający na swe usługi – zwłaszcza gdy o polską sprawę chodzi – niemieckiego Żyda.

Żyd miał w Polsce dawne porachunki z chłopem, a nawet ze szlachcicem. Z chwilą kiedy przedzierzgnął się w bolszewika, mógł wreszcie dać upust swojej nienawiści, wypowiadając żywiołowi polskiemu walkę otwartą, jak na bojownika narodowej sprawy przystało. Z tego punktu widzenia można zapatrywać się na przechodzenie Żydów do bolszewickiego i syjonistycznego obozu za rzecz poniekąd korzystną. Bolszewik i syjonista atakują Europę z otwartą przyłbicą i kroczą odważnie po własnej drodze. Do chwili pojawienia się bolszewizmu niemiecki Żyd czuł się może w gruncie rzeczy Żydem, ale wysługiwał się idei niemieckiej. Tę ideę krzewił on w Polsce od samego początku, a u schyłku wojny i w Belgii. Chcąc deptać bezkarnie po relikwiach katolicyzmu i złamanej polskiej szablili, Herr Moses Mendoza przybierał na się postać jasnowłosego olbrzyma Północy...” [pisownia oryginalna – J.L.]

* * *

Brutalna to diagnoza i narażająca dziś zarówno jej świętej pamięci (dosłownie, bo od wielu lat trwają w Watykanie zabiegi o beatyfikację Chestertona) autora, jak i każdego cytującego ją na tak łatwo dziś ferowany zarzut „antysemityzmu”. Jeśli przyjrzymy się wieloletniej sekwencji wydarzeń prowadzących do ostatnio tak zmasowanego ataku na Polskę, to jasno widać, kto jest jego inspira-

torem, kto pomagierem, a kto odgrywa rolę głupawego ucznia „niemieckiego profesora”...

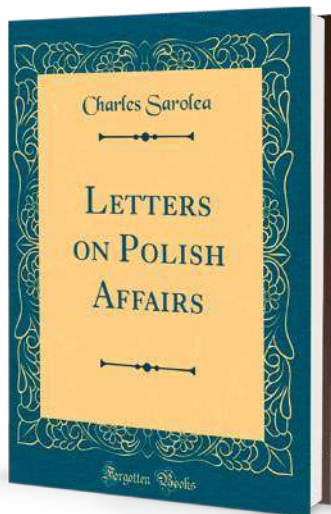
Państwo żydowskie przez całe dzieściolecie XX w. za sowitą rekompensatę pomagało Niemcom zdjąć z siebie odium twórców i realizatorów Holocaustu, początkowo przez przerzucenie winy na bliżej nieokreślonych „nazistów”. Jednocześnie Izrael odmawiał zawsze jakiegokolwiek rozliczenia się ze zbrodniami dokonanymi podczas II wojny z inspiracji niemieckiej i sowieckiej przez Żydów na Żydach, a już tym bardziej na Polakach.

Skoro zaś nie są winni Niemcy, a już na pewno nie Żydzi, to odpowiedzialnymi za wszystkie te zbrodnie należy uczynić Polaków, co też się robi, w ostatnich latach coraz bezczelniej. Dlaczego Polaków? Mętne tłumaczenia władz izraelskich uzasadniające bezprzykładny atak na Polskę biorą się być może z obawy o ujawnienie na szerszą skalę niechlubnej roli tych Żydów, którzy byli współwykonawcami Holocaustu na własnych rodakach: Judenratów, polickich żydowskiej w gettach, żydowskich szmalcowników – ci byli najgroźniejsi dla swych ofiar – a nawet żydowskich agentów Gestapo. Bo kiedy mogą się pojawić statystyki, kto ma jaki procent udziału w paskudnej konkurencji wydawania Żydów, może się okazać ryzykowne tak modne dotąd na świecie oskarżanie Polaków o masową skalę tego zjawiska...

* * *

Byli różni świadkowie Holocaustu, był taki Cael Perechodnik, żydowski policjant w getcie warszawskim, który w swoich wstrząsających wspomnieniach opisał niezliczone podłości i okrucieństwa, jakich wraz z kolegami sam się dopuścił wobec współbraci, między innymi osobiście ładując do pociągu śmierci mającego za końcowy przystanek KL Auschwitz... własną żonę z małą córeczką! A jednak w odruchu wyparcia własnych win tak oto zadziwiająco podsumowuje rachunek krzywd czasu Holocaustu:

„Bynajmniej nie jestem zaślepiony, żeby uważać, że obowiązkiem każdego Polaka było z narażeniem własnego życia przechować u siebie w mieszkaniu





Gilbert Chesterton witany
na dworcu w Warszawie

Fot. NAC

Żyda, ale uważam, że obowiązkiem społeczeństwa polskiego było umożliwić Żydom swobodne poruszanie się po polskiej dzielnicy. [...] Prawda, Polacy pomogli mnie, ojcu, matce, pomogli i innym tysiącom Żydów, którzy jeszcze żyją. [...] Prawdopodobnie i w Warszawie znajdzie się również dziesięciu sprawiedliwych i chyba w każdym innym mieście też się tylu znajdzie, tak że ludność polska może spokojnie spać po nocach, nic im nie grozi, a ten, co zrabował, to ma i będzie mieć nadal”.

Czy zgodnie z historycznymi żądaniami władz izraelskich mamy wierzyć żydowskiemu świadkom Zagłady na słowo tylko dlatego, że ją przeżyli, mniejsza o to, jak potwornym kosztem – casus Perechodnika – czy raczej rzetelnie badać ich wiarygodność? W końcu w Warszawie znalazło się trochę więcej niż dziesięciu sprawiedliwych... Nie mówiąc już o całej Polsce.

Tymczasem premier Izraela Netanjahu najpierw dokonuje niesłychanego ataku na Polskę, a potem w Moskwie wylewnie dziękuje Putinowi za „wyzwolenie” przez Armię Czerwoną Żydów, których wszak Rosja nigdy nie krzywdziła... Jakoś zapomniał, że wpływowy American Jewish Committee (ACJ) został założony w 1906 r. w reakcji na masowe pogromy Żydów w Rosji inspirowane przez carskie władze ręką w rękę z „patriotyczną” Czarną Sotnią.

W tymże czasie, korzystając z całego tego zamieszania, Niemcy finalizują

plan budowy rosyjsko-niemieckiego gazociągu Nord Stream 2, a Żydzi amerykańscy przepychają w Kongresie uchwałę o gigantycznych „odszkodowaniach” za żydowską własność w Polsce – bynajmniej nie dla nielicznych już żyjących ofiar Holokaustu, a na rzecz organizacji, którą żydowski badacz prof. Norman Finkelstein bez ogródek nazywa Holocaust Industry.

Jeśli więc chodzi tyle o pieniądze, ile o podstawy sławetnej „wrażliwości historycznej” Izraela, ujętej w 1950 r. w obowiązujące do dziś prawo, że żaden Żyd nie odpowiada za swoje zbrodnie z tego okresu – nawet za współudział w Holokauście i mordowaniu własnych współziomków, ponieważ sam jest ofiarą Holokaustu – oznacza to, iż czeka nas ciężka walka na wszystkich frontach. Ale cofać się nie można nawet na krok, bo wtedy największą „ofiara Holokaustu” stanie się... prawda o Holokauście!

I znów niezawodny prof. Sarolea wskazuje, co powinien czynić polski rząd, by przezwyciężyć niesprawiedliwe wobec Polski stereotypy, bowiem już wtedy Żydzi grali na forum międzynarodowym kartą „polskiego antysemityzmu”:

„Jeśli np. w jakiegokolwiek mieście w wschodniej Europie wydarzy się pogrom Żydów, przypisują to natychmiast krwiożerczym Polakom i mniemanie to utrzymuje się dopóty, dopóki jakiś znawca obeznany z geografią Rosji nie

wykaże, że miasteczko, w którym dokonano pogromu, leży poza granicami Polski [...]. Chcąc bronić się przed sprzysiężeniem tej miary, rząd polski powinien ocknąć się i wzbudzić w sobie poczucie odpowiedzialności. Nie ma prawa być dłużej obojętnym widzem. Nie może poprzestawać, jak dotąd, na odpiernaniu kłamstwa wyniosłym milczeniem. [...] Ale dziś propaganda antypolska przybrała takie rozmiary, że zagraża wprost istnieniu polskiego państwa. Dziś nie ma czasu do stracenia: orgii kłamstwa musi być przeciwstawiona propaganda prawdy”.

Chesterton patrzy na to z nadzieją: „Cnoty kielkujące w Polsce, wybijają się powoli na powierzchnię życia [...] Instynktem, wyrosłym na gruncie historycznego doświadczenia, przeczujemy bliskość chwili, w której one wyzwolą się całkowicie. W kości starej Europy nowa wstępuje nadzieja”.

Wypada ze smutkiem stwierdzić, że równie wielkich przyjaciół odradzająca się po długotrwałym zniewoleniu Polska ani wtedy – sto lat temu – ani teraz zbyt wielu nie posiada. Tym bardziej więc należy cenić tych dwóch, których tu przypominam. Książkę prof. Sarolei ze wspaniałą przedmową Chestertona trzeba w Polsce natychmiast wznowić, a skoro nie pamiętają o niej rodacy obu autorów, to należy opublikować i angielski oryginał, by polskie MSZ mogło ją rozpowszechniać wśród naszych dzisiejszych, hm, przyjaciół... 

ZNP przeciw faszystom



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Do walki jesteśmy przyzwyczajeni, bo z walki z niestawnej pamięci polską konserwą powstała nasza Organizacja” – zapewniał w marcu 1936 r. prezes ZNP Jan Kolanko. Wielka wojna zaczęła się od reformy szkolnictwa, jednak już po trzech latach związek domagał się „sprawiedliwości społecznej” i „konsolidacji świata pracy” przeciwko zjednoczonemu „frontowi faszystowskiemu”

Powstały w 1930 r. Związek Nauczycielstwa Polskiego wywodził się z galicyjskich związków nauczycieli ludowych. Z tradycji niesienia „kaganka oświaty” wśród ciemnego ludu wyrósł postulat walki o postęp społeczny i modernizację oświaty, który – choć zjednoczył lewicowe stowarzyszenia nauczycielskie – to nie wystarczyło do tego, aby przekształcić związek w potężną strukturę. ZNP musiał więc znaleźć protektora. Bliscy mu ideowo socjaliści odpadali, bo jako ugrupowanie opozycyjne nie dawali perspektyw. Jednak przedwojenna polska lewica to nie tylko socjaliści. Obok nich rozwijała się jeszcze druga frakcja lewicy. Byli to często renegaci z PPS, którzy po zamachu

majowym postawili na Piłsudskiego, zrywając w ten sposób z macierzystą partią, ale nie wyzbywając się dotychczasowej ideologii. Lewica sanacyjna – bo tak ją określano – skupiała, w odróżnieniu od PPS, głównie inteligencję – i to ona stała się promotorem ZNP.

W tym czasie szkolnictwo polskie miało strukturę dwustopniową – cztery lata szkoły powszechnej, w której uczono pisania, czytania i rachunków, oraz osiem lat gimnazjum, gdzie poszerzano wiedzę zgodnie z zainteresowaniami ucznia, oferując mu do wyboru profil humanistyczny, klasyczny lub matematyczno-przyrodniczy. Taki układ nie był doskonały, ale zapewniał niezbędne minimum, któ-

rym była likwidacja analfabetyzmu. Był także koniecznością, brakowało bowiem nauczycieli, a ci, którzy uczyli w szkołach, często nie mieli odpowiedniego wykształcenia – zaledwie 20 proc. kadry szkolnej miała dyplomy szkół wyższych. Tylko oni mogli wykładać w gimnazjach, wszystkich pozostałych kierowano do szkół powszechnych, gdzie wiedza uniwersytecka nie była niezbędna. I choć niedokształcenie nauczycieli poważnie ograniczyło rozwój gimnazjów – a co za tym idzie i edukację społeczeństwa – szkoły powszechne rozwijały się w całym kraju. Tuż przed kryzysem ekonomicznym uczęszczało do nich ponad 95 proc. dzieci. Likwidacja analfabetyzmu stała się więc faktem.

Problemy zaczęły się, gdy Polska odczuła skutki kryzysu gospodarczego. Zabrakło pieniędzy na dokształcanie nauczycieli, nie tworzone nowych etatów w szkołach, obniżano pensje. Na domiar złego do szkół trafił wyższy demograficzny. W pierwszej połowie lat 30. doszło do tego, że na jednego nauczyciela przypadało średnio 64 uczniów, a na Kresach liczba ta przekroczyła 80. Tymczasem nowych etatów ani podwyżek nie było, choć i tak – jak na ówczesne czasy – nauczyciele nie zarabiali najgorzej. Pensja ok. 200 zł miesięcznie dawała im pozycję średnio zarabiających pracowników państwowych, robotnicy otrzymywali wówczas poniżej 100 zł, a płace urzędników wahały się w okolicach 300 zł.

NIETOPERZE, SOWY I PUCHACZE REAKCJI

Początek lat 30. to w Polsce zwycięstwo „idei państwowej” nad „partykularnymi interesami partyjnymi”, to proces brzeski i postępująca samowładza sanacji. Istniejące obok ZNP Nauczycielskie Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Polskich, jako zbyt uległe wpływowi endecji i konserwatystów, zostało przez władze zmarginalizowane, promowano tylko ZNP – związek świecki i absolutnie „propaństwowy”. Nauczycieli należących do związku chrześcijańskiego otwarcie nakłaniano do przechodzenia do ZNP, jako związku o większych perspektywach, co za tym idzie, przywilejach.

Patronem ZNP w rządzie był minister oświecenia publicznego Janusz Jędrzejewicz, później jeden z premierów pułkowników. Jędrzejewicz – tak jak większość sanacyjnych prominentów – był owładnięty „ideą państwową”. Nowoczesna edukacja była tym, co mogło wzmocnić państwo, postanowił więc przeprowadzić reformę szkolnictwa.

Reforma powstawała przy udziale ZNP i została przez związek w całości zaakceptowana. Nowa ustawa o szkolnictwie z marca 1932 r. przewidywała wydłużenie nauki w szkole powszechnej do sześciu lat, następnie czteroletnie gimnazjum – ale bez podziału na profile – wreszcie dwuletnie wyspecjalizowane liceum przygotowujące uczniów do studiów wyższych.

Jednak zachwyty nad reformą było słyhać wyłącznie ze środowisk sanacyjnych. Pozostałe ugrupowania zarzucały władzom, że reforma jest nie-realna z przyczyn finansowych. I – jak się okazało – miały rację. Zabrakło pieniędzy na budowę szkół, na dokształcanie nauczycieli i na nowe etaty. A teraz potrzeba było ich znacznie więcej niż przed reformą, w większości gmin miały powstać nowe sześcioklasowe szkoły, gimnazja, a wraz z nimi zastępy wykształconych nauczycieli. Nic takiego się nie stało. W efekcie młodzież opuszczająca mury źle wyposażonych szkół powszechnych była dużo gorzej wykształcona niż przed reformą.

ZNP zażądał zniesienia kurateli rządu nad edukacją. Zmuszanie nauczyciela, aby się przystosował do poglądów oficjalnych, może złamać jego postawę psychiczną – ubolewał Czesław Wycech

ZNP z początku nie przejmował się tym. Dla związku ważne było to, że reforma obiecywała nowe etaty oraz podnosiła prestiż nauczyciela szkoły powszechnej – teraz w sześcioklasówce przejmował rolę dawnego profesora gimnazjum, mógł też – przynajmniej teoretycznie – liczyć na większą pensję.

Jednak gdy nadzieje na lepsze życie zawiodły, ZNP zaczął szukać winnych. Szefowie związku przypomnieli sobie o zastrzeżeniach prawicy, która z przyczyn budżetowych domagała się rozłożenia reformy w czasie. Te argumenty tylko rozsierdziły działaczy ZNP – Ciemnogród nie chce reformy, która prowadzi do emancypacji „mas ludowych”. „Nietoperze kultury polskiej nie mogą spać spokojnie, widząc, jak światło promieniujące z pracy nauczyciela coraz bardziej oświeca ich kryjówki – i coraz mocniej odkrywa

ich szpetne oblicza” – pisał organ ZNP „Głos Nauczycielski”. „Dopóki nauczycielstwo, a więc i szkoła powszechna były skłócone z ludem, sowy i pu-chacze reakcji, nienawidzące światła, mogły spać spokojnie” – wtórował mu liberalno-lewicowy tygodnik „Epoka”.

„Działalność czynników dworsko-plebańskich utrudnia i opóźnia proces emancypacji mas ludowych; baczmy pilnie, ażeby rola współczesnej inteligencji, a wśród niej i nauczycielstwa, nie uległa tradycjom szlacheckim” – niepokoił się lider i główny ideolog ZNP Czesław Wycech, po wojnie marszałek peerelowskiego Sejmu.

Tradycja szlachecka stała się nagle dla ZNP największym zagrożeniem dla bytu państwowego, zarzucano jej doprowadzenie do utraty niepodległości i przeciwstawiano „rodzącą się nową kulturę chłopską i proletariacką”. Doprowadzono do tego, że największym wrogiem postępu stał się Henryk Sienkiewicz, który jako „piewca szlacheckiej” został usunięty z programów szkolnych.

Drugim wrogiem był Kościół, z którym działacze ZNP zawsze mieli na pieńku, choćby dlatego, że zwalczali swoich kolegów z chrześcijańskiego związku nauczycieli. Teraz doszedł kolejny punkt sporny.

ZNP zażądał stworzenia szkół bezwyznaniowych, uznając, że dotychczasowe szkoły są zależne od kleru. Kierownictwo związku dość obłudnie zaznaczało przy tym, że związkowi chodzi wyłącznie o niezależność szkolnictwa. Episkopat zareagował nerwowo, wydając list pasterski krytykujący pomysły ZNP.

„Kler w nas bije” – zaczęli histeryzować szefowie związku i przystąpili do kontrataku: „Lud pobożny stoi u stóp ambony, z której ksiądz kaznodzieja w gwałtownych, biblijnych słowach rzuca przekleństwa na nauczycielstwo związkowe, wroga Kościoła, wiary, duszyczek dziecięcych i szczęścia niebieskiego” – kpil „Głos Nauczycielski” i ostrzegał: „Jesteśmy w posiadaniu sporej paczki odpisów wyroków skazujących wielu spośród kleru za napaści wykonane na nauczycielstwo, a jednakże wyroków tych nie publikujemy”. Dlaczego? Tego szefowie ZNP już nie wyjaśnili.

WIDMO KOMINTERNU

Gdy wina szlachty, Sienkiewicza i Kościół w niszczeniu dorobku ZNP została już udowodniona, kolejnym obiektem ataku stał się rząd. Zaczęło się od oskarżeń o... brak pieniędzy. Jeszcze niedawno ZNP atakował „nietoperze i puchacze reakcji” za podawanie w wątpliwość finansowych kosztów reformy, a teraz sam uznał, że rząd nie zapewnił odpowiednich rezerw budżetowych koniecznych do jej przeprowadzenia. „Jeżeli rząd chce pewną rzecz załatwić należycie, to potrafi znaleźć środki” – przekonywał w marcu 1936 r. delegatów na zjazd ZNP prezes Kolanko i zaproponował, aby nowe etaty nauczycielskie sfinansować z budżetu przeznaczanego na wojsko.

Dotąd rząd nie przejmował się wyczynami ZNP – związek walczył z przeciwnikami sanacji, wszystko było zatem w porządku. Jednak w 1935 r. sytuacja się nieco zmieniła. Po śmierci marszałka Piłsudskiego w obozie sanacyjnym doszło do przepychanek. W ich wyniku sanacyjna lewica znalazła się w niełasce. A kierownictwo ZNP z jego zajadłym antyklerykalizmem, nienawiścią do tradycji i „postępowym” obłędem wpadło w orbitę zainteresowań agentów Kominternu. Skłócone ze wszystkimi zaczęło lansować postulaty wykraczające poza normalną działalność związku zawodowego, a przypominające raczej program polityczny partii.

We wrześniu 1936 r. ZNP zażądał m.in. regulowanych cen, nacjonalizacji przemysłu, skrócenia czasu pracy przy zachowaniu nienaruszalności płac oraz „wprowadzenia przedstawicieli ruchu zawodowego do kierowania życiem społecznym i gospodarczym”. Nauczyciele musieli więc na razie zapomnieć o swoich przyziemnych postulatach i ruszyć do boju o lepszy świat. To miała być ich nowa misja.

Niestety, trudno walczyć o postęp społeczny, jeśli trzeba przestrzegać oficjalnego programu nauczania. ZNP zażądał więc od rządu faktycznego zniesienia kuratel nad edukacją. „Zmuszanie nauczyciela do ciągłego przystosowywania się do tzw. poglądów oficjalnych prowadzić musi z natury rzeczy do załamania postawy psychicznej nauczyciela, do jego wewnętrznego zakłamania” – ubolewał



Prezydium zjazdu organizacji społecznych i oświatowych w sprawie szkolnictwa. Piąty od prawej siedzi Jan Kolanko, prezes ZNP, 8 stycznia 1936 r.

Fot. NAC

Czesław Wycech. Jego zdaniem jedyną siłą mogącą mieć wpływ na pracę szkolną nauczycieli miały być „ogólne ideały sformułowane przez organizacje zawodowe”, a więc przez ZNP.

„Nasi przełożeni nie zyskają naszego szacunku przez to tylko, że są przełożonymi i że mogą nam wypisać niedostateczną ocenę pracy” – mówił o kuratorach prezes Kolanko. „Życzymy naszym przełożonym, żeby na pełny szacunek zarobili sobie właściwym stosunkiem do nas, rzetelną pracą i współdziałaniem z nami”.

Aby ta argumentacja była bardziej skuteczna, zarząd ZNP podjął ze składek członkowskich ok. 200 tys. zł i kupił warszawski „Dziennik Poranny”, który miał się stać jego trybuną. Wydając pieniądze swoich członków, kierownictwo ZNP dalej zapewniało, że bardzo się troszczy o warunki materialne pracy nauczycieli. Tymczasem zażądano od nauczycieli prenumerowania i kolportażu gazety. „Taki wydatek nikomu różnicy nie uczyni” – pisał „Głos Nauczycielski” i, apelując do nauczycieli o współpracę z „Dziennikiem Porannym”, dawał im kilka rad warsztatowych, prosząc potencjalnych autorów, aby unikali „wprowadzania redakcji w błąd nieścisłymi informacjami, zabarwionymi subiektywizmem, żółcią, patosem, wykrzyknikami” i nie zasypywali redakcji „produktami grafomanii”. Jednocześnie gazeta zastrzegła, że od czasu do czasu może wprowadzać w błąd swoich czytelników, ale nie to jest ważne, co gazeta pisze, ważne, że jest „nasza”.

„PŁOMYK” BOLSZEWICKIEJ PROPAGANDY

Agitacja nie ominęła dzieci. ZNP był formalnym właścicielem istniejącego od

1916 r. pisma dla najmłodszych „Płomyk”. Magazyn redagowany przez pierwsze kilkanaście lat przez grupkę pasjonatów nie był gazetą dochodową i ZNP nie zwracał na niego uwagi. Gdy jednak w 1934 r. nakład „Płomyka” przekroczył 80 tys. egzemplarzy, związek upomniał się o swoje prawa, usunął zespół redakcyjny i przejął pismo. Niedługo potem wśród nowych jego redaktorów pojawiły się Wanda Wasilewska i Janina Broniewska – żona Władysława. Na skutki nie trzeba było długo czekać. W marcu 1936 r. ukazał się numer „Płomyka” gloryfikujący stalinowski Związek Sowiecki, w którym dzieciom przedstawiano życie w burżuazyjnej Polsce urokiem sowieckiego raju („Płomyk” był prenumerowany przez wszystkie szkoły, ponieważ ZNP załatwił dla pisma status „materiału pomocniczego” uzupełniającego podręczniki).

Tym razem miarka się przebrała nawet dla nauczycieli, którzy nie chcieli faszerować dziecięcych głów jawną komunistyczną propagandą. Prasa atakowała zarząd ZNP. Pierwszy zrecenzował „Płomyka” krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, który oskarżył związek o „zatrucie dzieci jadem bolszewickiej propagandy”. Kierownictwo ZNP pozwało „Kuryera” do sądu, ale sprawę przegrało pomimo ogromnych pieniędzy, które wydano ze związkowej kasy na sponsorowanie artykułów mających wykipić oskarżenie „Kuryera”. Również władze państwowe nie doceniły „pedagogicznego eksperymentu” związku i skonfiskowały nakład bolszewickiego „Płomyka”.

Stawało się coraz bardziej jasne, że w ZNP biorą górę elementy komunizujące. „Koła wywrotowe od dawna traktują nauczycielstwo ludowe jako teren

szczególnego zainteresowania. Wynika to stąd, że nauczyciel z łatwością może pozyskać wpływy nie tylko na młodzież, którą wychowuje, ale i na ludność starszą, wśród której mieszka i pracuje” – niepokoił się endecki „Warszawski Dziennik Narodowy”. W prasie pojawiały się podejrzenia, że ZNP – zgodnie z wytycznymi Kominternu – zmierza do utworzenia Frontu Ludowego.

„Niech ten, który mówi, że my należymy do obozu Folksfrontu, zaglądnie do swojej duszy, a zobaczy w niej front faszyzmu” – denerwował się prezes ZNP. „Wszyscy inni, a więc pracodawcy, kler wszystkich wyznań – mogą mieć jednolicie kierowany front faszystowski. Natomiast świat pracowniczy nie może mieć jednolitej organizacji, bo przezwiecie go mianem »frontu ludowego« i zrobicie z niego ja-czejkę komunistyczną” – wykrzykiwał w grudniu 1936 r.

SAMI SOBIE WINNI

Mimo to władze postanowiły dać związkowi jeszcze jedną szansę. Na początku 1937 r. ZNP i kilka innych współpracujących z nim związków otrzymały ofertę nie do odrzucenia – reprezentujący marszałka Rydza-Śmigłego płk Adam Koc zaproponował im przyłączenie się do tworzonego właśnie Obozu Zjednoczenia Narodowego. Wejście do OZN

zapewniałoby szefostwu ZNP zachowanie posad i patronat władz, jednak zarząd parł do konfrontacji i ofertę Koca odrzucił. To oznaczało rychły koniec zarządu.

Tradycja szlachecka i Kościół stały się dla ZNP największym zagrożeniem. Zarzucano im doprowadzenie do utraty niepodległości i przeciwstawiano „nową kulturę chłopską i proletariacką”

Wkrótce w związku pojawiła się kontrola państwowa, która dokonała lustracji jego ksiąg. Stwierdzono m.in. przekroczenie budżetu o 246 tys. zł, które wydano na cele pozastatutowe (na działalność polityczną zarządu) i wypłacanie nieewidencjonowanych zaliczek dla członków zarządu. 31 września 1937 r. starosta warszawski zawiesił zarząd i wprowadził do związku kuratora, którym mianowano Pawła Musioła – nauczyciela ze Śląska, a przy okazji dzia-

łacza ONR-Falanga. W ten sposób Koc obdzielał stanowiskami swoich nowych sojuszników.

2 października premier Słojowski-Składkowski wydał specjalne oświadczenie w sprawie ZNP, w którym stwierdził m.in., że w Związku tolerowano i popierano idee oraz tendencje „wyraźnie komunistyczne”, „szerzono pacyfizm” i „podrywano zaufanie do władz państwowych”. W specjalnym komentarzu w rządowej „Gazecie Polskiej” zastrzeżono jednak natychmiast, że „oświadczenie Pana Premiera” dotyczy wyłącznie zarządu, a nie całego stowarzyszenia czy też tym bardziej ogółu nauczycieli.

Dotychczasowy zarząd ogłosił okupację budynku ZNP. Na epilog nie trzeba było długo czekać – po kolejnych zawirowaniach na szczytach władzy w niełaskę popadł lider OZN Koc. Nie było więc już przeszkód, aby związany z prezydentem Mościckim minister oświaty Świątosławski wygonił Musioła ze Związku. A premier Składkowski uznał, że oskarżanie zarządu ZNP o komunizm było potwarzą, zapominając dodać, że sam wystąpił z takim zarzutem. Zarząd nie wyszedł więc najgorzej na całej sprawie, poszkodowani byli wyłącznie nauczyciele z ZNP, których przez cały czas używano do najrozsądniejszych celów politycznych. Ale skoro sami na to pozwalali?

REKLAMA



13-15 maja 2019

Międzynarodowe Centrum
Kongresowe i Spodek w Katowicach

www.eecpoland.eu

Główne nurty tematyczne:

Nowa Unia, młoda Unia. Wybieramy Europę
Roboty wśród nas. Technologie i społeczeństwo
Sukcesja i firmy rodzinne
Miasta, metropolie, regiony. Dylematy zrównoważonego wzrostu
Energia i energetyka – rewolucja, regulacja, rynek
Digitalizacja. Cyberzagrożenia. AI



@EECKatowice



/EECKatowice



/EECPoland

Wydarzenie towarzyszące:

**EUROPEAN
START-UP DAYS**

aprasa.pl 7216a184ea



Fot. Janusz Igor Witkiewicz

Antyabrocyjny protest

27 kwietnia 1989 r. ulicami Rzeszowa przeszła pierwsza w historii miasta manifestacja antyaborcyjna. Zorganizowana spontanicznie przez młodzież z Katolickiego Stowarzyszenia „Pokój i Dobro”, działającego przy klasztorze oo. Dominikanów. Wzięło w niej udział ok. 400 osób. Młodzi ludzie stanowili dziewięćdziesiąt kilka procent uczestników marszu

Na początku 1989 r. widać było, że idzie nowe, otwierają się możliwości działania w różnych stowarzyszeniach i zabierania głosu w sprawach publicznych. W Stowarzyszeniu „Pokój i Dobro” była dość mocna grupa z takim właśnie, społeczno-politycznym temperamentem. Dlatego wydaliśmy (piszę w tej formie, bo byłem członkiem tego stowarzyszenia) m.in. oświadczenie skierowane do harcerzy oraz z okazji wyborów do Sejmu kontraktowego.

PIERWSZY PROJEKT

Bliska nam była także tematyka ochrony życia poczętego (sam akurat kończyłem wtedy dwuletnie podyplomowe Studium Teologii Rodziny przy Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, którego kierownikiem była dr Wanda Półtawska). Na fali politycznych zmian również w tym obszarze wiele się wówczas działo. Portal Polonia Christiana, pisząc pod koniec lutego tego roku o pierwszych działaniach na rzecz ustawowej ochrony dzieci poczętych,



JAROMIR KWIATKOWSKI

do jakich doszło w okresie upadającej PRL, cytuje relację opublikowaną przed ponad 30 laty w „Tygodniku Powszechnym”: „12 lutego [1989 r. – przyp. J.K.] w siedzibie Sekretariatu Episkopatu Polski w Warszawie odbyło się spotkanie informacyjne z udziałem przedstawicieli prasy katolickiej, poświęcone prezentacji projektu ustawy o prawnej ochronie dziecka poczętego. W imieniu episkopalnej Komisji do spraw Rodziny spotkanie prowadził ks. dr Kazimierz Kurek. Obecni byli dr Wanda Półtawska z Instytutu Rodziny przy Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie oraz dr Antoni Zięba z Krucjaty Modlitwy w Obronie Poczętych Dzieci. Projekt ustawy przedstawiła doc. Alicja Grześkowiak z Uniwersytetu im. Mikołaja Ko-

pernika w Toruniu. W spotkaniu wziął też udział doc. Adam Strzembosz z KUL, współprzewodniczący zespołu do spraw reformy prawa i sądów, pracującego w ramach obrad »okrągłego stołu«.

Wspomniany projekt ustawy powstał przy udziale ekspertów prawnych, działaczy ruchu KIK-owskiego i lekarzy oraz współpracy z teologami oraz członkami Episkopatu Polski. Według zamysłu jego twórców miał zastąpić ustawę z 27 kwietnia 1956 r. o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży.

Projekt ten 28 lutego 1989 r. trafił do marszałka Sejmu PRL IX kadencji. Podpisało go 74 posłów. Co ciekawe – rzecz dziś nie do pomyślenia – ze wszystkich opcji politycznych: 20 posłów reprezentowało stronnictwa chrześcijańskie (w tym Jan Dobraczyński, pisarz katolicki, w latach 80. przewodniczący paskudnego tworu stanu wojennego – Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, który w kwietniu 1956 r. jako jeden z pięciu parlamentarzystów głosował przeciw wprowadzeniu komunistycznej ustawy aborcyjnej), 20 – ZSL, 8 – SD, 7 – PZPR, a 19 było bez-

partyjnych (w tym jeden z wicemarszałków Sejmu). Wśród posłów było siedmiu lekarzy, w tym dwoje profesorów nauk medycznych.

Dodatkowo zbliżała się 33. rocznica uchwalenia komunistycznej ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Wtedy właśnie w gronie członków Stowarzyszenia „Pokój i Dobro” zrodziła się myśl o zorganizowaniu w Rzeszowie antyaborcyjnego marszu.

– Była to inicjatywa całkowicie spontaniczna i zbiorowa, nie da się wskazać konkretnego autora tego pomysłu – wspomina Adam Kawalek, ówczesny szef stowarzyszenia, kończący wtedy studia, z wykształcenia matematyk, obecnie pracownik Podkarpackiego Centrum Edukacji Nauczycieli w Rzeszowie. Dziś ojciec i dziadek, w latach 2012–2016 wraz z żoną pełnili posługę pary diecezjalnej Domowego Kościoła w diecezji rzeszowskiej.

WIELKI ENTUZJAZM

Adam Kawalek pamięta wielki entuzjazm towarzyszący przygotowaniom do marszu. Transparenty były malowane na płótnie na zapleczu ówczesnego drewnianego kościółka dominikanów, zwanego „szopką”. Ze zdjęć można odczytać ich treść: „Żądamy zniesienia ustawy dopuszczającej przerywanie ciąży”, „Prawo do zabijania Polaków nie może być polskim prawem”, „Komu zależy na zabijaniu polskich dzieci?”, „W Polsce zabijamy 2200 dzieci dziennie”, „Ratujmy polskie nienarodzone życie” itp.

W wymyślaniu hasła uczestniczyło kilka osób ze stowarzyszenia, ale także nieco starsi sympatycy, np. lekarka Roma Lechwacka-Skręt czy inż. Jerzy Bielecki.

– Przy malowaniu hasła było nas sporo – wspomina Adam Kawalek. – Ktoś wymyślił hasło i zaraz przenosiłmy je na płótno.

Manifestacja została zorganizowana w sposób legalny. Uzyskaniem stosownego zezwolenia zajął się z ramienia Stowarzyszenia „Pokój i Dobro” Daniel Tendaj, wówczas student, a obecnie informatyk mieszkający wraz z rodziną w Łomiankach pod Warszawą. Również ojciec i dziadek. Jak przez mgłę pamięta, że był w związku z tym wzy-

wany do urzędu, który miał zastrzeżenia do przebiegu trasy. W końcu jednak zezwolenie dostaliśmy.

Coś musiało być na rzeczy, gdyż ulotka, którą przechowałem w swoim domowym archiwum, mówi o zbiórce 27 kwietnia o godz. 16 na placu przed gmachem Wojewódzkiej Rady Narodowej (dziś Podkarpacki Urząd Wojewódzki). Ostatecznie zebraliśmy się na pobliskim placu Farnym i przeszliśmy obok kościoła oo. Bernardynów, ulicą 1 Maja (dziś Sobieskiego) na Stary Cmentarz, do symbolicznego grobu dziecka nienarodzonego.

Adam Kawalek pamięta, że odczytałem przez megafon napisaną specjalnie z tej okazji odezwę. Ja tego nie pamiętam, natomiast przypominam sobie, że krzyczałem do mikrofonu (na zmianę z innymi) różne antyaborcyjne hasła. Ich treść już mi się zatarła w pamięci, poza jednym hasłem: „Nie chcemy szpitalnych kostnic!”. Śpiewaliśmy też pieśni i piosenki oazowe i narodowe.

Był to już co prawda czas po „okrągłym stole”, ale obawialiśmy się prowokacji. Dlatego na samym początku demonstracji Adam Kawalek zaapelował do uczestników o spokój i niepoddawanie się prowokacjom. Ku naszemu zdziwieniu marsz przebiegł spokojnie. Ale rzeczywiście mocno pilnowaliśmy, by ktoś nie „wyskoczył” z żadnym hasłem niemieszczącym się w temacie marszu.

Innym ciekawym rysem tej demonstracji było to, że... nie było na niej ani jednego księdza! Dlaczego – tego ani ja, ani inni jej uczestnicy, z którymi rozmawiałem, a też jednomyślnie to potwierdzili, nie potrafimy określić. Być może w ferworze spontanicznych przygotowań zapomnieliśmy ich poinformować o naszej inicjatywie.

MROKI ŚREDNIOWIECZA?

Adam Kawalek pamięta (ja nie), że na demonstracji była ekipa z Telewizji Kraków (Rzeszów nie był jeszcze wtedy samodzielnym ośrodkiem telewizyjnym). Na drugi dzień w PZPR-owskim dzienniku „Nowiny” ukazała się notatka o demonstracji, autorstwa – sądząc po inicjałach – red. Ryszarda Beresia, bo-
daj najbardziej „czerwonego” redaktora tej gazety. Co ciekawe, Bereś mocno nas

nie zaatakował. Napisał, że manifestacja była spokojna i dodał jedynie, że „treści, jakie eksponowano wyzwalają w społeczeństwie niejednoznaczne oceny”. „Nie cofajmy się w mroki średniowiecza, dajmy możliwość decydowania samym kobietom” – to, przytoczona przez red. Beresia w formie cytatu, argumentacja zwolenników aborcji. Jedynie przeznaczony dla ludzi młodych miesięcznik „Prometej” potraktował nas materiałem „Ciemnogród atakuje”.

Nie mieliśmy wielkich możliwości nagłośnienia demonstracji. Mediów społecznościowych wówczas jeszcze nie było, na oficjalne nie mieliśmy co liczyć. Pozostały plakaty – na szarym papierze, ale kolorowe i krzykliwe – które rozwiesiliśmy we wszystkich akademikach i na mieście. Dlatego liczbę 400 uczestników możemy uznać za sukces.

– Po latach jeden z księży zażartował, że dzisiaj w takich marszach idą ci sami, tyle że wtedy byli młodzieżą, a dziś są już „starszą młodzieżą” – śmieje się Adam Kawalek.

NA ŁAMACH PRASY

Wcześniej, bo już w lutym 1989 r., członkowie Duszpasterstwa Młodzieży Pracującej działającego przy parafii Matki Bożej Saletyńskiej w Rzeszowie (gdzie wówczas formowaliśmy się z żoną) wystosowali oświadczenie (przyjęte na spotkaniu grupy), w którym postulowali (z uzasadnieniem) zmianę używanego powszechnie terminu „przerywanie ciąży” na „zabicie dziecka nienarodzonego” – jako bardziej adekwatnego. Znalazłem w swoim archiwum oryginał tego oświadczenia, mojego zresztą autorstwa. Podpisały się pod nim 32 osoby z duszpasterstwa – listę otwierała moja żona i ja. Adresatami naszego pisma były: Sejm, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, ksiądz proboszcz naszej parafii oraz redakcje pism: „Kobieta i Życie”, „Przyjaciółka”, „Przewodnik Katolicki”, „Gość Niedzielny” i Katolicki Tygodnik Społeczny „Ład”. W moich archiwach zachowały się także dwa wycinki prasowe – nie tylko z katolickiego „Ładu”, ale także z „Kobiety i Życia”. Oba pisma opublikowały nasze oświadczenie w całości. Rzecz dziś trudna do wyobrażenia...



Fot. Shutterstock

Sanacja w Kijowie

Mówienie o zupełnej niepewności jutra Ukrainy po wyborach prezydenckich jest dużą przesadą. Naprawdę bowiem o politycznych planach ekipy Zelenskiego wiemy już całkiem sporo

Odkąd w lipcu 1991 r. Rada Najwyższa proklamowała niepodległość Ukrainy, nie było aż do tej pory aktu, który by tak ugruntowywał polityczną jedność narodu i demokratyczny ład państwa. Owszem, zarówno Majdan, jak i wcześniejsza „pomarańczowa rewolucja” stanowiły milowe kroki w procesie kształtowania się nowoczesnego ukraińskiego narodu oraz politycznej podmiotowości państwa, ale obie tamte rewolucje były aktami dokonanymi przez mniejszość obywateli kraju, którym reszta przypatrywała się z życzliwością, obojętnością, a często z niechęcią. Pod tym względem niedziela 21 kwietnia 2019 r. jest w krótkiej historii niepodległej Ukrainy zdarzeniem precedensowym. Nigdy dotąd władzy na Ukrainie nie objął ktoś, komu udało się zjednoczyć tak bardzo przecież różniące się od siebie wschód i zachód kraju. I nigdy dotąd demokratyczna sukcesja władzy nie dokonała się w sposób tak wzorcowy, a przy tym spektakularny. Obaj główni aktorzy

**JAN ROKITA**

– zarówno odchodzący, jak i przychodzący szef państwa – mają w tym trudnym do przecenienia zdarzeniu swój istotny udział.

PRZEZROCZYSTE WYBORY

Wołodomyrowi Zelenskiemu udało się zyskać poparcie 3/4 głosujących Ukraińców, co oznaczało wygraną we wszystkich obwodach, z wyjątkiem jednego – lwowskiego. Ale za Lwowem, tradycyjnym siedliskiem ukraińskiej idei nacjonalistycznej, nie poszedł już ani obwód tarnopolski, ani iwano-frankowski, co oznacza, że także w najbardziej narodowo-patriotycznych i antyrosyjsko nastawionych regionach aktor z Krzywego Rogu potrafił zdobyć społeczne zaufanie. Za Zelenskim opowiedział się również (co szczególnie ważne) stołeczny Kijów, czyli miasto, którego mieszkańcy wywołali w ciągu ostatnich dwóch dekad obie patriotyczne rewolucje. Dlatego cokolwiek by powiedzieli na ten temat sceptyczni analitycy

dowodzący „płytkości” albo wręcz „przypadkowości” owej wyborczej jedności, nie może być wątpliwości, że zarówno dla świata zewnętrznego, jak i dla narodowego samopoczucia samych Ukraińców obecne głosowanie jest dowodem na to, że polityczna więź pomiędzy ludźmi żyjącymi w Dniepropietrowsku, Kijowie i Tarnopolu jest silniejsza niżli dzielące ich różnice. Więcej nawet, że – paradoksalnie – partyjno-regionalne podziały są na dzisiejszej Ukrainie słabsze niżli w Polsce, Rumunii albo na Węgrzech. Co znaczy, że powracająca ciągle obawa (a u niektórych nadzieja) na rozpad ukraińskiej państwowości jest bardziej mitem niżli polityczną realnością. Zarówno „pomarańczowa rewolucja”, jak i Majdan miały w tle załamanie się sukcesji władzy. Nadużycia przy wyborach jeszcze niedawno były w Kijowie normą, zaś zmiany w pełnieniu funkcji głowy państwa dokonywały się w okolicznościach rewolucyjnych. Na dodatek przegrany prezydent Petro Poroszenko bardzo silnie używał w kampanii argumentu, iż jego dalsze rządy oznaczają niepodległość, zaś zwycięstwo Zelenskigo – groźbę jej utraty. Nietrudno więc było się spodziewać, że wobec takiego dictum Poroszenko może próbować różnymi administracyjnymi sposobami ukształtować wynik wyborczy. Tymczasem nic takiego się nie stało. W przestrzeni postsowieckiej (jeśli wyłączyć z niej kraje bałtyckie) Ukraina 2019 r. należy do wąskiego i elitarnego klubu krajów, gdzie wybory szefa państwa odbywają się bez nadużyć, a przegrany prezydent gratuluje swojemu przeciwnikowi i obiecuje mu pomoc natychmiast, gdy pojawiają się sondażowe exit polls, a więc grubo przed formalnym ogłoszeniem wyników.

Ten fakt był przyjęty z wyraźnym zaskoczeniem zwłaszcza w Moskwie, gdzie takie zachowanie urzędującego prezydenta musiało się wydawać czymś prawdziwie trudnym do zrozumienia. Jeszcze krótko przed drugą turą główny propagandysta Kremla Dmitrij Kisielow przepowiadał w TV Rossija 1, że za chwilę w Kijowie nastąpi „fałszowanie wyborów, prowokacje i naciski administracyjne”. Istotę zdumienia i irytacji, jaka 21 kwietnia wieczorem zapanowała w Moskwie, celnie ujął były rosyjski korespondent „Gazety Wyborczej” Wacław Radziwiłowicz. „Ta krwawa junta – ironizował – nie tylko organizuje przezroczyste wybory, ale jeszcze ma śmiałość je przegrać”.

PLANY ZELENSKIEGO

O ile taki przebieg i wynik wyborów wzmacnia Ukrainę, o tyle sama osoba nowego prezydenta wywołuje u analityków trojakiemu rodzaju obawy. W Polsce najczęściej podnoszona jest wątpliwość dotycząca charakterologicznych kwalifikacji aktora Zelenskigo do przewodzenia państwu, które nie tylko nie radzi sobie nadal z opanowaniem rozpanoszonych oligarchów kupujących posłów i urzędy, lecz nadto pozostaje w stanie faktycznej wojny z Rosją. Tego rodzaju obiekcie podnoszą np. eksperci polskiego rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich. „Polityk słaby, który będzie mieć kłopoty z kontrolą interesów na swoim zapleczu” – pisze np. Tadeusz Iwański z OSW, określając wybór Zelenskigo jako „wielki eksperyment”. Nowy prezydent wywodzi się bowiem z kręgów postsowieckiego przemysłu rozrywkowego, a wolno

przypuszczać, iż nie jest to miejsce sprzyjające kształtowaniu się twardych charakterów i mocnych osobowości. Środowisko Zelenskigo to tzw. Klub KWN (Клуб Весёлых и Находчивых), zainicjowany jako humorystyczna scena sowieckiej telewizji w roku 1961, dekadę później zdjęty przez cenzurę i ożywiony na nowo podczas gorbaczowskiej pieriestrojki w 1986 r. Studio Kwartal 95 – to zaś jedna z rywalizujących „drużyn” w ramach owego klubu, czyli grupa kabaretowa i jednocześnie firma producencka, która swój program rozrywkowy prezentowała jeszcze w październiku 2018 r. w Warszawie i Krakowie, z Zelenskim w roli gwiazdy.

Z Kwartalu 95 wywodzą się także najbliżsi jak dotąd ludzie Zelenskigo, w tym Iwan Bakanow – szef zwycięskiego sztabu wyborczego, ustanowiony teraz szefem partii Sługa Narodu, która ma wszelkie szanse wygrać jesienne wybory parlamentarne na Ukrainie. Tego rodzaju środowiskowa proweniencja nowego kierownictwa państwa jest zjawiskiem nieco ekscentrycznym. Ale prawdę powiedziawszy, nie ma dobrego powodu, by mniemać, iż oligarcha i producent cukierków miałby mieć bardziej „prezydencki” rodowód środowiskowy od aktora komediowego i telewizyjnego producenta. Może się za jakiś czas okazać, że Zelenski jest polityczną wydmuszką, za której plecami walczą o pieniądze nie tylko dotychczasowi, lecz i nowi oligarchowie rodem z show-biznesu. Ale równie dobrze może być tak, że Zelenski stworzy po raz pierwszy na Ukrainie ekipę uwolnioną od oglądania się na materialne interesy oligarchów. Uwikłany w oligarchiczny system Poroszenko z pewnością nie miał po temu żadnych szans.

Inna obawa dominuje zwłaszcza wśród komentatorów ukraińskich. Spodziewają się oni rychłego rozpadu krótkotrwałej narodowej jedności wokół Zelenskigo, a to dlatego, iż jej główna przyczyna ma naturę czysto negatywną. Jest nią masowy sprzeciw wobec rządów Poroszenki, dominujący zarówno po stronie zwolenników, jak i przeciwników niegdysiejszego Majdanu. „Ja nie jestem politykiem, ja jestem wynikiem pańskich błędów i obietnic” – błyskotliwie rzucił Zelenski w stronę swego rywala podczas przedwyborczej debaty. Zelenskiemu udał się bowiem w tej kampanii manewr, o którym marzy każdy ubiegający się o demokratyczną władzę polityk. Jego zwycięski obóz został zbudowany z ludzi o odmiennych poglądach, celach i wyobrażeniach o przyszłości kraju, złączonych przeważnie niechęcią do stylu władzy Poroszenki i jego ekipy. Jak mówi na łamach „Rzeczpospolitej” znany ukraiński dziennikarz Dmytro Gordon, za Poroszenki „ciągle słyszeliśmy o Europie, a korupcja sięgała samego szczytu; kradli nawet z budżetu zbrojeniowego w czasie wojny”. W szczególności wyborcami Zelenskigo okazali się i ci Ukraińcy, którzy z nieufnością patrzyli na władzę wyłonioną przez Majdan, która ich zdaniem obaliła legalnego prezydenta Janukowycza, i ci, dla których władza ta ociągająca się z radykalnymi posunięciami obiecany na Majdanie, zwłaszcza z przywracaniem sprawiedliwości i czystką ludzi dawnego aparatu władzy. Ale ten sukces nowego prezydenta jest zarazem załącznikiem jego słabości. Zelenski jest skazany na utratę którejś ze stron swoich zwolenników i wtedy właśnie, a może to nastąpić całkiem szybko, nadejdzie dla niego godzina prawdy i sprawdzianu. Już nie jako aktora, ale jako polityka.

W końcu najczęściej eksploatowana w mediach obawa co do Zelenskiego dotyczy tego, iż jego przyszła polityka ma być jednym wielkim znakiem zapytania. „Zelenski milczy” – powtarzają gazety na całym świecie, sugerując z kijowskich przecieków, iż ponoć nawet zachodni dyplomaci nalegać mają na ekipę nowego prezydenta, aby ta ujawniła swoje prawdziwe zamiary. Ta retoryka mediów na temat „zagadki” Zelenskiego i zupełnej niepewności jutra Ukrainy jest jednak obarczona dużą przesadą. Naprawdę bowiem o politycznych planach ekipy Zelenskiego wiemy już całkiem sporo. Wiemy, że zamierza on szybko przeformować w Radzie Najwyższej odważny pakiet ustaw prowadzących do sanacji państwa: m.in. zniesienie immunitetów posłów i sędziów (notabene kiedy w Polsce prezydent wystąpi z taką inicjatywą?), wprowadzenie nieznaney na Ukrainie procedury odwołania głowy państwa za złamanie prawa oraz utworzenie Służby Śledztw Finansowych, która przejęłaby zadania kilku zdegenerowanych obecnych tajnych służb. Częścią planu sanacji ma być również zniesienie okręgów jednomandatowych w wyborach parlamentarnych, gdyż te na Ukrainie pełnią funkcję dość szczególną, umożliwiając oligarchom kupowanie sobie swoich posłów. Zarazem ekipa Zelenskiego ma plan przeprowadzenia amnestii podatkowej, tak aby za 5 proc. wpłaty do budżetu można zalegalizować wielkie czarne pieniądze obecne na Ukrainie, co miałooby na celu przyspieszenie tempa rozwoju kraju. W końcu Zelenski chce otwarcia negocjacji z Rosją na temat przyszłości Donbasu, ale – co ciekawe – nie w tzw. formacie normandzkim, lecz z włączeniem Waszyngtonu i Londynu, co zapewne wzmocniłoby pozycję negocjacyjną Kijowa, ale raczej będzie kontestowane przez Moskwę.

Wygląda na to, że z Zelenskim czeka Rosję rozczarowanie podobne do tego, jakie spotkało ją z Trumpem

SOJUSZNICY

Tymczasem jednak w Kijowie sytuacja polityczna jest bardzo dynamiczna. Nowy prezydent nie ma swoich ludzi w Radzie Najwyższej, w jego interesie leży więc jak najrychlejsze jej rozwiązanie. Na Ukrainie jest to legalnie możliwe najpóźniej na sześć miesięcy przed końcem kadencji, tyle tylko że trwa właśnie spór konstytucyjny o to, jak ów koniec kadencji miałby być liczony: wedle ścisłych konstytucyjnych pięciu lat czy też wedle dnia 27 października, kiedy mają się odbyć wybory parlamentarne? Tak czy owak najpóźniejszy termin rozwiązania obecnej Rady Najwyższej to 27 maja. I jeśli do tego czasu Zelenski tego nie da rady zrobić, to czeka go półroczne „kohabitacji” z politycznie nieprzyjazytnym mu parlamentem. A to grozi paraliżem co bardziej odważnych prezydenckich

inicjatyw i w konsekwencji półroczną inercją na samym początku prezydentury.

Co prawda skala zwycięstwa Zelenskiego może skłaniać wielu „starych” polityków do zmiany frontu. Poparcie Zelenskiemu już obiecała przegrana w tych wyborach Julia Tymoszenko, zaś premier Włodzimierz Hrojsman, najbardziej zaufany dotąd człowiek Poroszenki, właśnie zrywa po latach więź ze swoim przegranym patronem. Planowany powrót z emigracji obwieścił też Ihor Kołomojski, zwaśniony z Poroszenką magnat medialny i przywódca wspólnoty żydowskiej na Ukrainie. Ta trójca: nowy prezydent, premier i największy magnat medialny ma dodatkowy motyw skłaniający do wzajemnych kompromisów i współpracy, jakim jest ich żydowskie pochodzenie.

REAKCJA MOSKWY

W kluczowej dla Ukrainy kwestii relacji z Rosją najprawdopodobniej nie zajdą żadne istotne zmiany. Charakterystyczne jest to, iż po ogłoszeniu przez Putina planu przyznawania obywatelstwa rosyjskiego mieszkańcom regionów donieckiego i ługańskiego, ton i język reakcji odchodzącego i przychodzącego prezydenta był w zasadzie jednaki. Zelenski nazwał Rosję agresorem, po czym na Facebooku dołożył jeszcze dość obelżywą uwagę pod adresem szefa państwa rosyjskiego, nazywając jego władzę „skorumpowanym i autorytarnym reżimem”, którego przeciwników demokratyczna Ukraina gotowa jest obdarzać swoim obywatelstwem. Wygląda na to, że z Zelenskim czeka Rosję rozczarowanie podobne do tego, jakie nie tak dawno spotkało ją z Trumpem. I to tym bardziej, że Moskwa nie dała nowemu prezydentowi Ukrainy żadnego, chwilowego nawet oddechu, nie mówiąc już o jakiejś poważniejszej zachęcie do współpracy.

Najwyraźniej na Kremlu zapadła decyzja, aby Zelenskiego postawić przed twardym i czytelnym wyborem: albo po prostu ma zostać klientem Rosji na wzór Janukowycza, albo może się spodziewać ze strony wielkiego sąsiada kłopotów takich samych, albo nawet jeszcze większych, niż jego poprzednik. Świadczą o tym otwarcie agresywne kroki, jakie Kreml podjął wobec Ukrainy tuż przed drugą turą wyborów, a następnie tuż po ich rozstrzygnięciu. Przed samą drugą turą, gdy już całkiem jasna była perspektywa zwycięstwa Zelenskiego, Moskwa zapowiedziała wstrzymanie dostaw benzyny na Ukrainę od 1 czerwca, z wyjątkiem przypadków, gdy rząd Rosji wyda specjalną jednorazową licencję jakiemuś przedsiębiorcy. Z kolei natychmiast po wygranej Zelenski dostał „prezent” z Moskwy w postaci dekretu Putina o uproszczonym trybie przyznawania obywatelstwa rosyjskiego mieszkańcom wschodniej Ukrainy. Można przypuszczać, że ze względów finansowych (kwestia świadczeń socjalnych, emerytur etc.) władze rosyjskie nie zdecydują się na masową skalę stosowania tych nowych przepisów. Jeśli ta hipoteza jest trafna, to tym wyraźniejsza staje się intencja kroków podejmowanych przez Moskwę: mają one służyć dociśnięciu i upokorzeniu nowego prezydenta. A to oznaczać może tylko jedno: utrzymanie napięcia i otwartej wrogości pomiędzy Kijowem a Moskwą.

Zakaz myślenia inaczej

Na zachodnich uniwersytetach i w mediach hegemonia kulturowa lewicy została zabezpieczona strukturalnie w taki sposób, że jakkolwiek opór jest daremny



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Pięć miesięcy temu brytyjski filozof i znany konserwatysta Roger Scruton został mianowany przez torysów przewodniczącym rządowej komisji ds. budownictwa, działającej pod nazwą Budować lepiej, budować piękniej. Scruton – jak pisze Gavin Wax na portalu Townhall – od lat porusza w swoich książkach i esejach mało popularne w kręgach konserwatywnych zagadnienia estetyki czy ekologii. Trudno odmówić mu kompetencji w dziedzinie sztuki lub architektury.



Niemniej jednak ci sami torysi go teraz bezceremonialnie z tej pozycji usunęli. Powodem jest wywiad, którego Scruton udzielił brytyjskiemu tygodnikowi „The New Statesman”. Filozof mówił w nim m.in., że islamofobia to słowo propagandowe wymyślone przez Bractwo Muzułmańskie, by uciszyć krytykę islamu. Podkreślił istnienie „imperium” George’a Sorosa na Węgrzech oraz bronił Viktora Orbána, nazywając falę imigrantów jesienią 2015 r. „inwazją plemion muzułmańskich z Bliskiego Wschodu”. Ponadto oskarżył chińską partię komunistyczną o „robiecie robotów z własnych ludzi”.

Uwagi te wywołały falę oburzenia na lewicy oraz w części Partii Konserwatywnej. Zostały uznane za antysemickie, rasistowskie i obraźliwe dla muzułmanów. Usunięcia Scrutona z rządowej komisji domagali się nie tylko laburzyści, lecz także Królewski Instytut Brytyjskich Architektów (RIBA), który od dawna ma mu za złe, że broni „tradycyjnej architektury” przed modernizmem. Odejsie filozofa z komisji było świętowane od lewa do prawa. „Teraz zamiast skupiać się na absurdalnych pojęciach jak »piękno«, będziemy mogli budować tanie [oraz w domyśle brzydkie – dop. red.] mieszkania” – podkreśliła Tamsie Thomson, szefowa Londyńskiego Festiwalu Architektury. A rzecznik premier Theresy May nazwał usunięcie Scrutona z komisji „słusznym”. Świętował również autor wywiadu, dziennikarz i wicenaczelnny „The New Statesman” George Eaton. Opublikował zdjęcie na Twitterze, na którym pije szampana z butelki, ciesząc się z dymisji tego „prawcowego rasisty i homofoba”.

ZDEHUMANIZOWAĆ I ZDEZAWUOWAĆ

Scrutonowi można by zarzucić naiwność. Wiedział przecież, że lewica, dla której jego nominacja do rządowej komisji budownictwa była rzeczą skandaliczną, tylko czekała, aż podwinie mu się noga. A „The New Statesman” to w końcu pismo lewicowe. Tyle że Scruton przez lata prowadził kolumnę

o winie dla tygodnika. Dlatego – jak przyznaje na łamach „The Spectator” w artykule zatytułowanym „Przeprosiny za myślenie” – uznał, że „zostanie potraktowany fair”. „Nie po raz pierwszy jestem zmuszony przyznać, że popełniłem błąd, zwracając się do młodych lewicowców, tak jakby byli odpowiedzialnymi ludźmi. Ten wywiad to zbiór wyrwanych z kontekstu uwag, służący do oskarżenia mnie o zbrodnie myślowe” – zauważyła gorzko filozof. Jak zaznacza, Eaton wywiad zmanipulował, skracając wypowiedzi Scrutona tak, by zmienić ich znaczenie. Mówiąc o Chińczykach, filozof stwierdził: „Oni robią roboty z własnych ludzi. Każdy Chińczyk jest jakby kopia następnego i to jest przerażające”. Chodziło mu o Chińską

Studenci coraz częściej odgrywają rolę cenzorów i terroryzują wykładowców, którzy ich zdaniem łamią zasadę politycznej poprawności

Partię Komunistyczną wymuszającą na obywatelach konformizm. Dziennikarz „The New Statesman” uciął pierwszą część zdania, zostawiając tylko: „każdy Chińczyk jest kopia drugiego”. To rzeczywiście brzmi rasistowsko. I o to chodziło. Podobnie było z uwagami Scrutona na temat Sorosa. Eaton przeprosił za zdjęcie na Twitterze. Za zmanipulowanie wywiadu przepraszać jednak nie zamierza.

Długo można by się rozpisywać o tchórzostwie brytyjskiej Partii Konserwatywnej oraz związanych z nią intelektualistów, z których zaledwie garstka odważyła się stanąć w obronie Scrutona. Jak wicenaczelnny „The Spectator” Douglas Murray. O wiele istotniejszy jest jednak powód, dla którego filozof stał się głównym celem ataków politycznie poprawnej lewicy. Scruton to wybitny intelektualista z ogromnym dorobkiem, znany na świecie. Królowa

Elżbieta II nadała mu w 2016 r. tytuł szlachecki. Wydawał się nietykany. Jeśli można obalić kogoś takiego jak on, można zdezwuować najlepsze konserwatywne argumenty przeciwko najgorszym liberalnym ideom.

AKADEMICKIE MYŚLOZBRODNI

A terror myślowy się nasila, szczególnie w środowisku akademickim. Uniwersytety na Zachodzie stały się miejscami, gdzie nie sposób prowadzić debaty, a nawet wykładów. I to nie tylko w USA. Grupy skrajnie lewicowych studentów odnotowują każdy domniemany objaw seksizmu, rasizmu, islamofobii czy homofobii. Jak pisze Susanne Gaschke na łamach niemieckiego dziennika „Die Welt”, studenci coraz częściej odgrywają rolę cenzorów i terroryzują wykładowców, którzy ich zdaniem łamią zasadę politycznej poprawności. Ofiarami tego terroru padli m.in. politolog Herfried Münkler z Uniwersytetu Humboldt w Berlinie, jego kolega, historyk ds. Europy Wschodniej Jörg Baberowski oraz Johannes Warwick, kierownik Katedry Stosunków Międzynarodowych na uniwersytecie w Halle-Wittenberg.

Münklerowi, socjaldemokracie, grupa skrajnie lewicowych studentów zarzuciła seksizm, eurocentryzm oraz imperializm. Zaczęło się – jak opowiada Münkler w rozmowie z „Die Welt” – w semestrze letnim 2014 r. Politolog prowadził zajęcia z politycznej teorii i historii idei. Jeden ze studentów wstał i zarzucił mu, że nie przedstawił wystarczającej liczby przykładów kobiet, które wpłynęły na kształtowanie myśli politycznej, a ponadto miał się opierać „zbyt mocno na autorach europejskich”. Naukowiec był gotów do dyskusji nad zawartością swojego wykładu, ale ta propozycja została przez studentów odrzucona. Zamiast tego założyli oni blog („Münkler-Watch”), który monitoruje każde wypowiedziane przez politologa słowo. Jakis czas później „nieznani sprawcy” zdemolowali biuro wykładowcy i na jego drzwiach namalowali czerwoną farbą ciała obryzganę krwią. Jako swoje „ostrzeżenie”.

W przypadku Varwicka studenci o skrajnie lewicowych inklinacjach protestowali od początku przeciwko jego powołaniu na kierownika katedry. Nie chcieli na uczelni „naukowca, który zajmuje się polityką bezpieczeństwa”. Gdy na jeden ze swoich wykładów zaprosił byłego generała Bundeswehry – pisze „Die Welt” – uznano go za militarystę i od tego momentu nie zaznał już spokoju. Studenci w całym mieście rozkleili plakaty z portretem politologa ubranego w pikielhaubę. „Gdy nosi się już łatkę militarysty, wykonywanie zawodu staje się trudne. Jeszcze trudniej w takich warunkach uzyskać środki na badania” – skarży się Varwick.

JAKIKOLWIEK OPÓR JEST DAREMNY

Baberowski już od lat jest terroryzowany przez grupę trockistowskich studentów, którzy nienawidzą go za jego badania porównawcze nad bolszewizmem i narodowym socjalizmem. Część z nich stale podąża za historykiem, nawet gdy podróżuje on za granicę, filmując każdy jego krok oraz każdy jego występ. Niedawno sąd uznał, że mają oni prawo nazywać go publicznie „prawicowym ekstremistą”, nawet jeśli nie jest to zgodne z prawdą. Ma to poważne skutki dla naukowca: uczelnia nie chce udzielić zgody na utworzenie przez niego Centrum ds. Badań Porównawczych nad Dyktaturami. Przeszłość historyka została doświetlona: jego ojciec, Ślązak, który służył w Wehrmachcie, matka Polka, katoliczka i oczywiście nacjonalistka. On sam: były trockista, który się nawrócił. To wszystko podszyte tanią psychologią (chce zrozumieć ojca lub przybliżyć się do kultury matki, w końcu żaden normalny Niemiec nie może tak myśleć). Baberowski otrzymuje pogróżki, ktoś namalował czerwoną farbą słowo „strach” na drzwiach jego domu w Berlinie. Zdaniem historyka niemieckie uniwersytety są przeżarte lewicową ideologią, a kto nie myśli tak jak większość, jest „skrajnie prawicowy”, albo gorzej – jest „faszystą”. „Nie ma kultury debaty na niemieckich uczelniach. Gdy ktoś mówi coś, co odbiega od wyznaczonej linii, to wszyscy

patrzą z zażenowaniem na podłogę i udają, że tego nie usłyszeli. Nikt nie polemizuje z tym, co zostało powiedziane. Przekaz jest jasny: czegoś takiego się nie mówi i o tym się nie dyskutuje” – przekonuje Baberowski w rozmowie ze szwajcarską gazetą „Neue Zürcher Zeitung”. Według niego każdy, kto inaczej ocenia kwestię rasizmu, imigracji, wojny i pokoju, stosunku płci, niż pozwala na to hegemoniczny dyskurs, jest moralnie dyskredytowany. „Wynikiem jest ujednolicenie myślenia. Nie chodzi o to, co jest prawdą, a co nie, tylko o to, by stać moralnie po właściwej stronie, posługując się argumentem martwego dyktatora. Myślący inaczej jest wpięty w określanie jako idiota, potem jako moralnie wątpliwa jednostka, następnie jako człowiek chory, a na końcu odmawia mu się prawa do wyrażania poglądów” – wyjaśnia dalej Baberowski. W konsekwencji wszyscy mówią to samo: naukowcy, politycy, twórcy kultury. Byle nie odbiegać od linii. Według historyka lewica dążyła do hegemonii kulturowej w sensie Antoniego Gramsciego i ją używała. „Ta walka o hegemonię nie toczy się w polityce, bo polityka tylko reaguje, wykonuje to, co było już przedmiotem interpretacji. Rzeczywiste konflikty zachodzą w instytucjach społeczeństwa obywatelskiego, w mediach, w szkołach, na uniwersytetach. Tam hegemonia kulturowa lewicy została zabezpieczona strukturalnie w taki sposób, że jakikolwiek opór jest daremny” – przekonuje.

AJSCHYLOS RASISTA

25 marca na scenie teatralnej paryskiej Sorbony miał się odbyć spektakl teatralny „Błagalnice” jednego z najbardziej znanych autorów starożytnej Grecji – Ajschylosa. Ale się nie odbył. Grupa studentów z lewicowego związku UNEF oraz działaczy francuskich organizacji zrzeszających osoby o ciemnym kolorze skóry (w tym Liga Obrony Czarniej Afryki) zablokowała przedstawienie, uznając noszone przez część aktorów i aktorek czarne maski za przejaw rasizmu. Według nich starożytny tekst promuje rasizm i stanowi „propagandę kolonialną”. Nie pomogły tłumaczenia reżysera Philippe’a Bruneta, że chodziło o odróżnienie na scenie postaci przyby-

wających z Egiptu od starożytnych Greków, którzy mieli jaśniejszy kolor skóry, a maski są tradycją w antycznym teatrze. „Nie chciałem się naśmiewać z czarnych, tylko pokazać wpływ Afryki na starożytną Grecję” – wyjaśnił Brunet. W odpowiedzi usłyszał, że „nie chodzi o intencje, gdyż popełnianie błędów jest ludzkie, ale o końcowy efekt, a nim jest rasizm”. Świadomy czy nie. Skrajnie lewicowy związek studentów UNEF zażądał wręcz przeprowadzenia narodowej debaty na temat kwestii „blackface” we Francji oraz zadośćuczynienia dla obrażonych.

Według dziennika „Le Monde”, któremu trudno zarzucić prawicowe inklinacje, stosunki na francuskich uniwersytetach „stały się w ostatnich latach coraz bardziej napięte”. Co chwila wybuchają konflikty „tożsamościowe” wokół kwestii rasy, płci czy religii. „Zawsze istniały spory o dyskurs akademicki, oskarżenia o ideologiczne uprzedzenia. To tematy, które zmieniają się wraz z upływem czasu, a dziś skupiają się na kwestiach tożsamości” – mówi Alain Tallon, dziekan wydziału literatury Sorbony, który zamierza ponownie wystawić sztukę Ajschylosa w maju. Inni są mniej wyrozumiali. „Ci, którzy atakują Ajschylosa, chcą zbudować totalitarne społeczeństwo, w którym będą między sobą” – pisze Sébastien Le Fol na łamach tygodnika „Le Point”. „To tożsamościowy terror” – dodaje. Kierownictwo Sorbony stanęło w obronie reżysera „Błagalnic”. Podobnie jak rzesza prominentnych przedstawicieli świata kultury. Znany krytyk literacki i były komunista Pierre Jourde był szefem UNEF oraz komunistycznego związku studentów na Sorbonie w latach 70. XX w. „Byliśmy wtedy niezbyt mądrzy, odrobinę totalitarni, ale nie byliśmy idiotami, analfabetami ani obskurantami. A oni nimi są. Ponieważ istniały w przeszłości rasistowskie praktyki w USA, drwiące z czarnych, to każde przebranie (za czarnego) jest kpina? To jest kretyńskie, totalitarne myślenie. Wojna dzisiejszych studentów z kulturą bardziej przypomina nazizm lub czerwoną gwardię (która zakazywała sztuki, bo nie były wystarczająco rewolucyjne) niż demokratyczne ideały” – podkreśla Jourde na łamach „Le Nouvel Observateur”. 

Centralny Port Komunikacyjny jest opłacalny

Każdy kolejny rząd będzie musiał się zmierzyć z wyzwaniem kończącej się przepustowością Lotniska Chopina i braku wystarczającej infrastruktury przesiadkowej w środkowej Polsce w warunkach dynamicznie wzrastającego ruchu. CPK jest optymalną odpowiedzią na to wyzwanie

Z *Mikołajem Wildem*, pełnomocnikiem rządu ds. CPK *Solidarność*, rozmawia Edyta Hołdyńska



Czy uda się wybudować Centralny Port Komunikacyjny do końca 2027 r.?

Mikołaj Wild: Tak naprawdę zależy to głównie od nas i od tego, czy decyzja o budowie CPK będzie w przyszłości konsekwentnie realizowana. Od strony projektowej i wykonawczej jest to możliwe. Od strony finansowej też, ponieważ to inwestycja opłacalna. Test Prywatnego Inwestora zakłada stopę zwrotu z inwestycji na poziomie sięgającym 10 proc. Potencjalni inwestorzy już się do nas zgłaszają, deklarując uczestnictwo w lotniskowej części projektu. Stowarzyszenie przewoźników lotniczych IATA stoi na stanowisku, że takiego portu potrzebujemy w Europie. Mamy także zielone światło od Komisji Europejskiej. CPK został uwzględniony w europejskiej sieci TEN-T. Podczas ostatniego szczytu lotniczego w Rumunii dyrektor generalny ds. mobilności i transportu Henrik Hololei powiedział, że nie może nie wspierać takiego projektu. Pozostaje więc tylko – i aż – pytanie o determinację i konsekwencję. O to, czy nam się będzie „chciało chcieć”.

Przez cały czas trwa przeczucie się argumentami. Za i przeciw.

One tkwią w nas i w naszej mentalności. Niestety, wygląda to w ten sposób, że kiedy my znów dyskutujemy, czy centralne lotnisko jest potrzebne, inni po prostu taką infrastrukturę budują. Przykładem jest otwarty w ciągu ostatnich dni port przesiadkowy w Stambule, który powstał w wyniku konsekwentnej polityki rozbudowy infrastruktury i wspierania przez Turcję rodzimego przewoźnika lotniczego. Przed nami dużo wyzwań. Jeżeli Polska Agencja Żeglugi Powietrznej nie przygotowuje się od strony inwestycyjnej i kadrowej do obsługi CPK, port nie będzie w 100 proc. efektywny. Jeżeli koleje nie zakupią taboru, który będzie mógł...

...jeździć z prędkością 250 km na godzinę.

Jeżeli PKP Intercity nie zakupią stosownego taboru, infrastruktura, którą stworzymy w ramach Programu CPK, nie będzie w pełni wykorzystywana. CPK to praca zespołowa. Wszystko zależy od wspólnego, skoordynowanego działania. Dlatego rozpoczęliśmy już

w ramach tzw. Forum Interesariuszy konsultacje z firmami i instytucjami, które będą realizować dla portu do-stawy albo świadczyć dla niego usługi.

Tworząc projekt miał być poprzedni prezes spółki CPK Jacek Bartosiak. Dlaczego odszedł? Jak pan to przyjął?

Jego decyzja to dla mnie zaskoczenie, ale ponieważ podjął ją ze względów osobistych, trudno ją komentować. Co ważne, Jacek Bartosiak nadal wspiera ideę CPK i pozostaje w projekcie. Będzie m.in. członkiem Rady ds. Budowy CPK, czyli forum ekspertów powstałego wokół tej inwestycji. Piotr Małepczak, który przejął obowiązki prezesa, bardzo dobrze sobie radzi. Prace w komponencie kolejowym i lotniskowym nie zwolniły ani na chwilę, wiele spraw dzieje się równolegle, wszystko idzie w dobrym kierunku. Kontakty w sprawie mobilności wojskowej, pozyskiwanie finansowania przebiegają bez zakłóceń.

Kto będzie tego pilnował? Czy pan, panie ministrze?



Fot. Andrzej Witko (x2)

Żadne megaprojekty nie wydarzają się bez silnego wsparcia politycznego. CPK jest projektem politycznym w najlepszym znaczeniu tego słowa. Bez mocnego wsparcia premiera Mateusza Morawieckiego, wcześniej premier Beaty Szydło oraz – oczywiście – bez jednoznacznego stanowiska i inicjatywy Jarosława Kaczyńskiego, ta inwestycja nie miałaby szans. Moja rola jest bardziej wykonawcza i mam tego świadomość.

Czyli kiedy przyjdzie inny rząd, projekt CPK wyładowuje w koszu?

Każdy kolejny rząd będzie musiał się zmierzyć z wyzwaniem kończącej się przepustowości Lotniska Chopina i braku wystarczającej infrastruktury przesiadkowej w środkowej Polsce w warunkach dynamicznie wzrastającego ruchu. CPK jest optymalną odpowiedzią na to wyzwanie.

Opozycja jest przeciw projektowi CPK. Mówi, że samo miejsce, czyli gmina Baranów, między Warszawą a Łodzią, jest bez sensu. Że to za daleko ze stolicy.

Co jest o tyle nieszczerze, że w znacznym stopniu uwzględniłbyśmy reko-

mendacje przedstawicieli dzisiejszej opozycji. Studia dotyczące CPK powstawały przecież w ciągu ostatnich 20 lat, nie tylko w trakcie pierwszych rządów PiS, lecz także za rządów PO-PSL czy nawet SLD.

Z raportu PwC dowiadujemy się, że w tym roku lotniska w Polsce obsługują ponad 50 mln pasażerów, a samo lotnisko Chopina 20 mln. Przepustowość warszawskiego portu lotniczego wynosi 22 mln pasażerów. Eksperci mówią jednak o tym, że nie da się przewidzieć dokładnej daty, kiedy możliwości Okęcia się wyczerpią. Za chwilę, za rok, może później?

Wiemy, co się stanie, jeśli nie rozpoczniemy działań związanych z rozbudową Lotniska Chopina i budową CPK: stracimy szansę rozwojową. Nie ulega wątpliwości, że przepustowość warszawskiego lotniska wyczerpie się w ciągu najbliższych pięciu lat. Możemy się spierać co do konkretnej daty, natomiast trendy są nieubłagane. Rynek lotniczy rośnie jak na drożdżach, a środek ciężkości ruchu lotniczego na całym świecie przesuwają się na wschód, w Europie też to widać. Na przykład

PAŻP już w tym roku zaczyna obsługiwać część ruchu z Niemiec, z którym nie radzi sobie jej zachodni odpowiednik. LOT poprzez obecny hub na Lotnisku Chopina już teraz obsługuje pasażerów lecących z Niemiec na Daleki Wschód, a jego oferta jest bardzo konkurencyjna. Pytanie, jak długo będziemy liderami wschodzących europejskich rynków lotniczych bez wystarczającej infrastruktury.

Zalóżmy, że powstaje CPK. Co wówczas się dzieje z Okęciem? Co z Modlinem?

Nie ma wątpliwości, że cały ruch przesiadkowy będzie przeniesiony do portu Solidarność. Jeśli jakkolwiek ruch pozostanie na Okęciu, to będzie on nieporównywalny z tym, który mamy dziś. To już nie będzie Lotnisko Chopina, jakie znamy. Decyzję dotyczącą Lotniska Chopina podejmiemy na podstawie dwóch kryteriów. Po pierwsze, oferta lotnicza dla Warszawy nie powinna zostać pogorszona, a po drugie, pozostawienie ruchu na Lotnisku Chopina nie może być sprzeczne ze strategią rozwoju CPK.

Mówimy o rynku lotniczym w Polsce. Zarzuty są takie, że CPK powstaje tylko dla państwowego przewoźnika. Po to, by to LOT mógł rozszerzać swoją siatkę połączeń, także na Wschód. Czy rzeczywiście tak jest?

Przede wszystkim CPK powstaje dla Polaków. Państwo polskie ma to szczęście, że niemal jako ostatni kraj byłego bloku wschodniego ma swojego narodowego przewoźnika lotniczego. To daje nam znaczną przewagę nad krajami, w których operują już tylko tzw. tanie linie lotnicze oraz linie, które dowożą pasażerów do zachodnich hubów lotniczych. LOT niejednokrotnie deklarował, że chce mieć na CPK swoją główną bazę, a my chcemy zapewnić narodowemu przewoźnikowi infrastrukturę, której mu dziś brakuje. Bylibyśmy jednak szaleńcami, gdybyśmy – jak się to dzieje np. na lotnisku w Modlinie – opierali całe powodzenie ekonomiczne portu lotniczego tylko na jednym przewoźniku. LOT zajmuje obecnie 40 proc. przepustowości Okęcia. Spodziewam

się, że podobne proporcje będą w Porcie Lotniczym „Solidarność”.

To wszystko ma kosztować 35 mld zł. Ile pieniędzy przeznaczy na ten cel budżet państwa, a jaka część tej sumy będzie na kredyt?

Przy inwestycjach infrastrukturalnych zawsze część przedsięwzięcia jest na kredyt, albowiem zwracają się one przez wiele lat. Ponieważ porty lotnicze zapewniają stabilny strumień gotówki, takie inwestycje wybierane są np. przez fundusze emerytalne na całym świecie. Zakładamy, że część lotniskowa projektu będzie budowana z udziałem inwestora prywatnego, a w część kolejową będą zaangażowane fundusze UE.

Budżet państwa już dziś finansuje powstanie CPK i spółkę celową, choćby to biuro na warszawskiej Ochocie, gdzie jesteśmy.

Dokładnie tak, to jednak nieco inna materia. Wśród inwestycji, które składają się na Port Lotniczy „Solidarność”, myślimy oczywiście o inwestycjach, które są nastawione na zysk, jak np. port lotniczy. Na tym się zarabia, także na Zachodzie. W ramach Programu CPK są jednak inwestycje, które nie będą przynosić bezpośredniego zysku finansowego. Mam na myśli budowę nowego połączenia Warszawa–Łódź, tzw. 10 szprych kolejowych, autostradowej obwodnicy Warszawy. Tu pieniądze wrócą do budżetu państwa, ale w postaci podatków i wzrostu PKB. Przez rozwój infrastruktury Polska staje się też lepszym miejscem dla inwestorów.

Port Solidarność to będzie taka druga Atlanta? Charles de Gaulle? Czy bardziej lotnisko Changi w Singapurze? Do którego hubu można to porównać?

Atlanta, mimo że jest największym portem lotniczym świata, jest nastawiona na ruch krajowy, więc to porównanie nie pasuje. Lotnisko Charles de Gaulle w Paryżu jest pierwszym na świecie portem, który został skomunikowany z szybkimi kolejami, więc pod tym względem będziemy do siebie podobni. Ale lotnisko de Gaulle’a nie



jest już dostatecznie wygodne dla pasażerów.

A dlaczego to lotnisko jest niewygodne? Jedno z największych w Europie. Nasze będzie jeszcze lepsze?

Chodzi np. o minimalny czas przesiadki dla podróżnych, który w Paryżu jest zdecydowanie za długi. Sięga trzech godzin, to za dużo dla dzisiejszych pasażerów. Wykorzystując nowoczesne technologie, możemy być znacznie lepsi. Jeżeli chodzi o jakość obsługi, to w Europie patrzymy raczej w stronę Heathrow, a także Monachium. Docelowo jednak zwracamy się w stronę Dalekiego Wschodu. Najnowszy port przesiadkowy w Europie Zachodniej to Monachium, który został otwarty w latach 90. Ale najciekawsze inwestycje znajdują się na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Wśród 10 najlepszych lotnisk na świecie, według rankingu Sky Trax, ponad połowa znajduje się na Dalekim Wschodzie. To dobre źródło inspiracji do zastosowania nowych technologii, sposobu organizacji i filozofii funkcjonowania takich inwestycji.

W jakim stopniu CPK będzie lotniskiem, a w jakim dworcem? Czy inwestycje kolejowe w Polsce, które jeszcze w Singapurze ocenił pan jako zatrzymane w czasach zaborów, ruszą dzięki CPK w całym kraju?

Z kolei wybudowanej w ramach Programu CPK z pewnością skorzysta więcej ludzi niż z samego portu Solidarność. Misją CPK jest zapewnienie dostępności transportowej, która jest bardzo wysoko na agendzie rządu. Na transport chcemy patrzeć systemowo. Z założenia CPK i Warszawa będą głównym miejscem przesiadek w Rze-

czypospolitej. Miejscem, przez które większość pasażerów dalekobieżnych, bo mówimy o ponad 70 proc., będzie przejeżdżać i stąd dostawać się w dwie godziny do wszystkich większych miast w Polsce. Chodzi o to, by Polacy mogli wygodnie podróżować po Polsce koleją.

Wygodnie i tanio?

Rozwój rynku pokazuje, że im większa oferta, tym szybciej ceny spadają. Im więcej ludzi korzysta z kolei, tym tabor jest lepiej wykorzystywany, a inwestycje szybciej mogą się zwrócić. Rynek kolejowy rozwija się i jest wspierany w całej Europie.

Zdążą państwo z masterplanem dla portu do końca roku?

Do końca roku planujemy zlecenie masterplanu lotniska. Okres przygotowawczy jest kluczowy dla powodzenia inwestycji. Nie należy iść na skróty ani nie należy czynić pozornych oszczędności czasowych. Każda błędna decyzja w tym okresie może się przełożyć na miliardy złotych związane ze zmianami parametrów na dalszych etapach projektu. W tym roku chcemy rozpocząć współpracę z doradcą strategiczno-technicznym, którym ma doświadczenie w projektowaniu, budowie, zarządzaniu portami przesiadkowymi i może podzielić się swoim success story.

Czyli z kim? Europa czy Wschód?

W Europie w tej branży od pewnego czasu nie wykonuje się tzw. inwestycji greenfieldowych. Nie powstają nowe lotniska. Europa szczyti się świetnym zarządzaniem istniejącymi już lotniskami. Najciekawsze, co się dzieje w inwestycjach lotniskowych, widzimy na Dalekim Wschodzie. I w tamtym kierunku patrzymy.

Czy pan wierzy w to, że to się uda? Że uda się zrealizować te wszystkie zamierzenia w terminie?

Wszyscy eksperci rynku lotniczego, doradcy, Komisja Europejska, mówią, że nasz projekt ma duże szanse na sukces. Jesteśmy w stanie to zrobić i wygrać jako kraj. Klucze do sukcesu są w Polsce. 

Przekop Mierzei to konieczność

Przekop Mierzei Wiślanej to projekt, który znany jest od wielu lat i zawsze związany ze swobodną żeglugą między Zalewem Wiślanym a Morzem Bałtyckim. Polskie porty co roku notują rekordy przeładunkowe i wnoszą ponad 40 mld zł przychodu do budżetu państwa z podatków – wylicza **Marek Gróbarczyk**, minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, w rozmowie z Piotrem Filipczykiem



Wiemy już – i nie jest to zaskoczenie – że złoża bursztynu nie sfinansują przekopu Mierzei Wiślanej. Jakie będą kluczowe korzyści z inwestycji w budowę tej drogi wodnej, jakie są jej szacowane koszty?

Marek Gróbarczyk: Na wstępie należy zaznaczyć, że tak dużej inwestycji hydrotechnicznej w Polsce nie wykonywano od 50 lat, a w zakresie inwestycji morskich nie wykonywano wcale. Koszt budowy kanału żeglugowego przez Mierzeję Wiślaną został określony w planie wieloletnim dotyczącym tej inwestycji, przyjętym przez rząd w 2016 r., i wynosi 880 mln zł, ale ostateczny koszt budowy będziemy znać po otwarciu ofert przetargowych i wyłonieniu wykonawcy inwestycji. To już niedługo nastąpi, ponieważ zgodnie z prawem trwa procedura przetargowa. Przekop Mierzei Wiślanej to projekt, który znany jest od wielu lat i zawsze związany ze swobodną żeglugą między Zalewem Wiślanym a Morzem Bałtyckim. W tej chwili port morski, jakim jest Elbląg, ma poważnie utrudniony dostęp do morza, co blokuje nie tylko jego rozwój i inwestycje, lecz nawet wykorzystanie obecnego potencjału. Rozwój portu to rozwój miasta portowego, nowe miejsca pracy, wzrost inwestycji, rozwój przemysłu. Przekop to konieczność, która odblokuje wschodnią Polskę, jeśli chodzi o potencjał rozwojowy, ale także turystyczny. Otwarcie Zalewu Wiślanego na Bałtyk stworzy dla wielu miejscowości ogromną szansę rozwoju turystyki opartej na jachtingu oraz na wypoczynku nad wodą.

Przekop Mierzei Wiślanej jest spełnieniem wyborczych obietnic rządu PiS. Jednocześnie jest solą w oku opozycji oraz, jak pan niedawno powiedział, strony rosyjskiej. Jakie wątpliwości budzi ten projekt?

To wręcz podręcznikowy przykład hipokryzji, ponieważ niemal wszyscy posłowie PO podnieśli w Sejmie rękę za specustawą dotyczącą przekopu. Dziś krytyka z ich strony to taktyka medialna niemająca żadnego potwierdzenia w fak-

tach. Jedyne cel to być przeciw rządowi PiS, niezależnie od tego, co rząd robi. Choć należy tu przyznać, że samorządowcy PO i PSL z województwa warmińsko-mazurskiego popierają przekop i widzą w nim ogromną szansę. Wynika to stąd, że ta inwestycja ma ogromne wsparcie społeczne. Strona rosyjska z kolei używa przede wszystkim argumentów ekologicznych. Mieliśmy nawet interwencję rosyjskiego ministra w Komisji Europejskiej. Ale chyba nie ma w Polsce nikogo, kto uważałby Rosję za kraj, który przestrzega standardów ochrony środowiska. Natomiast bezwzględnie realizuje swoją politykę, nie respektując sprzeciwu, tak jak się to działo w przypadku budowy rurociągów Nord Stream czy Nord Stream 2. To są argumenty używane do dyskredytacji przekopu, ponieważ dzięki niemu Polska odzyska dostęp do Bałtyku z Zalewu Wiślanego. Dzięki czemu będzie można omijać rosyjską Cieśninę Piławską, a polska część Zalewu Wiślanego przestanie być zależna od Moskwy.

Wątpliwości opozycji budzi też praca ministerstwa w szerszym rozumieniu. Posłowie PO-KO skierowali w kwietniu wniosek o wotum nieufności wobec pana. Jednym z kluczowych zarzutów jest właśnie realizacja projektu przekopu Mierzei Wiślanej. Ale są też inne, w tym osłabienie pozycji polskiego przemysłu morskiego. Jak odnosi się pan do tych zarzutów?

Wniosek dotyczący mojej działalności ministerialnej uważam za całkowicie nieuzasadniony i wręcz absurdalny. Żaden z kuriozalnych argumentów zawartych we wniosku nie ma potwierdzenia w faktach. PO, która zlikwidowała przemysł stoczniowy i nie potrafiła wykorzystać potencjału polskiej gospodarki morskiej, nie jest wiarygodna w swoich oskarżeniach. Po dwóch kadencjach dewastacji w tej dziedzinie pracujemy nad odrodzeniem przemysłu stoczniowego i zaprogramowaniem go w taki sposób, by był konkurencyjny na trudnym rynku i miał zapewnione warunki rozwoju.

Na pierwszy rzut oka gospodarka morska w Polsce w końcu staje na nogi – polskie porty notują rekordowe wyniki, a pan zapowiada ogromne inwestycje w tę gałąź przemysłu.

Gospodarka morska nie tylko staje na nogi, lecz także jest wykorzystywana w rozwoju gospodarczym całego kraju. Polskie porty co roku notują rekordy przeładunkowe. W roku 2018 był to historyczny wynik 101 mln ton towarów, co z kolei przełożyło się na ponad 40 mld zł przychodu do budżetu państwa z podatków. To ok. 10 proc. całego budżetu państwa. Co więcej, kwota ta jest czterokrotnie wyższa niż za rządów naszych poprzedników. Stajemy się coraz silniejszym graczem na Bałtyku oraz w Europie. Ten potencjał rozwoju polskich portów musimy wykorzystać, dlatego przygotowaliśmy specjalną ustawę, która ułatwi proces realizacji ogromnych inwestycji infrastrukturalnych. W najbliższych kilku latach w Gdańsku powstanie Port Centralny, w Gdyni – Port Zewnętrzny, natomiast w Świnoujściu głębokowodny terminal kontenerowy. Łączny koszt wszystkich inwestycji portowych w najbliższych latach to



Fot. Grzegorz Danilewicz/REPORTER

kwota ok. 25 mld zł. Dzięki temu jako kraj morski wejdziemy na kolejny etap rozwoju.

Czy zatem posłowie opozycji wiedzą o czymś, czego nie wie opinia publiczna, czy po prostu wykorzystują szansę, jaką daje kampania wyborcza do budowania własnego wizerunku?

Odium, które ciąży na PO jest ogromne: likwidacja stoczni, zablokowanie rozwoju żeglugi śródlądowej, próba prywatyzacji i likwidacji narodowych armatorów... Ta lista jest długa, a zarzuty bezwzględnie obciążają obecną opozycję. Opinia publiczna jednoznacznie ocenia te działania, dlatego Platforma robi wszystko, aby zrzucić z siebie tę odpowiedzialność. Rząd PiS postawił sobie za cel odbudowę zrujnowanej gospodarki, w tym także gospodarki morskiej, i to jest główna oś sporu.

Ostatnie tygodnie przyniosły dwie kwestie związane z zadaniami ministerstwa. Chodzi o znaną już od wielu lat sprawę wraku jednostki „Franken” spoczywającego na dnie Bałtyku i związane z tym zagrożenie ekologiczne oraz o spadek populacji dorsza, który szkodzi krajowemu rybołówstwu. Jak poważne są to problemy? Czy ministerstwo ma plany, jak je rozwiązać?

Sprawa wraku jednostki „Franken” jest znana od zakończenia II wojny światowej. Z analiz Urzędu Morskiego w Gdyni



Niemal wszyscy posłowie PO
podnieśli w Sejmie rękę za specustawą
dotyczącą przekopu. Dziś krytyka z ich
strony to taktyka medialna niemająca
żadnego potwierdzenia w faktach

wynika, że obecnie jednostka nie stanowi zagrożenia dla środowiska. Obszar, w którym znajduje się wrak, jest całkowicie zamknięty dla żeglugi i stale monitorowany przez odpowiednie służby. Natomiast sprawa wraku wpisuje się w szerszy kontekst międzynarodowej współpracy przy wydobywaniu wraków i amunicji, które od zakończenia wojny spoczywają na dnie morza. W sprawie „Frankena” chciałbym wszystkich uspokoić, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, wrak jest monitorowany i nie ma powodów, by wywoływać histerię. Natomiast jeśli chodzi o spadek populacji dorsza, to oczywiście temat jest bardzo poważny i nagłaśniamy go od samego początku. Osobiście jeszcze jako europoseł zwracałem na ten problem uwagę instytucjom unijnym. Jako polski rząd podejmujemy wiele działań, by zahamować pogarszający się stan zasobów Bałtyku, wprowadzamy okresy i obszary ochronne, monitorujemy stan zasobów oraz wspomagamy rybaków środkami z Programu Operacyjnego „Rybnictwo i Morze” 2014–2020. Natomiast tu pojawia się kwestia innych krajów nadbałtyckich, które prowadzą połowy przemysłowe, niszcząc łańcuch pokarmowy ryb w Bałtyku. Niedawno po raz kolejny zaapelowałem do unijnego komisarza o podjęcie radykalnych działań w zakresie ochrony Morza Bałtyckiego.

W marcu, po dziesięciu miesiącach nieobecności i rejsie promującym Polskę za granicą, wrócił do kraju „Dar

Młodzieży”. Czy promocja się udała? Jak – w ocenie organizatora rejsu – odbierana jest Polska na arenie międzynarodowej?

To milenijne wydarzenie mające swój początek w 1934 r., kiedy to poprzednik „Daru Młodzieży”, czyli „Dar Pomorza”, opłynął świat, potwierdzając w ten sposób, że Polska powróciła na mapy świata. Dzisiaj kontynuujemy tę wspaniałą historię, wskazując, jak ogromnym morskim potencjałem dysponujemy. Rejs przyniósł wiele owoców, na pokładzie „Daru Młodzieży” gościło wiele głów państw, ministrów, przedstawicieli biznesu. Szczególną uwagę zwrócił na tę inicjatywę papież Franciszek, błogosławiąc rejs i jego uczestników. Udało się podpisać wiele umów międzynarodowych o współpracy, a ich efekty już są widoczne. Nie tylko w naszej ocenie, lecz także w ocenie wielu uczestników i osób, które w jakikolwiek sposób pomagały w realizacji tego przedsięwzięcia. Rejs Niepodległości był wydarzeniem wyjątkowym i na pewno zapisze się na kartach historii. Promocja naszego kraju dotarła do 23 portów na pięciu kontynentach. W każdym porcie polska biała fregata wzbudzała ogromne zainteresowanie. Z pewnością główną wartością Rejsu Niepodległości był udział niemal tysiąca młodych Polaków, którzy wspaniale zrealizowali zadanie bycia ambasadorami naszego kraju. Dzięki temu wydarzeniu udało się pokazać, że Polska jest krajem morskim z bogatą historią. Po prostu udało się powiedzieć światu, jak Polska jest piękna. 



Inwestorzy zagraniczni na polskim rynku pracy

Wpływ inwestorów zagranicznych na rynek pracy w Polsce jest trudny do przecenienia, dlatego poświęciliśmy mu jedną z debat w ramach naszego projektu Forum wGospodarce.pl. Celem Forum jest umożliwienie dialogu między inwestorami obecnymi w naszym kraju od wielu lat a liderami administracji i wypracowanie wspólnych wniosków oraz rekomendacji służących tworzeniu lepszych warunków rozwoju dla globalnych graczy i zachęcenia ich do zwiększania reinwestycji

Rynek pracy jest szczególnie wrażliwym tematem z uwagi na to, że często można usłyszeć opinie, iż niskie koszty zatrudnienia, a więc de facto niskie pensje dla pracowników, są głównym magnesem przyciągającym zagranicznych inwestorów do Polski. Co ciekawe, opinie te nie znajdują potwierdzenia w faktach, co udowadniaли w czasie naszej debaty nie tylko reprezentanci inwestorów, lecz także przedstawiciele administracji państwowej.

Prowadzący debatę Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”, zauważył na wstępie, że wpływ inwestorów zagranicznych na rynek pracy w Polsce jest dwojaki. Zagraniczne firmy nie tylko

bowiem same zatrudniają bezpośrednio tysiące pracowników, lecz również generują dodatkowo wiele miejsc pracy w sektorach kooperujących. Oznacza to, że standardy wypracowywane przez zagraniczne firmy mogą oddziaływać na cały rynek pracy. Czy tak faktycznie jest, o tym mówiła dr Ewa Flaszyńska, dyrektor Departamentu Rynku Pracy w Ministerstwie Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej.

– Według ostatnich danych za 2017 r. zagraniczni inwestorzy zatrudniali w Polsce prawie 2 mln osób, z czego najwięcej w województwach mazowieckim, wielkopolskim, śląskim i dolnośląskim. Warto zwrócić uwagę, że choć mamy dziś w Polsce rekordowo niskie bezrobocie, osób bez zatrudnienia jest

mniej niż milion, to Polska jest pod tym względem bardzo zróżnicowana w poszczególnych regionach – mówiła Ewa Flaszyńska. – Jednocześnie tam, gdzie bezrobocie jest najniższe, mamy do czynienia z rynkiem pracownika, czyli ręk do pracy po prostu brakuje. Natomiast warto zauważyć, że dziś, w przeciwieństwie do początków transformacji ustrojowej, zdecydowaną większość stanowisk kierowniczych w dużych międzynarodowych koncernach działających w Polsce zajmują właśnie Polacy. 30 lat temu to zagraniczni inwestorzy uczyli nas nowych relacji pracowniczych w firmach czy nowych standardów na linii firma–klient. Dziś firmy zagraniczne kładą bardzo duży nacisk na podnoszenie kwalifikacji pracowników,

na szkolenia. To są istotne standardy, jakie wprowadzili na polski rynek zagraniczni inwestorzy. Natomiast standardem, który odczytuję negatywnie, był – również nowy po transformacji ustrojowej – model restrukturyzacji firm polegający głównie na zwalnianiu dużych grup pracowników. Wcześniej Polacy tego nie znali.

Stanisław Koczot zapytał drugiego reprezentanta administracji Bartosza Marczuka, wiceprezesa Polskiego Funduszu Rozwoju, o to, czy dziś możemy oczekiwać czegoś więcej od zagranicznych inwestorów działających w Polsce oraz czy istnieją jakieś bariery, które ograniczają ich działanie, a może nie wykorzystują oni do końca swoich możliwości; co pod tym względem może się zmienić z punktu widzenia państwa, a co mogą zrobić sami zagraniczni pracodawcy.

Bartosz Marczuk przywołał na wstępie raport Fundacji Republikańskiej, z którego wynika, że zagraniczni inwestorzy średnio aż o 40 proc. lepiej wynagradzają swoich pracowników w porównaniu z firmami rodzimymi oraz przeznaczają dwa razy więcej środków na badania i rozwój.

– Inwestycje zagraniczne w znacznym stopniu przyczyniły się do niwelowania nierówności ekonomicznych w naszym kraju, co wyraźnie pokazuje nam wskaźnik Giniego – podkreślił Bartosz Marczuk. – Oczywiście jest też to, że na początku lat 90. potrzebowaliśmy know-how, technologii i kapitału, którego dostarczali nam zagraniczni inwestorzy. Dziś sytuacja jest już nieco inna, bo Polska znajduje się na innym etapie rozwoju. Przede wszystkim zdezaktualizowało się twierdzenie, jakoby kapitał nie miał narodowości. Musimy pamiętać, że inwestorzy zagraniczni głównie pracują na rzecz tych krajów, w których znajduje się ich siedziba główna. Od razu podkreślę, że nie ma w tym nic złego, tak samo funkcjonują polskie firmy, które wchodzą na zagraniczne rynki. Natomiast czynnikiem, który może wyróżniać pożądanego inwestora zagranicznego jest kwestia odprowadzenia podatków. Tu warto przytoczyć głośny przykład dużych sieci handlowych, z których jedne płacą wysokie podatki w Polsce, a inne nie...

Uczestnicy debaty

Anna Borys-Karwacka – dyrektor ds. korporacyjnych, McDonald's Polska
dr Ewa Flaszyńska – dyrektor Departamentu Rynku Pracy, Ministerstwo Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej
Renata Juskiewicz – prezes zarządu, Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji
Olaf Krynicki – dyrektor komunikacji, Samsung Electronics Polska
Bartosz Marczuk – wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju
Inna Yakovchuk – dyrektor ds. HR i członek zarządu JTI Polska
Prowadzący: **Stanisław Koczot**, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”

Z wypowiedzią Bartosza Marczuka polemizowała Renata Juskiewicz, prezes Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji, która stanowczo zaprotowała przeciwko twierdzeniu, jakoby jakieś duże zagraniczne sieci handlowe unikały płacenia podatków w Polsce.

– Sieci często nie ujawniają swoich dochodów, ale to nie znaczy, że nie płacą podatków. Falszywym stereotypem jest także to, że korzystamy z jakichś ulg podatkowych. Muszę to wyraźnie podkreślić, bo zagraniczne sieci handlowe zrzeszone w POHiD, zatrudniające w sumie 200 tys. osób, uczciwie płacą CIT oraz ZUS i PIT za pracowników. Te podmioty zainwestowały w Polsce miliardy – mówiła Renata Juskiewicz.

Bartosz Marczuk wskazał, że cytował jedynie listę podatników udostępnianą przez Ministerstwo Finansów, i jednocześnie podkreślił, iż docenienie wielomiliardowych inwestycji zagranicznych jednak nie może przesłaniać tego, że zostały one poczynione w celu osiągnięcia dochodów, po prostu w celu robienia biznesu i nie na miejscu jest tutaj jakaś przesadna wdzięczność. – Tak działa świat, tak działa globalna gospodarka, że transferuje się zyski, czego mieliśmy w Polsce przykład w czasie kryzysu w 2008 r. Nie ma co się na to obrażać – argumentował Bartosz Marczuk. – Dlatego warto budować własne marki, docelowo globalne. To jest kluczowe dla rozwoju, jakości miejsc pracy, wysokości płac w Polsce – dodał.

– Owszem, przychodzimy do Polski po to, by zarabiać pieniądze, ale także

płacimy od tego podatki. Z samego CIT sieci handlowe zapłaciły w 2016 r. 700 mln zł. Zresztą przygotowaliśmy dla Ministerstwa Finansów pełne dossier z wyliczeniem, ile sieci handlowe płacą podatku. Na pewno żadna z firm przez nas zrzeszanych nie próbuje tego unikać – odpowiedziała Renata Juskiewicz.

Ta część debaty wyraźnie wskazała, że dialog pomiędzy administracją a inwestorami jest konieczny, by na bieżąco wyjaśniać wszelkie kontrowersyjne kwestie.

– Bariery, takie jak skomplikowane prawo, w tym prawo podatkowe, z pewnością dotyczą każdego inwestora, nie tylko zagranicznego. Natomiast chcę podkreślić, że aktualnie polskie państwo chce te bariery znosić, czego dowodem jest chociażby pakiet zmian legislacyjnych zawartych w Konstytucji dla biznesu, z jej głównym mottem, że co nie jest zabronione, jest dozwolone. Choć przyznaję, że mamy jeszcze wiele do zrobienia – powiedział Bartosz Marczuk.

Stanisław Koczot: – Dziś kluczowym problemem dla pracodawców wydaje się pozyskiwanie pracowników.

Bartosz Marczuk: – Tak i tu właśnie rolę do odegrania ma państwo. Dzięki mądrej polityce społecznej trzeba starać się zatrzymać ludzi w Polsce. I jeśli się uda, to również skłaniać emigrantów do powrotu. Na razie luki na rynku pracy uzupełniają osoby z zagranicy. One się u nas świetnie odnajdują, już 600 tys. takich osób pracuje w Polsce na kontraktach, na oficjalnych umowach. Państwo także musi mieć pomysł, jak takie osoby mądrze zagospodarować w naszym systemie organizacji pracy.

Zagraniczni inwestorzy dzięki swoim wysokim standardom pracy utrzymują u siebie dłużej pracowników i – co za tym idzie – przyczyniają się do ich rozwoju oraz pozostawiania w Polsce. Zwróciła na to uwagę Inna Yakovchuk, dyrektor ds. HR i członek zarządu JTI Polska. – Omawiając wpływ inwestorów zagranicznych na polską gospodarkę, wypada zacząć od perspektywy ludzi. W JTI wierzymy, że utalentowani i dobrze wykwalifikowani pracownicy rozwijają nasz biznes. Chętnie wspieramy ich w budowaniu kariery,

jednocześnie dając każdej zatrudnionej u nas osobie możliwość rozwoju osobistego i zawodowego, zdobywania ciekawych doświadczeń oraz podnoszenia kwalifikacji. Warto także pamiętać, że inwestowanie w pracowników, rozwijanie ich, godne wynagradzanie to wspieranie całych rodzin, a więc właśnie likwidacja konieczności emigracji zarobkowej. Dodatkowo zwiększanie kwalifikacji pracowników poprzez oferowane im szkolenia krajowe, zagraniczne, dofinansowanie edukacji i naukę języków obcych stale podnosi poprzeczkę na polskim rynku pracy i pozytywnie wpływa na jego jakość. Natomiast dziś rzeczywiście jest tak, że to pracodawca musi konkurować o ludzi. I to sprawia, że przedsiębiorstwa, nie tylko z zagranicznym kapitałem, lecz również krajowe, muszą z sobą konkurować i tworzyć jak najlepsze miejsca pracy, żeby zatrzymać pracowników. Ten problem dotyczy także rynków pracy poza Polską. JTI, podobnie jak inne firmy, sprowadza wykwalifikowanych pracowników z zagranicy, czego ja samą jestem przykładem. Natomiast nasza firma bardzo chciałaby widzieć Polaków wracających z emigracji – mówiła Inna Yakovchuk. – Dodatkowo chcę zwrócić uwagę, że wpływ JTI nie ogranicza się do bezpośredniego zatrudniania pracowników, ale oddziałujemy na firmy, z którymi współpracujemy. Poprzez wysokie stawianie poprzeczki wpływamy na jakość produktów i usług zewnętrznych dostawców.

Kolejną firmą, która ma ogromny wpływ i wieloletnie doświadczenie związane z polskim rynkiem pracy, jest McDonald's. To jeden z największych pracodawców zatrudniających ludzi młodych oraz takich, dla których ważne jest elastyczne podejście pracodawcy do czasu pracy. Jak firma sobie radzi z brakami zatrudnienia na polskim rynku? Jakie widzi sposoby rozwiązania tego problemu?

Anna Borys-Karwacka, dyrektor ds. korporacyjnych, McDonald's Polska: – Perspektywa, którą reprezentuję, nie jest do końca perspektywą inwestora zagranicznego, gdyż nasz biznes opiera się głównie na franczyzie – 85 proc. naszych restauracji jest w rękach małych i średnich przedsiębiorców.

W naszych restauracjach jest zatrudnionych 25 tys. osób, a łącznie z sektorem współpracującymi z McDonald's Polska tworzymy 40 tys. miejsc pracy. Mimo tych imponujących liczb podobnie jak inni pracodawcy zmagamy się obecnie z problemami wynikającymi z braku rąk do pracy. Oczywiście sięgamy po pracowników z zagranicy, których liczebność w naszych zespołach oscyluje dziś ok. 10 proc. Niestety często przegrywamy w konkurencyjnym wyścigu o te osoby z podmiotami z szarej strefy. Problemem jest tutaj czas potrzebny do otrzymania wszystkich zezwoleń na pracę przez obcokrajowców. Zatrudniamy wyłącznie na umowy o pracę i po prostu musimy czekać na wszelkie zgody urzędowe. Tu daje się niestety zauważyć dużą niespójność w działaniu urzędów, bo w zależności od regionu czy województwa różny jest czas dopełniania procedur legalizacji pobytu i zatrudnienia. Często nasi potencjalni pracownicy nie mają za co się utrzymać w oczekiwaniu na pozwolenia i to właśnie takie osoby trafiają do szarej strefy. Tutaj z pewnością przydałoby się usprawnienie i przyspieszenie państwowych procedur. Oprócz pracowników z zagranicy otwieramy się na osoby, które przekroczyły 50. rok życia, a także takie, które wymagają od pracodawcy elastyczności w podejściu do czasu świadczenia pracy. Chętnie podejmują u nas pracę młode mamy czy opiekunowie osób niepełnosprawnych, którzy nie mogą sobie pozwolić na podjęcie pracy w stałym wymiarze godzin, np. od 8.00 do 16.00.

Anna Borys-Karwacka zauważyła także, że elastyczne podejście do pracownika pozwala na odzyskanie dla rynku dużych grup osób wcześniej nieaktywnych. – Osoby te poza elastycznością doceniają oferowaną przez nas stabilność zatrudnienia oraz intensywny i kompleksowy system szkoleń, który pozwala uzupełnić kwalifikacje oraz kompetencje już w czasie trwania pracy. Warto podkreślić, że są to nie tylko kompetencje konkretne powiązane z wykonywaną pracą, lecz cała pula kompetencji miękkich, tzn. komunikacyjnych, uniwersalnych. Ich zdobycie powoduje, że pracownik ma szersze

możliwości na rynku niż wcześniej – dodała Anna Borys-Karwacka.

O tym, jak kwestie regulacyjne wpływają na możliwość zatrudniania cudzoziemców, wiedzą najlepiej przedstawiciele sieci handlowych.

Renata Juskiewicz: – Oczekiwaliśmy takich zmian na rynku pracy, które umożliwią nam pozyskiwanie pracowników z zagranicy. Niestety wśród branż, w których rząd badał wpływ zatrudniania cudzoziemców na rynek pracy, handel został pominięty. To dziwne, bo w handlu pracuje 2 mln ludzi w Polsce. Zagraniczne sieci handlowe mają swój ogromny wkład w zmianę naszego rynku pracy. Gdy zaczynały działalność 20 lat temu, okazało się, że brakuje pracowników wykwalifikowanych do pracy w sklepach wielkopowierzchniowych, a szkoły handlowe wypuszczają na rynek absolwentów zupełnie nieprzygotowanych do takich zadań. Sieci handlowe musiały włożyć ogromny wysiłek w wykształcenie ludzi i zaimplementowanie własnego know-how. To ustawiczne szkolenie jest jedną z charakterystycznych cech handlu. Wyraźnie widać je w możliwościach wewnętrznego awansu. W handlu, jak chyba w żadnej innej branży, niewykwalifikowany pracownik piastujący bazowe stanowisko ma szansę w stosunkowo krótkim czasie zostać dyrektorem lub kierownikiem sklepu. Jednocześnie, znów na przykład stereotypom, chcę podkreślić, że płace w handlu są stosunkowo wysokie. Tylko w naszej branży osoby bez kwalifikacji mogą otrzymać na starcie między 3 a 4 tys. zł, co jest ofertą zdecydowanie bardziej atrakcyjną w porównaniu z innymi zawodami. Wśród załóg naszych sklepów mamy duży odsetek kobiet, studentów oraz osób starszych, którym najtrudniej znaleźć pracę. Zatrudnieni dostają umowy o pracę, pełny pakiet opieki medycznej, a najbardziej potrzebne rodziny mogą liczyć na dofinansowanie wczasów, kolonii i inne zapomogi. Jeszcze raz podkreślam, że zrzeszone w POHiD firmy placą rocznie 3 mld zł podatków dochodowych od pracowników. Dodatkowo oczywiście kreujemy potężny rynek pracy na zewnątrz. Są to nasi współpracownicy od logistyki, dostawcy, firmy budowlane,

ochroniarskie czy sprzątające i cała powiązana z handlem struktura. Omalby rynek pracy, nie sposób pominąć też tematu zakazu handlu w niedziele. Przepis, który w zamyśle miał wpłynąć na poprawę jakości życia pracowników, odniósł przeciwny skutek. Zwiększony ruch w sklepach przeniósł się na sobotę, w efekcie ludzie pracują ciężiej w inne dni. Dodatkowo widać wyraźnie, że najbardziej na zakazie ucierpiały sklepy o powierzchni między 100 a 200 m², prowadzone przez polskich przedsiębiorców. Zyskały jedynie stacje benzynowe, ale znów – ich pracownicy są teraz w niedziele zdecydowanie bardziej obciążeni niż wcześniej.

O ile w handlu na bazowym stanowisku można się obejść początkowo bez wysokich kwalifikacji, o tyle z pewnością nie jest to możliwe w przypadku poszukiwania zatrudnienia w takiej firmie jak Samsung – koncernie, w którego działalności nasz kraj odgrywa jedną z kluczowych ról.

– Samsung jest dziś tak naprawdę polską firmą – powiedział Olaf Kryni-

cki, dyrektor komunikacji Samsung Electronics Polska. – Stawiam taką tezę, gdyż Samsung ma w Polsce trzy prężne ośrodki, zlokalizowane w Warszawie, we Wronkach i w Krakowie. W Warszawie mieszczą się ośrodek R&D, biuro sprzedażowe i centrala firmy, we Wronkach mamy innowacyjną fabrykę budującą najbardziej zaawansowane technologicznie urządzenia AGD, a w Krakowie rozwijamy biuro badawczo-rozwojowe pracujące nad rozwiązaniami sieciowymi. Warto nadmienić, że to w naszym warszawskim biurze R&D w Warszawie opracowano używane dziś na całym świecie rozwiązanie Smart TV. Izrobili to Polacy! Aby ugruntować swoją pozycję technologicznego lidera, trzeba jednak cały czas się rozwijać. Dlatego tworzymy miejsca, które wspierają innowacyjność, czyli inkubatory technologiczne Samsunga. Fabryka we Wronkach została wskazana przez koreańską centralę jako jedyna poza Koreą, gdzie powstaje nasz najbardziej innowacyjny produkt, np. lodówka Family Hub, będąca swoistym

centrum zarządzania domem. Oczywiście ciągle rozwój wymaga też od nas stałego podnoszenia kompetencji pracowników. Warto zauważyć, że nabyte przez nich umiejętności zostają w Polsce. Dla nas najlepszym rozwiązaniem byłoby zatrudnienie wyłącznie polskich pracowników, ale przy obecnej strukturze rynku pracy wiemy, że nie jest to możliwe. Tęsknym wzrokiem spoglądamy na Wietnam, gdzie w naszej innej megafabryce zatrudniamy wielu znakomitych fachowców. Wietnamczycy podobnie jak Polacy dysponują wysokimi kwalifikacjami i przydałyby się ułatwienia służące możliwości podejmowania pracy przez obywateli Wietnamu w Polsce.

Z wypowiedzi uczestników naszej debaty wynika, że obecnie największą barierą rozwojową jest brak pracowników. W najbliższych latach poznamy odpowiedź na pytanie, czy okoliczność ta wpłynie na masowe powroty Polaków z emigracji, czy też państwo zdecyduje się szerzej uchylić drzwi dla pracowników z zagranicy.

Forum wGospodarcze.pl

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



Minister Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY



Minister Rolnictwa
i Rozwoju Wsi



Polska Agencja
Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:



SAMSUNG

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



Deloitte.



Więcej informacji na www.wGospodarcze.pl/sektory/forum-wgospodarcze

eprasa.pl 721ea184ea

KONKURS

AŻ
340

WYJĄTKOWYCH
NAGRÓD

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

Konkurs plastyczny
dla dzieci w wieku:

• 5-9 lat • 10-16 lat •

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna”. Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci” (oba mogą pochodzić z tego samego wydania). Obok drukujemy drugi kupon, kolejne ukażą się 13 i 20 maja 2019 r. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.

3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny” na adres redakcji:
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa.
Termin dostarczenia prac: 24 maja 2019 r.
4. Sprawdź, co wygrasz! **Listę nagrodzonych opublikujemy 3 czerwca 2019 r.** w tygodniku „Sieci” i na www.wsieciprawdy.pl.

PARTNER
STRATEGICZNY:



SŁODKI
PARTNER:



PARTNER
INSTYTUCJONALNY:



PARTNERZY:



Prószyński i S-ka



WYGRAJ JEDNĄ Z 340 NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



<< **2 wakacyjne obozy o wartości 2200 zł każdy** od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS

2 weekendowe >> pobyty rodzinne w KAISERHOF – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej o wartości 1500 zł każdy



<< **25 zestawów książek o przygodach Zuzi** o wartości 72 zł od wydawnictwa Skrzat

40 książek „Chłopiec i pies” o wartości 25 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka

40 książek „Kiedys na pewno” o wartości 32 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka >>



<< **150 słodkich zestawów dla młodego patrioty:** komiks o Misiu Wojtku o wartości 16 zł od Fundacji Niepodległości i cukierki od Pszczółki o wartości 16 zł



<< **4 vouchery o wartości 400 zł każdy** na zakupy odzieży, butów i dodatków

2 krzesła CYBEX LEMO, które dzięki regulowanym elementom rosną wraz z dzieckiem, o wartości 769 zł każde >>



^ **15 zestawów książek patriotycznych** o wartości 250 zł każdy od Wydawnictwa Świętego Filipa Apostoła

40 zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-195 zł każdy od Granny >>



^ **20 zestawów książek podróżniczych** o wartości 110 zł każdy od wydawnictwa Skrzat

SIECI

KUPON KONKURSOWY NR 2

imię i nazwisko rodzica/opiekuna

imię i nazwisko dziecka

data urodzenia i wiek dziecka

dokładny adres zamieszkania

e-mail rodzica/opiekuna

telefon rodzica/opiekuna

Akceptuję regulamin konkursu.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie konkursowym do przeprowadzenia konkursu pod nazwą „Polska, moja Ojczyzna” przez Administratora – Fratria Sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni, ul. Legionów 126-128.

Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie konkursu „Polska, moja ojczyzna”, dostępnego na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie Administratora.

* pole do akceptacji

data podpis rodzica lub opiekuna

Podniebny punkt widzenia

Czego pasażerowie mogą nie wiedzieć na temat jedzenia w samolocie? Sądząc po ich pytaniach, m.in. tego, że porcje dostarczane są na pokład w gotowej formie. My je tylko podgrzewamy. Tymczasem zdarzają się pytania, czy kanapka mogłaby być bez sera. Niestety my je tylko podajemy. Podobnie z napojami. Możemy zaproponować określone smaki, a bywamy proszone np. o sok truskawkowy czy mandarynkowy.

W takich sytuacjach zawsze z uśmiechem informuję pasażera, że w ofercie mamy soki: porzeczkowy, jabłkowy, pomarańczowy, a nawet pomidorowy, ale – niestety – jeszcze nie wprowadziliśmy truskawkowego.

O tym, co pasażerowie będą jedli i pili w samolocie, decyduje na pewno standard biletu. W klasie biznes menu jest bogatsze, a serwis wygląda jak w restauracji. Tyle że podniebnej. Natomiast w klasie ekonomicznej mamy wersję bardziej kompaktową. Posiłki podajemy na tackach i nie są one tak różnorodne.

Prawdą jest, że w powietrzu inaczej niż na ziemi oddziałują na nas alkohole, ale też lekarstwa. Może się również pojawić inne odczuwanie smaku. Trudno mi to oceniać, bo nie mamy aż tak szerokiej oferty np. win, ale obserwujemy, co najbardziej smakuje pasażerom. Gdy ktoś jest zainteresowany kartą i pyta o radę, mówimy, które wina najczęściej są chwalone. To najlepszy punkt odniesienia.

Bardzo przyjemną częścią zawodu stewardesy (który uprawiam od pięciu lat) jest możliwość poznawania nowych miejsc. I także nowych smaków. Moje najnowsze odkrycie wiąże się z Tajlandią. Trafiłam do lokalnej restauracji, z wyglądu bardziej bambusowej chatki, ale jedzenie było tam przepyszne. Żywiłam się w niej przez cały pobyt i na pewno tam wrócę.

W Seulu odkryłam bulgogi – grillowane paski marynowanej wołowiny w sosie sojowymi i oleju sezamowym z dodatkiem przypraw. Rewelacja. Jeśli ktoś nie próbował, naprawdę polecam.

Ameryka, do której często latamy, lądując w Los Angeles, Nowym Jorku, Chicago, kojarzy mi się głównie z fast foodami. Mam swój ulubiony: Philly Cheesesteak, czyli też bardzo cienko posiekana wołowina, podsmażona z cebulką, w kanapce, z sosem serowym. Rozpływa się w ustach.

Naleśniki z farszem z kaszy gryczanej

Składniki: 3/4 szklanki wody gazowanej, 2 jajka, mąka pszenna – szklanka, szczypta soli, 3 łyżki oleju roślinnego, kasza gryczana, cebula, serek mascarpone, starty parmezan.

Wykonanie: Zaczynamy od przygotowania naleśników. Następnie należy ugotować kaszę gryczaną, podsmażyć cebulę. Gotowe składniki wymieszać w misce z serkiem mascarpone i startym parmezanem. Doprawić solą i pieprzem do smaku. Farsz zawinąć w naleśnik, następnie podsmażyć.



Oczywiście trzeba się zdrowo odżywiać. Zwłaszcza gdy spędza się tak dużo czasu w samolocie. Natomiast od czasu do czasu można sobie pozwolić na przyjemności.

Czymś, co zawsze dobrze mi się kojarzy – bo łączy się z domem, domowym ciepłem – jest dobra pomidorówka i kotlet schabowy z ziemniakami. Klasyk, o którym marzę, gdy wracam np. z długiego atlantyckiego lotu. Urodziłam się w Szczecinie, wychowywałam w Świnoujściu i oczywiście ryby bardzo lubię. W różnych postaciach. Jednak schabowego i pomidorowej nic nie przebiję.

*Notowała **Jolanta Gajda-Zadzorna***

**A także stewardesa PLL LOT, absolwentka prawa, bohaterka programu „No to leć!” emitowanego w Travel Channel*



Róża od Pegaza

ANNA MONICKA

Wracam właśnie z majówkowych zakupów. Dźwigam w worku cztery młode kalarepy, dwie wielkie główki kapusty, a z czerwonego plecaczka z napisem „Weekend księgarń kameralnych”, który właśnie dostałam, wystaje mi zawadiacko pęk długich zielonych szczypiorów od dymki i szmaragdowa wiecha kopru. Choszczno, z którego jadę na pobliskie Pojezierze Drawskie, to niewielkie miasto nad jeziorem Kluki niedaleko Szczecina. Od szosy głównej w bok, bo omijają je i dziesiątka, i autostrada. Burzliwe dzieje pogranicza odcisnęły swoje piętno na architekturze – to, co jakimś cudem dotrwało do 1945 r., zniszczyli Rosjanie, którzy niemal zrównali miasto z ziemią, bezpowrotnie niszcząc klimat starówki. Lubię pospacerować tu nad jeziorem, poszukać gotyckich murów obronnych porośniętych trawą, posiedzieć i podumać w starym kościele (niewypały z jego wieży wyciągano jeszcze w 1967 r.), zajrzeć na bezy do cukierni.

Ale najbardziej mnie ciągnie do księgarni Pegaz. Za każdym razem, gdy odwiedzam rodzinę, muszę zajrzeć w to absolutnie magiczne miejsce, pełne doskonałych, ze smakiem doboranych książek oraz najlepszej literatury dla dzieci i młodzieży. Z mądrym tekstem i świetną ilustracją.

– Może napije się pani kawy – zagała mnie wczoraj właścicielka. – Mieliśmy tu w niedzielę święto, urządzaliśmy wieczór z okazji Światowego Dnia Książki. Zostały jeszcze ciasteczka, proszę skosztować, są pyszne. Sprowadzamy je specjalnie z Krakowa.

Zasiadam więc w księgarni na wygodnym fotelu i przy kawie wybieram książki. „Zapewne sądzisz, że Ziemia należy do ludzi, ale wiedz, że tak naprawdę jest własnością chrząszczy. To największa grupa zwierząt na naszej planecie” – czytam na obwolucie recenzję i barwny oraz pełen anegdot przewodnik dla miłośników chrząszczy odkładam dla siebie. Zawsze chciałam lepiej się poznać z żuczkami.

Właścicielka przynosi kolejne literackie perełki, doradza, podsuwa nowości. – Proszę spojrzeć na wspaniałe ilustracje Emilii Dziubak – wkłada mi w ręce książkę „Dom, który się przebudził”. – Rozbudzają wyobraźnię, prawda?

Prawda. Trudno im się oprzeć. Podobnie jak właścicielce Pegaza, która cała promienieje, gdy widzi ludzi kupujących i czytających książki. Przy wyjściu dostaję w prezencie czerwoną różę.

Dziś na obiad będzie młoda kapusta, ziemniaki z masłem, kefir. Kapustę wystarczy poszatować, doprawić dymką, solą i cytryną, posypać koprem. Obiad jest smacowy, a właściwie sam się robi. I dobrze, będę miała czas na wyprawę do fascynującego świata jelonków, świetlików, rohatyników i ryjkowców. Wiedzieliście, że jedna para wolków (zbożowych) może mieć 6 tys. młodych rocznie?

Wiśniowa fiksacja

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niezwykle lubię wcześniej kwitnące drzewa owocowe: różnego rodzaju śliwki, czereśnie i wiśnie. Jeszcze zanim zaczną się wiosna, całe pokrywają się masą białych, mocno pachnących kwiatów; zjawisko krótkotrwałe, ulotne i tym bardziej uderzające, że następuje przed rozwojem liści, zanim skryłaby je zieleń.

Wiśnie – nie kwiaty, lecz owoce – stały się przyczyną malej sensacji w starożytnym Rzymie, będąc przez pewien czas główną atrakcją uczt. Jak pisał Pliniusz, pierwszy wiśnię do Rzymu sprowadził Lukullus, a było to ok. 72 r. p.n.e. Przywiózł je z Pontu, po wygranej wojnie mitrydatejskiej, „a w stu dwudziestu latach dotarły poza Ocean, aż do Brytanii”. Pliniusz wymienia wiele odmian wiśni: czerwone aproniańskie, czarne lutacyjskie, najbardziej okrągłe cecyliańskie, delikatne juniańskie, wawrzynowe i najlepsze, czarno-czerwono-zielone pliniańskie.

Pontyjska wiśnia, o której pisze Pliniusz, to wiśnia pospolita *Prunus cerasus*, gatunek wywodzący się z Azji Mniejszej, skąd rozpowszechnił się na cały świat. Słowo „cerasus” pochodzi od nazwy jednego z miast królestwa Pontu, obecnie regionu w Turcji. Do dziś zresztą największym producentem wiśni jest Turcja.

W Polsce do tego samego rodzaju *Prunus* należą nasze rodzime: dzika czereśnia ptasia *Prunus avium* (która dała początek odmianom hodowlanym czereśni), tarnina *Prunus spinosa* i rzadka, chroniona, znajdująca się u nas przy granicy swojego zasięgu wisienka stepowa *Prunus fruticosa*.

Drzewa i krzewy z rodzaju *Prunus* to wdzięczny temat literacki. Piękny opis kwitnących wiśniowych lasów zamieścił Sienkiewicz, relacjonując podróż Skrzetuskiego Dnieprem na Sicz:

„– Hej, starszy, a co się tam bieli? – spytał rotmana.

– Wiszni, pane! – odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe złożone z karłowatych drzew, którymi oba brzegi szeroko były za ujściem Pszoły porośnięte. Owoc ich, słodki i wielki, dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zabłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciami.

[...] namiestnik z Rzędzianem wysiedli, [...] ogarnął ich tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać.

– Cuda to panie, cuda! – mówił Rzędzian”.



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Macron o Europie

*Nie da się poważnie traktować prezydenta Francji,
gdyż nie wiadomo, o co mu chodzi*



www.wojciechreszczyński.pl

Prezydent Francji Emmanuel Macron zadziwia, wręcz szokuje, wypowiedziami, które wskazują na niekompetencję, brak wykształcenia czy myślowy chaos. Zapowiedział właśnie „przebudowę strefy Schengen”. Zrobił to jednoosobowo, na jakiejś konferencji prasowej. Tak jak Angela Merkel, też jednoosobowo, ściągnęła do Europy miliony emigrantów. Nie zdziwiłbym się, gdyby Macron w podobny sposób ogłosił rozwiązanie czy wygaśnięcie Unii Europejskiej. Zdaniem Macrona te państwa, które nie wykazują się europejską solidarnością, nie zgadzają się na przyjmowanie uchodźców lub nie działają na rzecz wzmocnienia granic, nie powinny należeć do strefy Schengen. Mamy więc już jakiś konkret, gdyż dotychczas wygrażano nam palcem za brak solidarności z krajami, które przyjmowały uchodźców. Strefa Schengen to układ zawarty w 1985 r. w Schengen w Luksemburgu. Obejmuje obszar 26 państw europejskich, w tym 22 państw członków UE oraz Islandii, Norwegii, Szwajcarii i Księstwa Liechtenstein. W strefie nie obowiązują kontrole graniczne, co w znaczny sposób obniża koszty transportu, przyspiesza obrót towarami, skraca czas ich magazynowania oraz zmniejsza koszty ochrony własnych granic.

Zaryzykuję twierdzenie, że już w niedalekiej przyszłości Polska oraz Węgry, oba kraje najbardziej krytykowane przez francuskiego prezydenta oraz unijnych biurokratów, zostaną wyłączone ze strefy Schengen, co zapoczątkuje proces szybkiego wypychania tych krajów ze struktur UE. Wcześniej z inicjatywy Niemiec i Francji ogłoszono powstanie Unii dwóch prędkości, potem Francja przeforowała dyrektywę

o pracownikach delegowanych, narzucając wysokie stawki wynagrodzeń firmom z Europy Środkowo-Wschodniej i łamiąc tym samym zasadę swobody handlu i usług, a teraz zapowiedź zreformowania układu z Schengen, którego przestrzeganie było podstawowym warunkiem członkostwa w Unii.

Przykładem niekompetencji prezydenta Macrona jest jego obsesyjne wręcz przywoływanie brexitu jako symbolu największego po wojnie kryzysu w Europie.

A dowodem jego chaosu intelektualnego jest twierdzenie, że „brexit symbolizuje pułapkę, kłamstwo i nieodpowiedzialność, które mogą zniszczyć Europę”. Zadziwiająca jest troska Macrona o Brytyjczyków, którym „nikt nie powiedział prawdy o tym, co ich czeka po wyjściu z UE”. A ta okrutna, przerażająca zdaniem Macrona prawda to „powrót do nacjonalizmu, strachu podsycanego przez fake newsy i populizm”. Cytowane tu fragmenty pochodzą z jego marcowego listu „manifestu” do Europejczyków, jaki umieścił w europejskich mediach. Chciałoby się powiedzieć, co ma piernik do wiatrak. Angolicy cenią swój patriotyzm i tradycyjny nacjonalizm, jak zatem mają się go obawiać, chyba że chodzi o nacjonalizm niemiecki czy francuski. A jak połączyć fake newsy i populizm z brexitem, to już zagadka intelektualna Macrona.

Nie da się poważnie traktować prezydenta Francji, gdyż nie wiadomo, o co mu chodzi. Chce walczyć z koncernami, które uderzają w interesy UE, równocześnie zapowiada wspieranie unijnych globalnych przedsiębiorstw. Ogłasza likwidację wydobywania węgla i całkowite wyeliminowanie dwutlenku węgla do 2050 r. oraz zmniejszenie o połowę do

2025 r. używania pestycydów. Co rusz wymyśla potrzebę zaistnienia różnych instytucji, jak europejski urząd ds. przyjmowania azylu, europejską straż graniczną, europejską agencję ochrony demokracji, postuluje nowy traktat obronny z Anglią. I co jest już jego obsesją, odwołuje się wciąż do „europejskich wartości”, tych starych, znanych z czasów rewolucji francuskiej, jak „wolność, równość, braterstwo”, i nowych, tworzonych ad hoc – jak „wolność, opieka i postęp”. Wizję swojej Europy określa mianem „odrodzenia”, a nawet „renesansu”, choć te znane głównie z historii Włoch terminy nijak się mają do oświeceniowych „europejskich wartości” z czasów rewolucji, które równocześnie jako hasła masonskie pozostają aktualne w obecnej UE.

Na pomysł zmniejszenia liczby państw korzystających z praw strefy Schengen, co wygląda na zamknięcie się „starej” Unii na nowych członków, zareagował w Poznaniu Mateusz Morawiecki. I to była bardzo dobra riposta na postulaty „europejskich wolności” według koncepcji Macrona. Nasz premier przypomniał dane skrywane przez francuskie instytucje, w tym media, a mianowicie – 12 osób zabitych i 4 tys. rannych w zamieszkach antyprezydenckich we Francji od marca tego roku. Także tysiące zdemolowanych sklepów i dziesiątki tysięcy spalonych samochodów. O tych faktach nie wspomina Macron. Każdy jednak śledzący z uwagą sytuację w Europie wie doskonale, że francuski system polityczny nie daje się pogodzić z definicją demokracji. Prof. Wojciech Roszkowski przywołuje opinie samych Francuzów nazywających swój system polityczny „prezydencką monarchią”. Dodajmy, zwiastującą swój szybki upadek, a więc Bastylia? 

Wykształceni ponad swą inteligencję

Trzy dekady temu gościłem w Szwecji w rodzinie zaprzyjaźnionych Polonusów. Dzieci miały przejściowe problemy w szkole, więc rodzice zafundowali im prywatne korepetycje z matematyki. Jakież było ich zdumienie, gdy dyrekcja szkoły wezwała ich na dywanik i... zabroniła stresowania dzieci dodatkowymi zajęciami pozalekcyjnymi! „Królestwo Szwecji nie potrzebuje aż tylu naukowców i inżynierów – brzmiało uzasadnienie. – Potrzebni są nam również robotnicy budowlani, ekspedientki, sprzątaczk, rzemieślnicy itp. mniej skomplikowane zawody. Szkoła prowadzi selekcję naturalnych predyspozycji uczniów i tego procesu nie wolno zaburzać”.

W Polsce boom na oferowanie wszystkim wyższego wykształcenia miał podłoże stricte finansowe. „Dopóki studenci płacą czesne, włos im z głowy nie spadnie” – przyznał się z uśmiechem zaprzyjaźniony kanclerz prywatnej uczelni. A że większość z nich nie jest w stanie przyswoić sobie wymaganej wiedzy – drastycznie obniżono

poziom edukacji. Po obronie dyplomu wielu takich „magistrów” ma problemy na wymagającym rynku pracy. I często jedyne zatrudnienie znajduje... w szkole właśnie. Tymczasem rewelacyjnie opłacanych dziś kafelekarzy, hydraulików, elektryków, ślusarzy, spawaczy czy budowlańców jak na lekarstwo.

Potrzebne jest dofinansowanie i gruntowna reforma szkolnictwa – łącznie z wymianą części niedouczonej kadry. Jeśli to się nie uda, to trzeba stworzyć i wspierać pewną liczbę elitarnych szkół z konkursowymi egzaminami, najlepszymi nauczycielami i stypendiami fundowanymi dla najzdolniejszych uczniów. Tylko sprawdzony, tradycyjny model edukacji, czyli dyscyplina na lekcjach, jednakowy strój uczniowski, nacisk na rozwój intelektualny, fizyczny i duchowy (moralność, patriotyzm), ale przede wszystkim wysokie wymagania – łącznie z usunięciem ze szkoły za brak postępów w nauce – pozwolą na odbudowę autentycznych polskich elit. A pozostali? Będą udawać, że się uczą lub nauczają. I wagarować lub strajkować.



**Lech
Makowiecki**

REKLAMA

WEŁACZAM
JEDYNKE
I GOOOOOOL!

Największe emocje
w Kronice Sportowej.

JEDYNKA TO JEST RADIO



Jedynka
POLSKIE RADIO



Nie da się dzisiaj nie pisać o nauczycielach. Nie w moim przypadku. Wszak z nauczania, wychowania, szkoły uczyniłem swoją profesję. Zarówno w wymiarze praktycznym, jak i akademickim. Moi rodzice byli nauczycielami, jeden z dziadków również. A oprócz tego ciotki, wujkowie, pociotkowie. Nie umiem więc „zapomnieć” o tym, co się ostatnio w tej materii działo, o tym, co się dzieje, ani o tym, co się wydarzyć może. Wielokrotnie też narzekałem, że rola felietonisty w tygodniku to rola kłopotliwa. Zwykle piszę coś, co ukaże się za tydzień lub prawie tydzień. Przy tej kalejdoskopowej i zaskakującej dynamice zmian łatwo napisać tekst, który skazany będzie na nieaktualność.

Nauczycielski bunt ujawnia, a może tylko wyostrza parę spraw, które wydają się mieć wymiar diagnostyczny. Każde wydarzenie kryzysowe ukazuje nam bowiem w całej ostrości oblicze naszej codzienności, a często i zaskakujące drugie dno. Tak jest i tym razem. Rzadko się bowiem zdarza, aby jakieś środowisko skompromitowało się tak masowo i powszechnie. Odmowa pracy nauczycielskiej ma wszelkie cechy szantażu. Przypomina złapanego w banku na gorącym uczynku rabusia, który zaslania się Bogu ducha winnym klientem, przykładą mu rewolwer do skroni i stawia żądania. Chce wyjść nie niepokojony, z workami forsy i na dodatek żąda helikoptera, aby bezpiecznie i daleko zwiać. Rozumiem, że rabusie pragnie pieniędzy, to ogólnoludzka słabość, ale co ma do tego biedny klient?! Tak właśnie widzę ten pedagogiczny strajk – forsą ma być od rządu, ale nóż przyłożono do krtań dziecka. Tak właśnie działa terroryzm. Czegoś chcemy od świata, to zabijemy 300 chrześcijan w Sri Lance. Nie podoba nam się NATO, to wysadzimy metro w jakimś europejskim mieście. Nie podoba nam się Kaczyński, to dzieciom zrobimy na maksa pod górkę. A gdy już dostaniemy tę forsę, to wrócimy do omawiania „Siłaczki”, postawy doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych”, historii księdza Wawrzyniaka i tajnych kompletów w czasie okupacji i będziemy znów tak pięknie mówić o ideałach. Najpiękniej jak potrafimy.

Zastanawiam się też, o co tak naprawdę chodzi z opluwaniem „łamistraków”? Moim zdaniem zasługują oni na medal i ulicę ich imienia. Ależ byłoby ciekawie i oryginalnie nazwać rondo u zbiegu ulic Solidarności, Żołnierzy Wyklętych i Armii Krajowej imieniem Łamistraków 2019. Ci nauczyciele naraziwszy się kolegom, przepuszczani przez pedagogiczne ścieżki zdrowia ubranych na czarno strajkujących, opluwani w sieci, pokazali niezwykłą dojrzałość i poczucie misji.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wsad do kotła



**Aleksander
Nalaskowski**

*Rzadko się zdarza,
aby jakieś środowisko
skompromitowało się tak
masowo i powszechnie*

Prominentny dziennikarz powiedział, że misji nie da się włożyć do garnka. A uczciwość, prawdę, wierność, patriotyzm, wiarę, empatię to da się włożyć do garnka?! Tak właśnie wygląda świat mainstreamu – sprowadzony do układu trawienno-wydalniczego, który ma zastąpić rozum i uczucia. Tak wygląda świat, w którym na ołtarzu stawia się ciepłą wodę w kranie, dla którego „polskość to nienormalność”. Tak wygląda stan nauczycielski, w którym godność jest w żołądku, a tych, którzy mają ją na zwykłym miejscu, wita się czarnym szpalerem.

Mocno też intryguje mnie, jakie prawo i kompetencje do nauczania kogokolwiek mają osoby, dla których niedostępne umysłowo jest zrozumienie, że dopłata dla hodowców ma pochodzić z unijnych dotacji dla rolnictwa, a nie z budżetu państwa? Krówka i świnka – tak eksploatowane przez strajkujących pedagogów – powinny się stać symbolem ich kompetencji do rozumienia przekazu publicznego. Czy człowiek, który nie odróżnia strony lewej od prawej, może być kierowcą autobusu albo instruktorem jazdy?

I jeszcze jedna sprawa. To podnoszona już przeze mnie kwestia wstydu. Już się publicznie zastanawiałem, jak do klas wrócą strajkujący nauczyciele? Czy nie będą się wstydzić? Otóż to kardynalny błąd w myśleniu. Bowiem osoby wyśpiewujące w internecie swoje protest songi, sekujący „łamistraków”,

nawołujący do zablokowania matur pokazały, że nie wstydzą się niczego, a zatem nie ma powodu, aby przypuszczać, że przy powrocie do klas obleją się rumieńcem. Na pewno nie. Ale to przecież oczywiste. Wstydu do garnka się nie włoży, prawda? Skądinąd wstydu można się najeść, ale tylko wiedząc, co to wstyd.

Żyjemy w jakiejś nienormalnej rzeczywistości, w której jedyną i wszechobecną normą jest zła wola. Ma ona swoich stałych ambasadorów i fanów. Potrafi gromadzić tłumy na demonstracjach, wzbudzać nienawiść, cynicznie wzywać do tolerancji i wieczystej miłości, kreować gwiazdy nie na zasadzie kompetencji, ale przyjmując jako kryterium stopień nasycenia złą wolą właśnie. Jej kapłanami są aktorzy, samozwańczeni watażkowie, jak Kasprzak czy Kijowski, piewcami są Biedronie, Broniarze, Schetyny.

Moja znajoma zadała mi pytanie, a w zasadzie wyraziła wątpliwość, mówiąc: „A może to my jesteśmy jacyś stuknięci, ślepi, głupi, a oni wszyscy mają rację?”. Odpowiedziałem: „A gó...no jest smaczne? Przecież miliony much nie mogą się mylić”.

PRZEZ ŚWIETLIK

Bania pana Trumpa

*Prezydent USA spełnił morderczą groźbę.
Nie przyszedł na bankiet*

Skoro o sprawie donoszą nie tylko wszystkie najważniejsze media w Ameryce, nie tylko w Europie, lecz piszą o tym i w Australii, i w Japonii, to oznacza, że sprawa musi być poważna. Tytuły wskazują, że poważna jest wręcz śmiertelnie. Wojna. Nie dość tego – to nowy poziom wojny. Otóż „prezydent Donald Trump nasilił wojnę z mediami, podnosząc konflikt na nowy poziom”.

Reagan chciał wznieść wojnę z ZSRR na nowy poziom i ogłosił program Gwiazdnych Wojen. Prusacy w I wojnie światowej pierwsi puścili na pole walki gazy bojowe, wprowadzając ogólną modę na iperytowe piekło. Harry Truman podniósł wojnę na nowy poziom, gdy zrzucił bombę atomową na Japończyków. Potem w Polsce ludowej było nawet dziecięce powiedzonko: „Panie Truman, spuść ta bania, tu jest nie do wytrzymania”.

Cóż to za banie organizuje pan Trump, by zniszczyć niezależne media? Z czeluści Pentagonu wytargał bombę, która wyłączy wszystkie nadajniki? Każe na terenie Nowego Jorku zakazać wydawania gazet? Dodatkowo podpłiwnicza bazę w Guantanamo, by trzymać tam żonę Radka Sikorskiego? Znacjonalizuje media? Nic z tych rzeczy.

Donald Trump – jak poinformował roztrzęsiony portal Politico – zapowiedział, że nie weźmie udziału w tegorocznym Bankiecie Stowarzyszenia Korespondentów przy Białym Domu, nakazując zarazem administracji bojkot imprezy. W podobnym tonie utrzymane były komentarze innych tytułów oraz stacji radiowych i telewizyjnych. Bankiet zaplanowano na ostatnią sobotę kwietnia. Prezydent spełnił swoją morderczą zapowiedź. Nie przyszedł na bankiet.

Takie są właśnie zbrodnie wobec mediów wszelkiej maści konserwatystów, populistów, rządzących prawicowców. Liberalowie mogą jak w Polsce zwalniać naczelnych nocą przy śmietniku, nasyłać służby na redakcje, jak w Niemczech zmuszać media, by przez kilka dni nie informowały o fali gwałtów ze względu na polityczną poprawność, jak w USA jednym głosem łąć na temat powiązań kandydata na prezydenta z Putinem. To są drobiazgi, niezbędna regulacja, którą instytucje pokroju Freedom House czy Reporterzy bez Granic nawet pochwalają. Problem pojawia się, kiedy znienawidzony prawicowy polityk nie pójdzie na bal nie-



nawidzających go i mówiących jednym głosem sprzedawców narracji politycznej. To jest bania nowego typu i wojna na nowym poziomie. Nowym poziomie hysterii.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia



Joannie Mazur

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

MAMY

składają

koleżanki i koledzy z Grupy Medialnej Fratria

Strajkujący prawdziwi artyści

Do wicepremiera i ministra kultury Pana Piotra Glińskiego:

Zwracamy się do Pana jako mecenas kultury i sztuki, wiedząc, że zależy Panu na rozsławianiu polskiej, oryginalnej twórczości. Wielkimi krokami zbliża się Konkurs Piosenki Eurowizji. Gorąco prosimy Pana Premiera o wystawienie naszego kwartetu (dwie nauczycielski plus para śpiewających mężczyzn, zarazem akompaniatorów – keyboard i gitara klasyczna) do reprezentowania barw Polski na tej prestiżowej imprezie. Nasz zespół, powstały w czasie strajku nauczycieli, stworzył piosenkę mieszczącą się w gatunku protest song. Linią melodyczną i stylistyką wykonania zbliżoną do chóru gospel nawiązuje do muzyki zrodzonej w stanach amerykańskiego południa. Tym samym wpisuje się w nurt sztuki zaangażowanej.

Niezależnie od wysokich walorów poetyckich i muzycznych niesie on z sobą ważne przesłanie. Zagrzewa do walki o utorowanie drogi do szczęścia osobistego jednostek nauczy-



**Jerzy
Jachowicz**

cielskich i zarazem polepszenie bytu całej, niedocenianej do tej pory wspólnoty, która poprzez nauczanie młodego pokolenia przyczynia się do pochodu postępu i rozwoju innowacyjnego uniwersum.

Siłą utworu jest jego wyeksponowany w kolejnych zwrotkach wspólnotowy charakter. Na tle tego zespolonego solidarnościowymi więzami masowego protestu w refrenie songu wybucha niczym gejzer z islandzkiej, spieczonej ziemi krzyk rozpaczy i dramatu jednostki, pokonanej przez brutalną siłę nieczulego na krzywdę i ludzki ból rządu.

A oto ten rozdzierający każde wrażliwe serce refren:

*Bo bardzo ja się czuję źle,
Gdy dzieci uczyć nie mogę.
Zbyt mało chce mi płacić rząd,
Choć kocham szkołę, pójdę stąd.*

Liczymy na wstawiennictwo i poparcie Pana Premiera.
W imieniu zespołu Gospeli z Koszalina

Kinga Furta

CO MNIE CIESZY

Kiedy kwitną kasztany

Kasztany już zakwitły. Byłam i jestem pewna, że matura – egzamin dojrzałości – w maju się odbędzie. Symbioza kwitnącego drzewa i młodych ludzi wchodzących w życie w biało-granatowych strojach.

Kwiecień obfitował w podniosłe wydarzenia. Wielkanoc, święto Zmartwychwstania, jakże ważne dla rodzin katolickich. Były też wydarzenia przynębiające, czyli polityczne (bo tak je trzeba nazwać). Chodzi mi o strajk nauczycieli ogłoszony przez szefa ZNP – Sławomira Broniarza. Strajk odbywał się w specjalnie wybranym czasie egzaminów.

Rząd niezwykle rozsądnie najpierw negocjował, a następnie skutecznie działał. Porozumienie z Solidarnością udało się zawrzeć, ale pozostali nie przerywali protestu, strasząc dzieci. Mało tego, zachowywali się w sposób nie tylko nielicujący z ich zawodem, lecz wręcz obrzydliwie. Śpiewali prymitywne piosenki, formowali ścieżki zdrowia dla nauczycieli, którzy nie przystąpili do strajku. Krzyczeli: „Łam strajki”. Niedługo zasiądą razem w pokoju nauczycielskim i będą razem pić herbatę czy kawę. Jak to będzie? Wszystkie prośby Kościoła, prezydenta, premiera o opamiętanie się odrzucali – NIE – tysiąc na rękę i koniec. Część wracała do pracy, rozumiejąc, że za strajk nie będzie miała płaconych pensji. Taka jest ustawa. Mogli otrzymać zapomogi z zasobów



**Katarzyna
Łaniewska**

związkowych, ale tymi pan Broniarz pewnie nie bardzo chciał się z nimi dzielić.

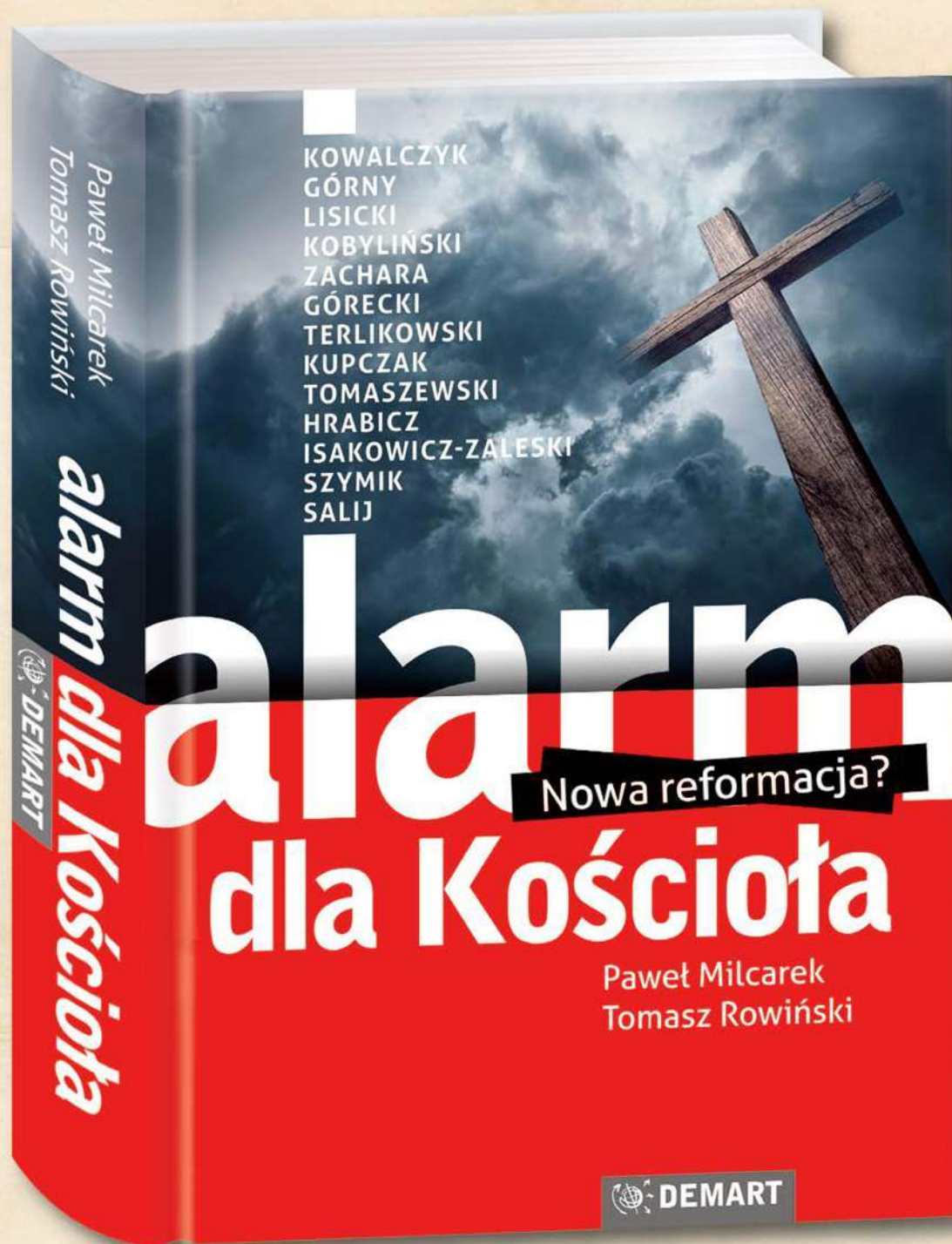
Wszystkie egzaminy się odbyły, znaleźli się emerytowani nauczyciele, katecheci, ludzie z wykształceniem pedagogicznym i zastąpili tych, którzy strajkowali. Okazało się, że nie ma niezastąpionych. Teraz strach największy przed maturą. Zrobili przerwę na święta, bo po co strajkować, jak lepiej siedzieć za stołem i ucztować. Powiedzieli, że dzieci nie przystąpią do matury, bo nie zostaną sklasyfikowane przez rady pedagogiczne. Straszili do ostatniego momentu, kiedy rząd znowu stanął na wysokości zadania i w przyspieszonym tempie,

acz praworządnie, przerzucił obowiązki na dyrektorów lub inne wyznaczone osoby.

Kiedy zobaczyli, że nie ma odwołania i ustawa obowiązuje, to Broniarz zawiesił (nie skończył!) strajk do września. Strajkujący oskarżają go teraz o zdradę. Reakcje totalnej opozycji obserwowałam. Najpierw popierali biednych nauczycieli i mówili, że muszą, a potem woleli o tym nie rozmawiać. Teraz się przerazili, że nie przysporzy im to poparcia w eurowyborach.

No cóż natura się nie zmienia. Kasztany zakwitły, matura będzie. A potem zaśpiewają sobie ci, co zdali maturę w takich warunkach: „Wakacje, znów będą wakacje”.

Czy uratujesz swój Kościół?



Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**

TRENDY I OWĘDY

Upiorna perspektywa I

Agnieszka Radwańska

okazała się „za młoda” na tytuł honorowej obywatelki Krakowa

Tak zdecydowali radni z KO i klubu Przyjazny Kraków. Szczególnie ten „przyjazny” w tym kontekście brzmi iście orwellowsko. Rzeczywistą przyczyną jakże światłego werdyktu jest postrzeganie naszej wybitnej tenisistki jako osoby skażonej pisizmem.



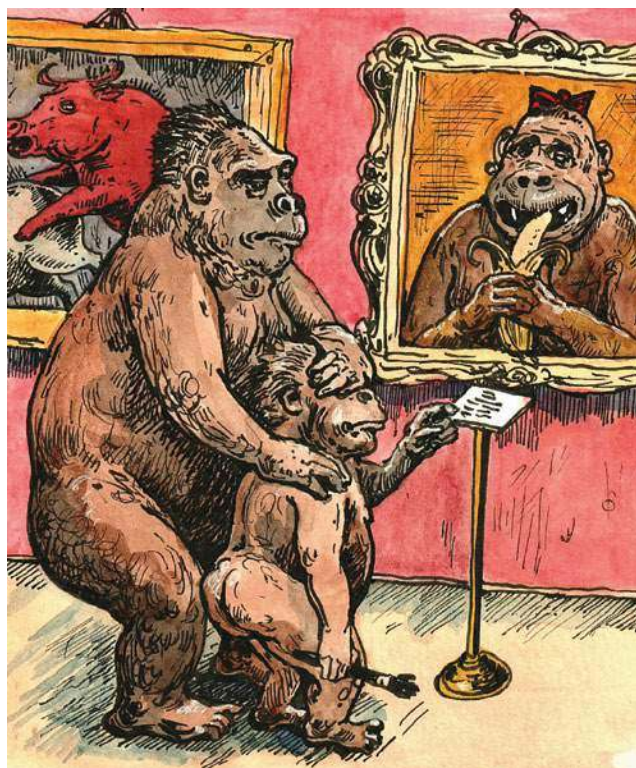
Ryszard Makowski

Dominik Jaśkowiec, przewodniczący Rady Miasta Krakowa, radny PO-KO: „Jeśli o mnie chodzi, to niewątpliwie miało znaczenie to, że rodzina pani Agnieszki Radwańskiej jest bardzo związana z partią rządzącą... Część mieszkańców mogłaby odczytać tę nominację jako kontrowersyjną”. W związku z tym podjęto decyzję niewzbudzającą kontrowersji.

Syndrom krakowski należy traktować jak preludium rozliczeniowe. Według Wojciecha Sadurskiego, ksywa Profesor: „Nowa ustawa o mediach publicznych, od 1 grudnia 2019 r.: Art. 1 »Warunkiem zatrudnienia w mediach publicznych jest pomyślne zdanie konkursu oraz przedłożenie zaświadczenia o niekaralności i niepracowaniu w Polskim Radiu i ich jednostkach organizacyjnych w latach 2016–2019«”.

To jest chyba stadium fiksum-dyrdu, bo przecież te media mają być zlikwidowane. Tak jak CBA, IPN i wszelkie instytucje związane z prawdą. Kodziarsko-totalniacka inkwizycja pisowców rozliczy, osądzi, postawi przed trybunałami. Z jednej strony to „wiersz idioty odbity na powielaczu”, a z drugiej, co pokazuje Kraków, tandetni zamordyści nie żartują. Wrrróć! Jacy zamordyści? Toż to nasi wspaniali Europejczycy, światowcy i miłośnicy demokracji... czy coś takiego.

Zawistowski prezentuje: **Muzeum**



Wycinki z przeszłości

Czerwcowy numer miesięcznika „Morze” z 1935 r. relacjonował czytelnikom wydarzenie, które do dzisiaj znajduje się w podręcznikach historii: śmierć Józefa Piłsudskiego, wskrzesiciela państwa polskiego. Naczelnik odszedł 12 maja, a kilka dni później na Wawelu prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki zęgnął go tymi pięknymi słowami, też przytaczanymi przez „Morze”:

„Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroni Jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą woli naszej. Półwiekowym trudem Swego życia brał we władanie serce po sercu, duszę po duszy,

aż pod purpurę królestwa Swego Ducha zagarnął niepodzielnie całą naszą Polskę.

Skażonych niewolą nauczył honoru bronić, wiarę we własne siły wskrzeszać, dumne marzenia z orlich szlaków na ziemię sprowadzać i w twardą rzeczywistość zamieniać.

Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek”.

Święte słowa. Wspomnijmy i my, współcześni, Wielkiego Polaka.

(mk)



1867 JÓZEF PIŁSUDSKI †1935

Z wypowiedzi z czasów dawnych...

Najwybitniejszy poeta epoki stanisławowskiej. I nikt inny jak Miłosz i Herbert (co za zgodność?) w swoich wykładach wliczali go do szóstki najważniejszych. Nie uświadamiamy sobie, w jakim stopniu z jego zasług, z jego inkrustacji korzysta jeszcze i dziś nasza polszczyzna.



Leszek Długosz

Franciszek Karpiński (1741–1825) *Powrót z Warszawy na wieś (fragment)*

*Otóż mój dom ubogi, też lepione ściany,
Też okna różnobarbne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja! Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!*

*Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa;
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany!*

*I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nieznany;
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano;
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku,*

*Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił... „Oni płynąć nie umieli”.*

*Com zyskał na wysokie pańskie pnąc się progi,
Gdzie po śliskich ich stopniach, obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.
Kiedy mię ojciec stary zęgnął przy swym zgonie:
„Idź – mówił – synu, na świat; w jakiej będziesz stronie,
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci:
Zostawiam cię ubogim, prawda cię wzbogaci”.
[...]*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelazu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Jak bardzo otwarty?

Baner na kilka pięter z pytaniem: „Kto może zmienić świat na bardziej otwarty?”, i zdjęciem dziewczynki pochodzenia nieeuropejskiego. To element kampanii wizerunkowej jednego z zagranicznych banków. Kampania ma budować pozytywne skojarzenia z marką banku, ale zarazem wywiera wpływ na społeczne postawy. Przyczynia się do współtworzenia nowych form poprawności myślowej. To element szerszej kampanii. Komunikaty mówią, że ten bank już po raz kolejny porusza ważne tematy społeczne.



Pochwały odkrywczości, wynalazczości, wolnego rynku, polityki multikulti, polityki gender, globalizacji, cyfryzacji, mobilności przestrzennej to wszystko strategię przekraczania granic. Sprzyjają rozwojowi, ale... Gdy przekracza on pewne tempo, gdy w niekontrolowany sposób zmiany przemieszczają się z jednych systemów społecznych do innych, wtedy szkodzą.

Z otwartością jest podobnie jak z różnorodnością. Gdy jest za niska, systemy – kraje, gospodarki, instytucje, firmy – się nie rozwijają. Ale gdy jest za wysoka, systemy i instytucje się rozkładają, tracą tożsamość i zdolność do realizacji swych zadań.

KEINE GRENZEN?

Zmieniać świat na bardziej otwarty, czyli bez granic? Bez żadnych? Na pewno? To może udziałowcy banku oraz autorzy kampanii utworzą swoje konta bankowe? Rozmontują ogrodzenia wokół swych rezydencji, zdejmą zamki z drzwi mieszkań, a samochody będą zostawiali otwarte z kluczykami w stacyjkach. Nie? To już poszłoby za daleko! Daleko za daleko...

Czyli udało nam się już coś ważnego wspólnie ustalić? Granice jednak są potrzebne.

Świat ma być bardziej otwarty, ale jednak nie we wszystkich miejscach. Na przykład stare prawa własności mają dalej działać.

A co z granicami chroniącymi naszą prywatność? Swoich skrzynek mailowych też nie chcemy każdemu udostępnić. Nawet najbardziej progresywni politycy i ideolodzy z najbardziej postępowych państw – przykładem niech będzie Szwecja – nie są za tym, by bazy danych policji oraz tajnych służb były otwarte dla każdego... przestępcy.

A MURY... NIE CAŁKIEM RUNĄ!

Co jest wspólną funkcją mitów, Dekalogu, prawa, zakonów, firm, organizmów państwowych, reguł gramatyki i... murów (kiedyś) otaczających miasta? To sposoby wytyczania ludzkiemu myśleniu i działaniu pewnych granic. Sposoby rozdzielania od siebie różnych stref rzeczywistości. Jak trafnie wskazuje wybitny psycholog Jordan B. Peterson, to dzięki granicom, w tym ścianom oddzielającym od siebie części naszych mieszkań, jesteśmy w stanie zachować ład, także w swoim pokoju.

*Zmieniać świat na bardziej otwarty, czyli bez granic?
Bez żadnych? Na pewno?
To może udziałowcy banku oraz autorzy kampanii utworzą swoje konta bankowe?*

OBOWIĄZEK MORALNY?

Zamienianie – nisko refleksyjne, bo oparte na prostych odruchach – świata na bardziej otwarty ma być obowiązkiem moralnym. W takiej aurze robione są dziś kampanie „wizerunkowe”. Socjologowie jednak wiedzą, że moralność, a dokładniej jej zasady głoszone publicznie zawsze mogą być wykorzystywane jako narzędzie dominacji grup silniejszych nad słabszymi.

Deklarowanie lub nawet narzucanie obowiązku moralnego poszerzania otwartości winno być wsparte głęboką refleksją i debatą publiczną z udziałem filozofów, prawników, polityków, socjologów właśnie. Ponieważ takiej swobodnej debaty brakuje (nie tylko w Polsce, także w krajach supernowoczesnych i postępowych), sięgamy po przestrożę artysty. Poeta Tymoteusz Karpowicz (zmarł w roku 2005) zanotował: „I nie da się otworzyć wszechświata szerzej niż ludzkich ramion”.

Można propagować otwartość, jak np. ogłoszono politykę multikulti, ale nie można dać z siebie więcej, niż jest się w stanie dać. Każdy człowiek ma swoje ograniczenia. I każde społeczeństwo. Nie można z dnia na dzień spełnić obietnicy owocnej multikulturowości, tak jak nie można w pełni wyczyścić naszego umysłu z głęboko wdrukowanych instynktów.

Reklama, marketing to nie są najszczęśliwsze miejsca do publicznej dyskusji o otwartości i jej granicach. Z prostego powodu: nie mają charakteru obywatelskiego, ale komercyjny. A biznes, nawet gdy symuluje obywatelską troskę, ciągle podlega motywowi zysku.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

**TY MASZ DOM,
A ONI?**

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały
jest powrót wielu osób i rodzin
oraz odbudowa domów
w Dolinie Niniwy” –
kard. Pietro Parolin –
Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba
również Twojej pomocy.

**I Ty możesz
się włączyć
w BUDOWĘ
DOMÓW**

w Dolinie Niniwy,
w dwóch miastach Iraku:
BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

**Fundacja NIEDZIELA.
Instytut Mediów**

Tytuł przelewu: Akcja DOM

Numer konta PLN:

**65 1140 2004 0000 3602
7608 3791**

Więcej informacji na:

www.fundacja.niedziela.pl



WEŹ UDZIAŁ W LOTERII

CO **3** ZDRAPKA WYGRYWA!*

88 rodzinnych samochodów



11 650 000 produktów **VERVA**



Dodatkowo dla zarejestrowanych uczestników Programu VITAY do wygrania **6 wyjazdów** pięcioosobowych na wyścigi Roberta Kubicy.



Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapki na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orn.pl. Organizator: Uniqe One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w loterii.